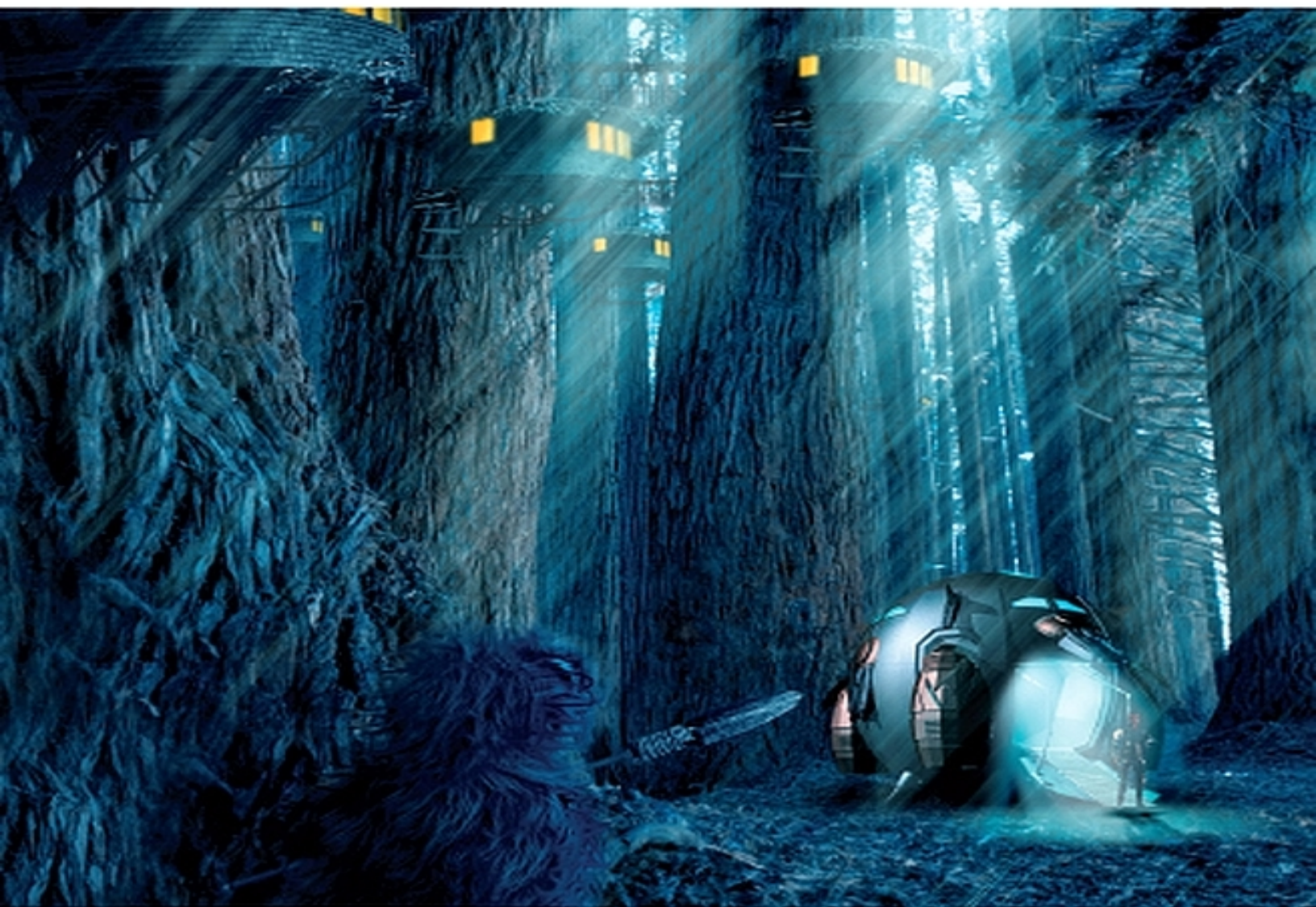




GALAKTYKA GUTENBERGA

H. BEAM PIPER



Kudłacze i inni ludzie

TERRO-HUMAN

Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:

1. Harry Harrison Planeta śmierci
2. H. Beam Piper Kudłacz
3. H. Beam Piper Kudłacz rozumny
4. H. Beam Piper Kudłacze i inni ludzie
5. Siergiej Sniegow Galaktyczny zwiad
6. Siergiej Sniegow W Perseuszu
7. Siergiej Sniegow Pętla wstecznego czasu
8. antologia Złoty Wiek SF tom 1
9. antologia Złoty Wiek SF tom 2
10. antologia Złoty Wiek SF tom 3
11. antologia Złoty Wiek SF tom 4
12. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 1
13. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 2
14. antologia Klasyka rosyjskiej SF tom 3
15. Clifford D. Simak Imperium
16. E.E. „Doc” Smith Lensman 1: Trójplanetarni
17. E.E. „Doc” Smith Lensman 2: First Lensman
18. E.E. „Doc” Smith Lensman 3: Galactic Patrol
19. Murray Leinster Pierwszy kontakt
20. E.E. „Doc” Smith Skylark 1

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

H. Beam Piper

Kudłacze i inni ludzie

Przełożył
Łukasz Małecki

SOLARIS
Stawiguda 2013

Kudłacze i inni ludzie

tyt. oryginału: *Fuzzies and Other People*

Fuzzies and Other People copyright © 1964 by H. Beam Piper

ISBN 978-83-7590-097-2

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Maciej Garbacz

Korekta – Bogdan Szyma

Skład – Solaris Druk

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 89 5413117

e-mail: agencja@solarisnet.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl



1.

Oficjalnie na każdej z pół tysiąca zamieszkałych przez ludzi planet Federacji Terrańskiej był 14 września 654 roku Ery Atomowej, lecz na Zaratustrze rozpoczął się Dzień Pierwszy Roku Zero Wieku Kudłaczego.

Wbrew pozorom to jednak nie wtedy odkryto Kudłacze – do owego zdarzenia doszło na początku czerwca, kiedy to stary Jack Holloway natknął się na drobne, tajemnicze stworzenie, które przycupnęło w kabine prysznicowej w Cold Creek Valley na kontynencie Beta, gdzie stał jego obóz. Holloway zaprzyjaźnił się z nieproszonym gościem i ochrzcił go imieniem „Kudłaczek”. Tydzień później wprowadziła się do niego kolejna czwórka Kudłaczy (z dzieckiem), co nie uszło uwadze Bennetta Rainsforda, wówczas przyrodnika polowego z Instytutu Ksenotyki. On także nigdy wcześniej nie widział podobnych istot. Na cześć odkrywcy stworzył następującą systematykę: rząd – Hollowayanie; rodzaj – Kudłacze; gatunek – Kudłacze Hollowaya (*Kudłacz kudłacz holloway*).

Kudłacze były stworzeniami dwunożnymi o wyprostowanej postawie, średnim wzroście około dwóch stóp i wadze od piętnastu do dwudziestu funtów. Miały pięciopalczaste dłonie z kciukiem przeciwstawnym, duże, blisko osadzone oczy, które zapewniały widzenie stereoskopowe i rysy przypominające odrobinę ludzkie. Wydawało się, że nie mają pojęcia o ogniu i, na ile potrafili to rozsądzić Holloway z Rainsfordem, nie posługiwały się mową. Jeżeli komunikowały się w częstotliwości ultradźwiękowej, to stwierdzenie tego faktu musiało jeszcze poczekać. Stworzyły za to kilka przedmiotów, a ich zdolności rozumowania zdumiewały obu mężczyzn. Ujrawszy je po raz pierwszy, Rainsford uparł się, by Jack nagrał sprawozdanie.

Dwadzieścia cztery godziny później nagrania wysłuchało kilka osób – między innymi Victor Grego, naczelny dyrektor Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra. Jeżeli, co wydawało się hipotezą dość prawdopodobną, Kudłacze były istotami myślącymi, Zaratustra automatycznie stawała się planetą zamieszkaną klasy IV, co podważało statut, który dawał Kompanii całkowite prawo własności nad Zaratustrą jako planetą niezamieszkaną klasy III.

Instynkt podpowiadał Grego, żeby walczyć, a był to człowiek pomysłowy, stanowczy i bezwzględny. Nie był też głupi, o co posądzał kilku swoich podwładnych. Tydzień później wszyscy mieszkańcy planety wiedzieli o Kudłaczach, bo jeden z kierowników KKZ, człowiek nazwiskiem Leonard Kellogg, został oskarżony o morderstwo (określone jako nieuzasadnione pozbawienie życia istoty dowolnego gatunku myślącego) za śmiertelne pobicie Złotowłosej, samicy Kudłaczy. Jack Holloway usłyszał analogiczne zarzuty po zastrzeleniu uzbrojonego pracownika Kompanii, który próbował interweniować, gdy Holloway wymierzał Kelloggowi fizyczną karę. Rezultat obu procesów, toczących się na wspólnym posiedzeniu, w całości zależał od uznania, czy Kudłacze są istotami myślącymi, czy tylko uroczymi zwierzątkami. Na wokandę trafiła sprawa „Ludzie z kolonii Zaratustra kontra Holloway i Kellogg”, choć, począwszy od prawnika Hollowaya, Gusa Brannharda, wszyscy posługiwali się nazwą „Przyjaciele Kudłaczka kontra Koncesjonowana Kompania Zaratustra”.

Kudłaczek i przyjaciele zwyciężyli. Dnia 14 września sędzia najwyższy Frederic Pendarvis huknął młotkiem, odczytawszy wyrok, który przeszedł do prawnej historii Federacji Terrańskiej pod nazwą Decyzji Pendarvisa. Zaratustra stała się planetą zamieszkaną klasy IV; władzę aż do wyłonienia nowego rządu kolonialnego musiała przejąć Marynarka Kosmiczna, a jakiś czas później gubernatorem generalnym mianowano Bennetta Rainsforda. Statut KKZ był równie martwy, co kodeks Hammurabiego.

Kudłacz kudłacz holloway został zaś przemianowany na *Kudłacza sapiens zarathustra*.

2.

On nie wiedział, że ktokolwiek nazywa go Kudłaczem. Jeśli jego pobratymcy uciekali się do jakiegoś określenia, to Gashta, czyli „Ludzie”.

Były też inne zwierzęta, ale one nie przypominały Ludzi. Nie umiały mówić i nie zawierały przyjaźni. Niektóre były duże i groźne, jak na przykład trzyrogie hesh-nazza, polujące nocą „krzykacze”, lub, o zgrozo, gotza, które wznosiły się na szerokich skrzydłach i nurkowały z powietrza na swe ofiary. Inne były małe i nadawały się do jedzenia – wśród nich najlepiej smakowały zatku, które dreptały przez trawę na licznych odnóżach i kryły pod twardymi skorupami słodkie białe mięso. Jedne zwierzęta zabijały, by się pożywić, drugie robiły wszystko, żeby nie zostać pożartymi, podczas gdy trzecie wykorzystywały każdą sposobność na zabawę.

Polowanie dostarczało wiele zabawy, o ile zwierzyna dopisywała, a głód za bardzo nie doskwierał. Zabawnie było też przechytryć tego, który polował i wymknąć się z potrzasku. Zabawnie było dokazywać i gonić się po lesie, odkrywać nowe rzeczy, budować nocne schronienia i tulić się w nich, rozmawiając tak długo, aż nadejdzie sen. A gdy słońce wynurzało się w końcu ze swej norki, nastawał nowy dzień obfitujący w nowe, ciekawe zdarzenia.

Było tak, odkąd sięgał pamięcią, czyli od dawna. Nie umiałby zliczyć, jak wiele razy liście żółkły na drzewach, brązowiły i spadały z gałęzi. Wszyscy ci, których pamiętał ze swej gromady jeszcze z czasów dziecięcych, zniknęli – zostali zabici albo sami odeszli. Dołączyli nowi, którzy nazwali go Toshi-Sosso – Ten Mądry lub Ten, Który Wie Najlepiej – i postępowali tak, jak im doradził. Zaczęli go słuchać, gdy Sędziwa „zrobiła się martwa”. Sędziwa była samicą; Mała Ona, krocząca u jego boku, córką

Sędziwej i jedną z niewielu Gashta, która urodziła się żywa i żyła dłużej niż tylko krótką chwilę.

To właśnie Mała Ona dostrzegła krzak jagód jako pierwsza i krzyknęła zaskoczona:

– Patrzyć, czerwone jagody! Jeszcze nie całkiem zrobione, „dobre do jedzenia”!

Pora na jagody była dość późna; teraz, w większości brązowe i twarde, nie smakowały najlepiej. Minie wiele czasu, zanim pojawią się nowe – już po porze odrastania liści i gnieźdzenia się ptaków. A tymczasem będą jednak inne rzeczy „dobre do jedzenia”: już niebawem na drzewie, które wszyscy znali, wyrosną wielkie, brązowe orzechy – w roztrzaskanych łupinach krył się miękki, smaczny środek. Nie mógł się ich doczekać, choć nie rozumiał, dlaczego wszystkie rzeczy „dobre do jedzenia” nie rosną jednocześnie. Cieszyłby się, gdyby rosły, ale od zawsze było inaczej.

Słoczyli się przy krzaczku, uważając na ostre kolce, i wrzucali sobie jagody prosto do ust, a następnie wypluwali pestki. Śmiali się i rozmawiali, jak smaczne są owoce i jak wspaniale, że znaleźli je tutaj pomimo późnej pory. Niektóre z młodszych osobników przez podekscytowanie zapomniały o czuwaniu, a on natychmiast je skarcił:

– Uważać cały czas. Patrzyć, słuchać. Nie patrzeć, a coś przyjść i nas zjeść.

Tak naprawdę nic im nie groziło. W pobliżu nie widział żadnego ze zwierząt, których z jakichś powodów powinni się obawiać, a inne nie słyszały głosów Ludzi. Mimo to zawsze trzeba czuwać. Gdy ktoś o tym zapomniał, szybko robił się martwy.

Bycie Tym Mądrym nie należało do rzeczy łatwych. Inni oczekiwali, że będzie myśleć za nich, a to nie było dobre. Przypuśćmy, że któregoś dnia sam zrobi się martwy – kto wówczas będzie myśleć za nich? Zjadłszy jagody, stali czekając, aż powie im, co dalej.

– Co teraz robić? – zwrócił się do nich z pytaniem. – Gdzie iść?

Patrzyli na niego zdziwieni, aż w końcu Druga Ona, która dołączyła do gromady między porą gnieźdzenia się ptaków a porą jagodową przed ostatnim wędnięciem, powiedziała:

– Polować na zatku. Może znaleźć zatku dla wszystkich?

Chodziło jej o to, by każdy dostał zatku dla siebie. Niemożliwe, nie było aż tyle zatku. Dzień przed dniem wczorajszym znaleźli dwie sztuki, a każda wystarczyła na zaledwie kilka kęsów. Poza tym tutaj, między skałami, nie mieli co liczyć na zatku, dla których nastąpiła pora składania jaj. Wszystkie uciekały tam, gdzie była miękka ziemia, żeby kopać jamy na jajka. Ale może znajdą hatta-zosa? Widział kilka młodych drzew o pniach ogryzionych z kory. Hatta-zosa były „dobre do jedzenia” – jeśli zabiją dwie lub trzy sztuki, starczy mięsa, żeby nikt nie czuł się głodny.

Poza tym zabijanie hatta-zosa było wspaniałą zabawą. Hatta-zosa, prawie tak duże jak Ludzie, miały mocne szczęki i ostre zęby, a w sytuacji bez wyjścia walczyły zaciekle. Trudno je było zabić, a trudne rzeczy sprawiały Ludziom radość. zaproponował, by polowali na hatta-zosa i wszyscy zgodnie mu przyklasnęli.

– Hatta-zosa zostawać między skałami – zauważył młody samiec, którego zwali Szukaczem Owoców. – Skał więcej na szczycie wzgórza.

– Poszukać płynącej wody – dodała Duża Ona. – Iść tam, gdzie wychodzić z ziemi.

– Szukać miejsc, gdzie hatta-zosa ogryzać drzewa.

To ostatnie zaproponował Ten Kulawy. Tak naprawdę wcale nie był kulawy, lecz kiedyś zranił się w nogę i przez pewien czas utykał, więc nazwali go Tym Kulawym, bo nikomu nie przychodziło do głowy lepsze imię.

Rozpoczęli polowanie w równym szeregu, pierś w pierś, a każdy uważał na tych po bokach. Polowali, idąc; niezbyt poważnie, bo przecież dopiero co zjedli jagody i jeśli znajdą hatta-zosa, mięsa dla wszystkich będzie aż nadto. Raz Ten Mądry zatrzymał się przy gnijącym pniu i pogrzebawszy

w nim ostrym zakończeniem „kija do zabijania”, wyciągnął ze środka apetycznego białego robaka. Raz czy dwa słyszał, jak ktoś rzuca się w pogoń za jedną z drobnych żółtych jaszczurek. Wreszcie dotarli do niewielkiego strumienia i zatrzymali się, by na zmianę pić wodę i pilnować okolicy. Poszli dalej, do źródła, gdzie woda wypływała z ziemi.

Dobra okolica, żeby się schować, jeśli coś zacznie ich gonić. W pobliżu rosły drzewa o ostrych gałęziach, gotza na pewno nie odważyłby się nurkować w korony. Powiedział o tym głośno, a inni się zgodzili. Przez drzewa ujrzął w górze klif z żółtej skały. Hatta-zosa upodobały sobie takie miejsca. Inni trzymali się z tyłu, żeby mógł prowadzić, i podążali za nim gęsiego. Od czasu do czasu ktoś wskazywał na pień ogryziony z kory. Po chwili zarośla otworzyły się na polanę u podnóża klifu.

Było tam siedem hatta-zosa, szarych bestii, które ramionami sięgały Ludziom do pasa. Żuły korę. Wiedział, że nie zdołają zabić wszystkich, jeśli jednak powalą trzy lub cztery sztuki, zdobędą więcej mięsa, niż zdołają zjeść. Inni już podnosili z ziemi kamienie i układali je sobie w zgięciach łokci, gdzie łatwo je było nosić.

Dotknął Tego Kulawego głownią „kija do zabijania”.

– Ty – zaczął – Głazotłuk, Druga Ona. Iść z powrotem w krzaki i wyjść z drugiej strony. My tu czekać. Wy zagonić hatta-zosa w naszą stronę i zabić jak najwięcej.

Ten Kulawy kiwnął głową na znak zgody, po czym, wraz ze swymi kompanami, wymknął się bezszelestnie. Ten Mądry i pozostali musieli czekać długą chwilę, aż w końcu doleciał ich głos Tego Kulawego – głos, którego nie słyszały hatta-zosa.

– Uważać teraz. My iść.

Trzymał w wolnej ręce kamień, gotów do rzutu, gdy Ten Kulawy, Głazotłuk i Druga Ona wypadli z zarośli, miotając pociskami. Kamień Drugiej powalił hatta-zosa, a ona roztrzaskała mu czaszkę kijem. Głaz, którym sam rzucił, zamroczył inną sztukę; cisnął raz jeszcze, lecz tym

razem chybił, więc pognał naprzód, wymachując kijem. Z każdej strony dolatywały pokrzykiwania, wszędzie przemykały rozmazane kształty zwinnych postaci o złotej sierści. Aż raptem wszystko zamarło – zabili cztery sztuki, trzem udało się wymknąć. Inni powiedzieli, że trzeba je gonić.

– Nie. Mieć mięso, jeść mięso – odpowiedział. – Później odejść i czekać, aż hatta-zosa wrócić. Gdy po ciemności znów być jasna pora, wrócić i zabić kolejne.

Inni nie wybiegali myślami aż tak daleko naprzód – oto powód, dla którego pozwalali, by to Ten Mądry myślał. Rozglądali się w poszukiwaniu kamieni, które dałoby się roztrzaskać i użyć do krojenia hatta-zosa, ale wszystkie były miękkie. Musieli wykorzystać własne zęby i palce. Pomagali sobie nawzajem: jeden stawał na szyi hatta-zosa, podczas gdy dwaj inni ciągnęli za zadnie nogi, by rozerwać zwierzę. Używali kamieni jak maczug do łamania kości.

Z początku jedli zachłannie, bo ostatni raz mieli w ustach mięso w poprzedniej porze wysokiego słońca. Zaspokoiwszy pierwszy głód, posilali się wolniej, rozmawiając przy tym o zabijaniu i przechwalając się swymi dokonaniem. Ten Mądry znalazł płaską, brązową część, którą lubił najbardziej, zjadł pół, a drugie pół oddał Małej Jej. Inni też szukali smakołyków, żeby dzielić się z kompanami.

To właśnie wtedy usłyszał dźwięk strachu: bardziej gwałtowne wibrowanie w głowie niż prawdziwy hałas. Inni też to usłyszeli i przestali jeść.

– Gotza się zbliżać – powiedział. – Dwa gotza.

Szybko skierowali oczy w niebo, po czym zaczęli pośpiesznie rozrywać mięso zębami i zapychać sobie usta. Nie zostało im wiele czasu, by nacieszyć się ucztą. Ten Mądry przytknął dłoń do głowy, chcąc osłonić wzrok przed słońcem, i wtedy ujrzał zbliżającego się gotza – chude ciało między szerokimi, ostro zakończonymi skrzydłami, szpiczastą głowę i długi

ogon. Gotza był blisko – dużo bliżej, niżby sobie tego życzył, i z pewnością już ich zobaczył. Za nim leciała druga, a jeszcze dalej trzecia sztuka. Niedobrze.

Wszyscy porwali z ziemi „kije do zabijania” i chwycili wielkie udźce, które zostawili na koniec, na wypadek, gdyby musieli uciekać. Pierwszy gotza już nurkował w zbiegowisko, a oni skakali między drzewa, kiedy stało się coś strasznego.

Sponad klifu nadleciał głośny hałas podobny do huku pioruna, ale krótki i groźny. Ten Mądry nigdy wcześniej nie słyszał podobnego dźwięku. Najbliższy gotza załopotał skrzydłami i spadł prosto na ziemię. Odezwał się drugi grzmot, ostrzejszy, lecz nieco cichszy, który sprawił, że drugi gotza runął w drzewa, rozbijając się o konary. Trzeci hałas, identyczny jak pierwszy, strącił ostatniego gotza w las. Zapadła cisza.

– Gotza zrobić się martwe! – ktoś zakrzyknął. – Co robić?

– Grzmiący hałas zabić gotza. Może teraz zabić nas?

– Złe, złe miejsce – ubolewał głośno Ten Kulawy. – Lepiej szybko uciekać.

Umykali w stronę strumienia, niosąc tyle mięsa, ile tylko się dało. Wokół zapadła cisza, przerywana jedynie świergotem ptaków, które także zaniepokoił donośny hałas. Wreszcie zamarli, bo nie było słychać niczego prócz brzęczących owadów. Zaczęli jeść. Po jakimś czasie pojawił się nowy dźwięk – przenikliwy, ale nie przykry. Wydawał się przemieszczać, aż po jakimś czasie ucichł i zginął w oddali. Ptaki podjęły swoje trele.

Ludzie sprzeciali się, jedząc. Nikt nie rozumiał, co się wydarzyło, a większość chciała odejść jak najdalej. Możliwe, że mieli rację, Ten Mądry zamierzał jednak dokładniej zbadać sprawę, zanim opuszczą to miejsce.

– Przyjść nowa rzecz – wyjaśnił. – Nikt nigdy nie opowiadać o takiej rzeczy. Jeśli ona zabijać tylko gotza, to dobrze. Jeśli zabijać też Ludzi, źle. Nie wiedzieć. Lepiej dowiedzieć się teraz, zanim robić coś dalej. –

Skończywszy żuć mięso, odrzucił kość i przemył ręce. Wylał je o trawę, po czym chwycił kij. – Ruszać z powrotem. Może czegoś się dowiedzieć?

Inni się bali, ale to on był Tym Mądrym – Tym, Który Wie Najlepiej. Skoro sądził, że powinni wrócić, tak należało zrobić. Czasami było dobrze, kiedy jeden myślał za pozostałych; dzięki temu unikało się kłótni i szybko przechodziło do działania.

Na polanie u podnóża klifu leżał pierwszy gotza, a jego ciało pożerały już ptaki feekee. Dobry znak – ptaki feekee nigdy nie skubały niczego, co miało w sobie życie. Poderwały się z pretensjami do lotu, gdy Ten Mądry zbliżył się wraz resztą.

Pod jednym ze skrzydeł gotza widniał nieduży, krwawiący otwór, jakby ktoś wbił w ciało ostry patyk, choć Ten Mądry nie umiał sobie wyobrazić, jak cokolwiek mogłoby przebić równie twardą, łuskowatą skórę. Spojrzał na drugą stronę i wydał z siebie okrzyk niedowierzania, który natychmiast przyciągnął pozostałych Ludzi. Cokolwiek zraniło gotza, przeszło na wylot, wyrwijąc w ciele ogromną ranę. Może to piorun, chociaż niebo było błękitne; nieraz widział, co potrafi uczynić piorun, który uderza w drzewo. Odnalazł drugą sztukę – tę, która runęła w gałęzie. Miała dziurę w podbródku i roztrzaskaną na kawałki czaszkę, a górna część głowy w ogóle zniknęła. Zastanawiał się, czy powinni szukać w lesie trzeciej sztuki, ale ostatecznie uznał, że to strata czasu. Inni wymieniali zdumione uwagi. Nikt nigdy nie słyszał, by coś zabijało w taki sposób.

Nie potrafił ich nakłonić, żeby weszli z nim na szczyt klifu, więc zaczął się wspinać w pojedynkę. Zanim jednak dotarł na szczyt, już za nim podążali, bo wstydzili się zostać na dole. U góry nie rosły żadne drzewa, tylko kilka samotnych krzaków i kępki trawy na piaszczystym podłożu. Cisza i spokój. Wszystko wydawało się całkiem zwyczajne, dopóki nie ujrzał śladów.

Były inne niż te, jakie sam widział i o jakich kiedykolwiek słyszał, tym niemniej trochę przypominały ślady Ludzi. Z pewnością zostawiła je istota,

która poruszała się na dwóch nogach. Brakowało im jednak odcisku palców; miały kształt płaskiej stopy, która rozszerzała się pośrodku i zaokrąglala na końcu, a odcisk pięty wyglądał niczym dziwne, odwrócone kopyto. Były też wielkie, trzykrotnie większe od śladów Ludzi. Cokolwiek je zostawiło, miało krok dłuższy od wzrostu przeciętnego Gashta. Ten Mądry wypatrzył dwa podobne zestawy śladów, tylko nieznacznie różniące się od siebie rozmiarem i kształtem.

Zastanawiał się przez moment, czy przypadkiem nie zostawił ich jakiś nieznan rodzaj Ludzi olbrzymów. Nie, wykluczone; Ludzie to Ludzie, nie istniały inne rodzaje. A przynajmniej nikt mu nigdy o nich nie opowiadał. Chociaż, z drugiej strony, nikt mu też nie opowiadał o rzeczy, która zabija lecącego gotza grzmotem pioruna.

Zorientował się, że na szczycie klifu musiało jeszcze do niedawna spoczywać coś potężnego i ciężkiego: krzaki były połamane, trawa zgnieciona, a niektóre kamienie zmiażdżone. Nieznane ślady pokrywały całą okolicę. Ci, którzy je zostawili, musieli przynieść tu tę wielką, ciężką rzecz, a następnie zabrać z powrotem, co oznaczało, że dysponowali niesłychaną siłą.

A także, że jednak byli Ludźmi, bo tylko Ludzie nosili ze sobą rzeczy.

Jeden z samców o przezwisku Dziabak, który lubił zabijać za pomocą ostrej końcówki kija, niechętnie używając tępej strony, też o tym pomyślał.

– Przynieść tu wielką rzecz i zabrać. Szukać śladów, dokąd pójść, a kiedy znaleźć, my iść w przeciwnym kierunku.

Dziabak nie czekał, aż ktoś inny zrobi za niego całe myślenie. Ten Mądry zapamiętał to sobie, żeby później nauczyć Dziabaka wszystkiego, co sam wiedział. W ten sposób, jeśli umrze, Dziabak będzie mógł przewodzić gromadzie. Zaczęli odchodzić z miejsca, gdzie leżała ciężka rzecz, przesuując się w stronę krawędzi klifu. To właśnie w tamtym miejscu Mała Ona znalazła pierwszą z lśniących rzeczy.

Krzyknęła i podniosła ją wysoko, by inni zobaczyli. Nie powinna była tego robić – nie wiedziała, co to takiego. Na szczęście rzecz nie wyrządziła jej krzywdy i Ten Mądry zabrał ją, żeby samemu obejrzeć. Nie była żywa, ani teraz, ani kiedykolwiek wcześniej. Ten Mądry znał żywe rzeczy, rzeczy, które przemieszczały się jak Ludzie i jak zwierzęta. Żywe rzeczy „robiły się martwe”. Były też rosnące rzeczy, na przykład drzewa, trawa, owoce i kwiaty, i wreszcie „rzeczy z ziemi”: kamyki, skały czy piasek. Zazwyczaj łatwo dało się określić, co jest czym, lecz nie w przypadku tego znaleziska.

Żółte i jasne, lśniło w promieniach słońca. Kształt miało długi i obły; było nieco dłuższe od ręki, otwarte z jednej strony i zamknięte z drugiej. W pobliżu otworu zwężało się nagle i znów prostowało. Wzdłuż zamkniętej części biegł rowek, pośrodku zaś widniała plamka – bardziej biała niż żółta i wgnieciona do środka, jakby ktoś z całych sił uderzył w nią czymś ostrym. Powierzchnię wokół plamki znaczyły dziwaczne wzory. Ten Mądry obwąchał otwarty koniec – wydzielał ostrą, gorzką woń, zupełnie mu nieznaną.

Głazotłuk znalazł drugą podobną rzecz, ale odrobinę mniejszą i mocniej zwężającą się ku zamkniętemu końcowi, a zaraz potem trzecią, taką samą jak ta, którą znalazła Mała Ona.

Trzy grzmoty, jeden cichszy od pozostałych. Trzy jasne rzeczy, jedna mniejsza od pozostałych. Dwa rodzaje świecących rzeczy i dwa rodzaje odcisków na ziemi. To musiało coś znaczyć. Ten Mądry postanowił, że jeszcze się nad tym zastanowi, a teraz prześledził dokładniej ślady pozostawione przez intruzów. Było ich wiele dookoła miejsca, gdzie spoczęła ciężka rzecz; część prowadziła na krawędź klifu, ale żadne w innych kierunkach.

– Może odlecieć – stwierdził Dziabak. – Jak ptak, jak gotza.

– I zabrać wielką, ciężką rzecz? – zapytała sceptycznym tonem Duża Ona.

– Jak inaczej? – upierał się Dziabak. – Przyjść stąd i odejść, a na ziemi nie zrobić dalej żadnych śladów. Tylko odlecieć, jak inaczej?

Na niebie w oddali krążył jeszcze jeden gotza. Ten Mądry wskazał go ręką. Już wkrótce gotza będzie więcej, przylecą żerować na trzech, które zginęły. Gotza zjadały swoich martwych – kolejny powód, dla którego Ludzie czuli do nich odrazę. Lepiej odejść, bo za chwilę tamten gotza będzie wystarczająco blisko, by ich spostrzec. Dotarł do nich cichy łopot skrzydeł.

Dźwięk skrzydeł! Nagle zrozumiał, co słyszeli przy strumieniu. Przenikliwy, drgający odgłos był dźwiękiem skrzydeł Dużych.

– Tak – odezwał się. – Oni odlecieć. A my to słyszeć.

Ponownie spojrzął na lśniąca rzecz, którą trzymał w ręce i porównał z dwoma innymi.

– Lśniąca rzecz ładna – powiedziała Mała Ona. – Zatrzymać?

– Tak – odparł. – Zatrzymać.

Ten Mądry przyjrzał się wzorom, które zdobiły zamknięty koniec. Wiele rzeczy miało wzory: owoce i kamienie, skrzydła owadów, skorupy zatku. Odszukiwanie rzeczy z dziwnymi wzorami i rozmawianie o ich kształtach było wspaniałą zabawą. Jednakże, o ile wiedział, nigdy dotąd nikt jeszcze nie odnalazł rzeczy, która byłaby przyozdobiona kółkiem w kółku i ciągnącymi się dookoła, nieznanymi znakami.

Mimo to nie zastanawiał się, jaki jest ich sens. Wzory nie miały sensu – czasami się po prostu zdarzały.

3.

Jack Holloway podpisał dokument – zgodę na awansowanie żołnierza Felixa Krajewskiego z Zaratustriańskich Sił Ochrony Autochtonów do rangi kaprała – po czym cisnął papiery na tackę korespondencji wychodzącej. Z otwartej części baraku z prefabrykatów wtargnął przyjemnie chłodny wiatr, niosąc z zewnątrz hałas prac konstrukcyjnych, który wydawał się konkurować z terkotem komputerów i biurobotów w głównym gabinecie za przegrodą. Odłożył pióro, potarł wąsy kostką palca wskazującego i podniósł swoją fajkę, by jeszcze raz zapalić. W końcu sięgnął do tacki z korespondencją przychodzącą.

Podanie o wypłacenie kwoty pięciuset pięćdziesięciu soli w ramach zadośćuczynienia za szkody wyrządzone przez Kudłacze, zatwierdzone na podstawie śledztwa przeprowadzonego przez George'a Lunta, majora dowodzącego ZSOA. Holloway przypomniał sobie ten incydent – grupa leśnych Kudłaczy prześliznęła się przez łańcuch posterunków George'a na południowym krańcu Piedmontu i wtargnęła na plantację cukru, żeby trochę podokazywać. Prawdopodobnie zniszczyły jedną dziesiątą tego, co mogli stracić na skutek działania krewetek ziemnych, gdyby nie zabiły ich Kudłacze. Tylko że rząd nie odpowiadał za krewetki; rząd ponosił pełną odpowiedzialność za działania Kudłaczy, a pierwszego plantatora, który nie próbowałby w takiej sytuacji oszwabić władzy, należałoby wypchać i postawić w muzeum niespotykanych okazów. Holloway zatwierdził dokument i wyciągnął rękę po następny.

Ten był dużo obszerniejszy, wiele arkuszy papieru spiętych zszywaczem. Podważył i wyciągnął zszywkę. Pismo przewodnie od gubernatora generalnego Bennetta Rainsforda, do wiadomości Komisarza ds. Autochtonów; a zaraz potem drugie, tym razem z nagłówkiem

Kontrkoncesjonowanej Kompanii Zaratustra, z podpisem prezesa Victora Grego. Holloway wyszczerzył się szeroko na widok nowej nazwy. Typowy wisielczy humor Grego, choć musiał przyznać, że zmiana miała sens, bo pozwalała zachować poprzedni akronim, a co za tym idzie także znak handlowy stosowany przy znakowaniu bydła. Każdy, kto kiedykolwiek próbował wypalić dojrzałego trawożera, doskonale rozumiał zalety tego posunięcia.

Potwierdzenie wydobycia osiemnastu kamieni słonecznych o łącznej masie 93,6 karata, wyłącznie w celach badawczych, jeszcze przed podpisaniem zezwolenia na dzierżawę kanionu Yellowsand. Kopia pokwitowania podpisana osobiście przez Victora Grego i głównego geologa, zatwierdzona przez Gerda van Riebeeka, kierownika Oddziału Naukowego i porucznika Hirohito Bjornsena z ZSOA. Kolorowe zdjęcia każdego z osiemnastu kamieni – piękne, chociaż żadna fotografia nie była w stanie oddać sprawiedliwości ciepłemu kamieniowi słonecznemu, który promieniował termofluorescencją. Holloway oglądał je wszystkie uważnie; sam w przeszłości parał się wykopywaniem kamieni, więc dobrze wiedział, na co patrzy. Sto siedemnaście tysięcy soli na terrańskim rynku klejnotów, a z tego czterdzieści dwa tysiące sto dwadzieścia w honorarium dla rządu, by zarządzał pieniędzmi w imieniu Kudłaczy. A to nie był nawet przedsmak samej przystawki – to były zaledwie próbki ze wstępnych poszukiwań! W przyszłym roku, o tej samej porze...

Oparafował pismo Bena Rainsforda, zszył z resztą papierów i wrzucił do teczki na dokumenty. W tej samej chwili zabuczał ekran komunikacyjny. Obróciwszy się na krześle, włączył urządzenie i za jego pośrednictwem zajrzał do wnętrza innego baraku z prefabrykatów – podobnego do tego, w jakim sam siedział, lecz oddalonego o tysiąc pięćset mil na północ od Rezerwatu Kudłaczy. Z ekranu patrzył na niego młody mężczyzna o jasnych włosach i przyjemnie surowej, ogorzałej twarzy. Był ubrany w strój myśliwski, a klapy jego kurtki wypychały magazynki karabinowe.

– Hej, Gerd. Co nowego?

Gerd van Riebeek wzruszył ramionami.

– Po staremu, wciąż siedzę na stercie kamieni wartej grube miliardy soli. Victor Grego tu był, słyszałeś już?

– Ta. Dosłownie przed chwilą oglądałem zdjęcia kamieni. Ile krzemienia musiał przerzucić, żeby się do nich dostać?

– Jakies siedemdziesiąt pięć ton. Wykopał je z pięciu różnych lokalizacji po obu stronach kanionu. Zajęło mu to osiem godzin, już po ściągnięciu piaskowca.

– Niezły wynik – lepszy niż ja kiedykolwiek osiągnąłem. A wydawało mi się, że będę krezusem, bo znalazłem jeden kamyk w sześciu tonach krzemienia. Możemy powiedzieć Kudłaczom, że są teraz obrzydliwie bogate.

– Będą chciały wiedzieć, czy to się nadaje do jedzenia – odparł Gerd.

Tak, to całkiem prawdopodobne. Zapytał Gerda, czy widział ostatnio wiele Kudłaczy.

– Owszem, na południe od działu wodnego. Całkiem sporo, ale w małych grupkach, większość zmierzała na południe lub na południowy zachód. Choć dużo łatwiej zobaczyć je na filmach niż w rzeczywistości. Natomiast na północ od działu prawie wcale. Och, pamiętasz tę grupę, którą widzieliśmy tamtego dnia, gdy znaleźliśmy krzemień kamienia słonecznego? Tę, która zabiła parę głuptaków i urządziła sobie piknik?

Holloway zaśmiał się na wspomnienie konsternacji Kudłaczy, którą spowodowało pojawienie się harpii, a później ogień sztucerów powalający wszystkie trzy sztuki.

– „Grzmiący hałas zabić gotza. Może teraz zabić nas” – przedrzeźniał jednego z maluchów. – „Złe, złe miejsce. Lepiej szybko uciekać”. Chłopie, napędziliśmy im niezłego stracha!

– Nie tak wielkiego, jak ci się wydaje. Musiały wrócić, gdy tylko się stamtąd zwinęliśmy – poinformował go Gerd. – Przelatywałem dziś rano tą

samą trasą i od razu rozpoznałem to miejsce. Z martwych harpii zostało niewiele, sterta kości – pewnie ogryzły je inne harpie i co tam jeszcze. Wylądowałem na górze, tam gdzie poprzednio. To było ze trzy tygodnie temu, kilka razy padało, więc deszcz zatarł ślady. Nawet nie potrafiłem stwierdzić, gdzie posadziliśmy kuter, ale zorientowałem się, że były tam Kudłacze, po tym, czego nie znalazłem.

Gerd urwał, uśmiechnięty od ucha do ucha; czekał, aż Holloway pociągnie go za język.

– Pewnie łuski, dwie z mojego 9,7 i jedną z twojego Sterberga – odgadnął Holloway. – No jasne, przecież to takie śliczne błyskotki. – Znów się roześmiał. Kudłacze zawsze zbierały zużyty mosiądz. – Jak wpadniesz na paru maluchów z łuskami po naszych pociskach, od razu będziesz wiedział, z kim masz do czynienia.

– Wątpię, żeby je sobie zostawiły. Pewnie już dawno znudziły się nimi i wyrzuciły.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż w końcu Gerd zerwał połączenie – pewnie chciał zadzwonić do Ruth. Holloway wrócił do pracy. Minęło całe popołudnie, ale wreszcie uporał się ze wszystkimi papierkami, które nawarstwiły się tego dnia. Wstał zeszywniały z krzesła. Nie był przyzwyczajony do całodziennego tkwienia za biurkiem. Uzupełnił i zapalił fajkę, po czym chwycił kapelusz, rozglądając się za pistoletem, który powinien leżeć pod spodem. Dopiero po chwili dotarło do niego, że przecież zrezygnował z noszenia broni w obrębie obozu. Potoczywszy dookoła wzrokiem, by się upewnić, że nie zostawił na wierzchu nic, co mogłoby zainteresować Kudłacze, wyszedł na zewnątrz.

Załoga konstrukcyjna zdążyła postawić wszystkie ściany biura, do którego już wkrótce miał się przenieść ze swojego baraku, a teraz pracowała nad dachem. Koszary i kwatera główna ZSOA były gotowe i zamieszkane. Na dziedzińcu stały pojazdy antygravitacyjne – wozy patrolowe i bojowe. Część tych pierwszych była całkiem nowa,

jasnozielona z żółtymi dodatkami i oznaczeniem ZSOA; część tych drugich oliwkowozielona. Zarówno pojazdy, jak i ich piloci zostali wypożyczeni z Marynarki Kosmicznej. Po drugiej stronie strumienia stały budynki dawnego obozu, ale już ich nie widział – przez ostatnie dwa i pół miesiąca te nowe zbyt wysoko urosły, zasłaniając widok. Zresztą, całe to miejsce, znane jako Obóz Hollowaya i zaznaczone na mapach malutką kropką, zmieniło się nie do poznania.

Może nazwę też wypadałoby zmienić? Na przykład na Hoksu-Mitto, co w języku Kudłaczy oznaczało Wspaniałe Miejsce. Rzeczywiście wydawało się całkiem niezłe, szczególnie dla Kudłaczy, które dopiero co wyszły z wielkiego lasu. Chociaż te, które poleciały do dużo wspanialszego miejsca, Mallorysportu, by zamieszkać z ludzkimi rodzinami, wciąż używały tego określenia i wspominały obóz z nostalgią starego akademika, który tęskni za swą *Alma Mater*. Holloway próbował wysondować Bena Rainsforda w sprawie oficjalnej zmiany nazwy.

Na mostku bawiła się grupka Kudłaczy. Na widok Hollowaya podbiegły, popiskując. Wszystkie taszczyły zapinane na zamek błyskawiczny torby naramienne z doczepionymi finkami i łopatkami, wszystkie miały na gardłach srebrne dyski identyfikacyjne. Oprócz tego były uzbrojone w sześciocalowe ostrza ze stali na dwunastocalowych trzonkach, również stalowych, które zastąpiły im drewniane kije do zabijania krewetek. Była to całkiem nowa grupa, bo nie odebrała jeszcze szkolenia wokalnego. Włożywszy do ucha słuchawkę, Holloway uaktywnił wspomaganie słuchu, z którego korzystał coraz rzadziej.

– Papcio Jacku! Hejo, Papcio Jacku! – krzyczały Kudłacze. – Ty robić z nami zabawę?

Najwyraźniej spędziły w obozie wystarczająco dużo czasu, by nauczyć się, jak brzmi jego przydomek, które znał chyba każdy z trzystu sześćdziesięciu miejscowych maluchów (zgodnie z dzisiejszym podliczeniem). Naturalnie wszystkie uważały też, że Papcio Jack nie ma nic

lepszego do roboty niż bawić się od świtu do zmierzchu. Przykucnęła, chcąc przyjrzeć się z bliska dyskom identyfikacyjnym. Numeracja zawierała ciąg dwadzieścia-dwanaście, co oznaczało, że te osobniki zawitały do obozu trzy dni temu.

– Czemu wy nie być w szkole, dzieciaki? – zapytał, łapiąc tego, który bawił się zamkiem jego koszuli.

– Skole? Co to skole?

– Szkoła – poprawił go – to miejsce, gdzie Kudłacze uczyc się nowych rzeczy. Uczyc się rozmawiac jak Duzi, żeby Duzi nie wkładać „rzeczy do ucha”. Uczyc się wytwarzac przedmioty, dobrze się bawic... i tego, jak nie robic sobie krzywdy rzeczami Duzych. – Wskazał dlugi barak z fałdowanej blachy po drugiej stronie wybiegu. – Szkoła w tamtym miejscu. Isć ze mną, Papcio Jack pokazać.

Domyślał się, jak tu trafiły. Pewnie ta szajka spotkała w lesie Kudłacza, który powiedział im o Hoksu-Mitto, a one natychmiast wyruszyły w drogę. Wziął ich na hol Kudłaczek, Ko-Ko albo jeden z Kudłaczy Lunta lub Gerda i Ruth van Riebeeków, i przetransportował do kwatery ZSOA w celu ściągnięcia odcisków palców, założenia dysków identyfikacyjnych i wyposażenia w podstawowy sprzęt. Tak zaopatrzone maluchy puszczano wolno, by swobodnie dokazywały. Holloway ruszył przez mostek, a Kudłacze gnały przed nim i obok niego.

Wnętrze dlugiego baraku było zacienione i chłodne, lecz na pewno nie ciche. W środku przebywało około dwustu rozgadanych Kudłaczy. Gdy Holloway wyłączył wspomaganie słuchu, większość głosów zamieniła się w niewyraźne piski, ledwie słyszalny pomruk ultradźwiękowej mowy. Kudłacze z rodziny George'a Lunta – Dillinger i Ned Kelly – prowadziły zajęcia z klasą, w której większość uczniów potrafiła już obniżyć głos do częstotliwości słyszalnej dla ludzkiego ucha. Uczyły produkcji łuków i strzał i, wzięwszy pod uwagę, że same opanowały tę sztukę zaledwie miesiąc temu, radziły sobie doskonale, a klasa chłoneła wiedzę szybko i z

entuzjazmem. Tymczasem Kudłacze Hollowaya – Mike i Mitzi – pokazywały innej grupie, jak rozpala się ogień, pocierając długim i twardym patykiem o słoje miękkiego drewna. Skupiona wokół nich dwudziestka pokrzykiwała z entuzjazmem, gdy drewniany pył nagle zaczął dymić. Kolejne zbiegowisko otaczało kaprala ZSOA, który za pomocą składanego noża skórował drobne zwierzę, nazywane przez Terran zarającem. Jak każdy dobry glina, zawsze był czujny i świadomy, co się wokół niego dzieje. Podniósł wzrok.

– Cześć, Jack. Czekam, aż tamten tłum rozpali ogień, żeby pokazać im, jak się piecze zarająca na patyku. A potem nauczę ich wyprawiania skóry, tak jak to robili Indianie ze Starej Terry, i wytwarzania cięciw z suszonych jelit.

A gdy posiadą wszystkie te zdolności, polecą do Mallorysportu, by zaadoptowała ich jakaś ludzka rodzina, i nigdy więcej nie będą korzystać z nich w praktyce. Choć może to nie do końca prawda. Kudłacze były dość liczne – żyło ich dziesięć, może dwadzieścia tysięcy. Pomimo tego, co opowiadał wszystkim Kudłaczek – że każdy Kudłacz będzie mieć Dużego na własność – rzeczywistość nie wyglądała tak różowo. Po prostu prędzej czy później zabraknie chętnych do adopcji. Oznaczało to, że część maluchów z konieczności przeniesie się do posterunków ZSOA na południu albo na brzegi Wielkiej Czarnej Wody na zachodzie, żeby szkolić kolejne osobniki, które przekażą wiedzę potomkom. Produkcja łuków i strzał, rozpalanie ognia, gotowanie, wyprawianie skóry. A także wytwarzanie koszy i garnków. Patrząc na tę zgraję, trudno było uwierzyć, w jak prymitywnych warunkach egzystują leśne Kudłacze. Nie nauczyły się robić nawet zwykłych toreb, by wygodnie przenosić rzeczy, a przecież nieustannie musiały się przemieszczać, bo żyły z polowania i zbieractwa.

Kudłacz sapiens zarathustra. Holloway cieszył się, że zrezygnowali z idiotycznej nazwy „Kudłacz kudłacz holloway”. Ludzie zaczęli przezywać go Kudłacz-Kudłacz. Jeśli się nad tym zastanowić, dokonał

całkiem sporego przeskoku kulturowego od tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy usłyszał ciche „iiik” dolatujące z kabiny prysznicowej.

Z drugiego końca baraku spostrzegł go Kudłaczek i zaczął machać, a on odmachął mu na powitanie. Kudłaczek też prowadził zajęcia, z kultury zachowania się wśród Dużych. Holloway rozmawiał jeszcze przez chwilę z kapralem Carstairsem i jego uczniami. Rozbrykana banda, którą przyprowadził do szkoły, chciała tam zostać, ale jakoś zdołał odciągnąć ją do swojej dwójki, Ko-Ko i Kopciuszka, oraz Syndromu i Superego van Riebeeków – czteroosobowego zespołu, który prowadził szkolenie wokalne.

Umiejętność Kudłaczy do komunikowania się za pomocą ultradźwięków jako pierwsi zauważyli kolesie z Marynarki, którzy na czas procesu przygarnęli rodzinę Hollowaya. To także oni skonstruowali przyrządy do wspomagania słuchu. Po procesie, kiedy Victor Grego, swego czasu wróg Kudłaczy numer jeden, sam przygarnął Kudłacza i wkrótce stał się ich najlepszym przyjacielem, on i Henry Stenson zaprojektowali małe, samowystarczalne słuchawki, które umożliwiały Kudłaczom transmitowanie własnego głosu w częstotliwości słyszalnej dla ludzi. Jeszcze później Grego odkrył, że jego Kudłacz o imieniu Diament rozmawia na głos z baterią zepsutego kudłofonu. W jakiś sposób posiadał zdolność imitowania dźwięków, które – jak słyszał – sam wydawał, a w dodatku potrafił nauczyć tej sztuki swoich pobratymców. Obecnie jego uczniowie szkolili kolejne grupy.

W tej klasie znajdowało się kilka kudłofonów Stenson-Grego, z pistoletowymi uchwytami idealnie pasującymi do dłoni Kudłaczy i włącznikami zaciskowymi. Uczniowie przemawiali, a następnie zwalniali przycisk i starali się powtórzyć identyczne odgłosy już bez pomocy urządzenia. Wyglądało na to, że instruktązem kieruje Ko-Ko.

– Nie, nie! – mówił. – Nie w ten sposób. Robić mówienie z tyłu gardła, o tak.

– Iik?

– Nie. Spróbować jeszcze raz z „rzeczą do dłoni”. Teraz, trzymać mocno i mówić, no!

Syndrom van Riebeeka siedziała z boku bezczynnie.

– Ty robić mówienie do tych, tłumaczyć, jak się robi mówienie do Dużych – rzucił do niej Holloway, po czym odwrócił się w stronę grupki, którą przyprowadził. – Zostać tu i robić tak, jak oni tłumaczyć. Niedługo wy sami robić mówienie jak Duzi, a wtedy przyjść do Papcio Jacka, zrobić mówienie i dostać coś ładnego, dobrze?

Powierzywszy niesforną gromadę opiece Syndrom, podszedł do Kudłaczka, który siedział na pudle i palił fajkę zupełnie jak Papcio Jack. Paliło też kilka innych osobników dookoła niego, wszyscy z grupy zaawansowanej.

– U Dużych – mówił mieszaniną języka Kudłaczy i *lingua Terra* – każda rzecz do kogoś należeć i każde miejsce też do kogoś należeć. Nikt nie wchodzić do miejsca „kogo innego” ani nie zabierać rzeczy „kogo innego”.

– Żadne miejsce nie należeć do wszystkich jak las? – zapytał uczeń.

– Niektóre miejsca, tak. Duzi mieć Zond, a Zond dbać o miejsca wszystkich. To miejsce, Hoksu-Mitto, też jest miejsce Zondu. Kiedyś należeć do Papcio Jacka, ale Papcio oddać miejsce do Zondu, dla wszystkich – dla Dużych i dla Kudłaczy.

– Ale co jest Zond?

– Zond jest rzeczą Dużych. Wszyscy Duzi rozmawiać i wybierać niektórych do dbania o miejsca wszystkich. Zond nie pozwalać nikomu zabierać rzeczy „kogo innego” ani robić martwych ani robić krzywdy. Teraz Zond powiedzieć: nikt nie krzywdzić Kudłaczy, nikt nie robić martwych Kudłaczy, nikt nie zabierać rzeczy Kudłaczy. Mówić to w „Wielkiej Sali Mówienia”. Zły Duży zrobić martwą Złotowłosą, a inni Duzi zabrać go i też zrobić martwy. Wtedy wszyscy mówić: więcej nie krzywdzić Kudłaczy. Papcio Jack zrobić, żeby wszyscy tak powiedzieć.

W rzeczywistości sprawy potoczyły się trochę inaczej. Na przykład Leonard Kellogg nie został zabity – poderżnął sobie w więzieniu gardło, lecz samobójstwo podczas chwili niepoczytalności było koncepcją zbyt zawiłą dla umysłu Kudłaczy. Lepiej było odpuścić. Holloway ruszył dalej, do miejsca, gdzie rodzina George’a Lunta – Doktor Crippen, Lizzie Borden i Calamity Jane – uczyła obróbki drewna. Holloway stał przez chwilę na uboczu, obserwując, jak Kudłacze posługują się odpowiednio pomniejszych piłami, wiertłami, heblami i ośnikami. Wszyscy wyglądali na autentycznie zainteresowanych. Wkrótce pójda coś zjeść, a potem wróca, żeby pracować do późna w nocy. Budowali ręczny wózek – w całości, nawet koła. W pobliżu znajdowało się niewielkie palenisko kowalskie, w tej chwili wygaszone, a obok kowadło, żeby Kudłacze mogły same zajmować się obróbką metalu.

Dotarł na koniec baraku, gdzie siedzieli Ruth van Riebeek i Pancho Ybarra, psycholog z Marynarki, wypożyczony na stałe przez rząd kolonialny – ta pierwsza na stercie poduszek na podłodze, ten drugi na krawędzi stołu. Dookoła tłoczyło się kilkanaście Kudłaczy.

– Cześć, Jack – powitała go Ruth. – To kiedy wraca mój mąż?

– Jak tylko zdobędę podpisy na umowie i robotę przejmie KKZ. A co u dzieciaków?

– Och, nie jesteśmy już dziećmi, Papcio Jacku – odezwał się Ybarra. – Jesteśmy całkiem wyrośnięci, mamy stopnie naukowe, a za tydzień dołączymy do ciała pedagogicznego.

Holloway usiadł obok Ruth na poduszkach, a Kudłacze podeszły jeszcze bliżej, mając ochotę popykać z jego fajki i opowiedzieć, czego się nauczyły, a czego same będą uczyć. Zaraz potem oddaliły się parami. Zapanowało ogólne poruszenie i uczniowie z zajęć wokalnych też zaczęli się rozchodzić. Syndrom szła razem z nową grupą. Jeśli tylko uda jej się ściągnąć ich tu jutro... Holloway uważał, że szkole brakuje przede wszystkim kogoś, kto czuwałby nad wagarowiczami. Tymczasem Kudłaczom rozpalającym ogień

wreszcie udało się rozniecić żar i natychmiast dołączyła do nich klasa oprawiania i gotowania. Początkujący wytwórcy łuków i strzał już wyszli, ale stolarze pracowali w pocie czoła.

– Wiesz co, tak sobie pomyślałam – zagaiła Ruth – że naszemu programowi nauczania brakuje spójności.

– Ona uważa, że my tu mamy jakiś program! – zaśmiał się Ybarra. – Na razie zdobywamy praktykę metodą prób i błędów, chociaż przede wszystkim błędów. Najpierw musimy się przekonać, czego i jak uczyć, a dopiero wtedy pomyślimy o sformułowaniu programu – dodał, nagle poważniejąc. – Jack, zaczynam się mocno zastanawiać nad sensem całego tego pocierania patyków, strugania strzał i wyrabiania igieł z kości. Jasne, nie wszystkie Kudłacze trafią do adopcji, większość będzie musiała mieszkać w lasach albo na terenach granicznych otaczających nasze osady, ale przecież nie odetniemy ich od kontaktu z ludźmi. Dlaczego nie dać im narzędzi i broni wyprodukowanych przez nas?

– Wolalbym tego nie robić, Pancho. Nie chcę, żeby one całkowicie polegały na darach od ludzi. Byłeś na Loki, zgadza się? Wiesz, co się stało z tamtymi tubylcami? Zamienili się w bezwartościowe pasożyty, żerujące na Agencji Autochtonów. Nie podobałoby mi się, gdyby Kudłacze skończyły w taki sam sposób.

– Ale to przecież całkiem co innego, Jack – nie dawał za wygraną Ybarra. – Przetrawianie Kudłaczy i tak zależy wyłącznie od nas, z powodu hokfuzyny. Same jej nie zdobędą.

Rzecz jasna, Ybarra miał rację. Przodkowie obecnych Kudłaczy wytworzyli na drodze ewolucji gruczoł dokrewny, który wytwarzał specjalny hormon, nieobecny u żadnego innego gatunku ssaków z Zaratustry. Nikt nie był pewien, co doprowadziło do takiego stanu rzeczy; opierając się na swej wiedzy, niektórzy zgadywali, że hormon ów służył do neutralizacji trucizny, która w przeszłości musiała występować w naturalnej diecie Kudłaczy. Odkryty zaledwie kilka miesięcy wcześniej,

został obdarzony wielosylabową nazwą biochemiczną, z powodów praktycznych skróconą do NFM_p.

Problem polegał na tym, że mniej więcej w tym czasie, kiedy na Terze w dolinach Nilu i Eufratu kiełkowały pierwsze cywilizacje, środowisko Kudłaczy uległo radykalnej zmianie. Zniknął czynnik, który krył się za powstaniem NFM_p, a hormon – nagle niepotrzebny – zwrócił się przeciwko organizmowi. Coraz częściej dochodziło do przedwczesnych narodzin, wiele jednostek przychodziło na świat z defektami, bez szans na przeżycie. Jako gatunek, Kudłacze zaczęły wymierać. Obecnie została ich tylko garstka, zamieszkująca północną dzicz kontynentu Beta.

Istniało pewne antidotum, które uratowało Kudłaczy od całkowitego wymarcia – inny, równie skomplikowany, długi związek biochemiczny zawierający, między innymi, kilka atomów tytanu. Kudłacze pozyskiwały go, spożywając krewetki ziemne – zatku, jak je nazywały. Począwszy od pierwszego kontaktu z ludźmi, dostawały antidotum także w postaci substancji o piernikowej barwie i oficjalnej nazwie Porcji Żelaznej Nie z Tej Ziemi, Gatunek Trzeci. Jak większość syntetycznego żarcia, świństwo było znienawidzone przez żołnierzy i astronautów, którym je podawano, ale Kudłaczom wystarczył jeden kęs, żeby dostać na jego punkcie fioła. Mówiły o nim Hoksu-Fusso – „wspaniałe jedzenie”. Odkryty w nim związek chemiczny – ten sam, który występował w krewetkach ziemnych – natychmiast nazwano hokfuzyną.

– Hokfuzyna neutralizuje NFM_p i hamuje wydzielanie hormonu przez gruczoł – ciągnął Ybarra. – Ale nie możemy aplikować jej środowiskowo, musimy podawać indywidualnie wszystkim Kudłaczom – każdemu samcowi i każdej samicy. Zdrowe narodziny są możliwe tylko wtedy, gdy oboje rodzice przyjmują środek w dużych ilościach jeszcze przed poczęciem.

Kudłacze żyjące pośród ludzi nie narzekały na niedobór hokfuzyny, ale te, które próbowały radzić sobie samodzielnie w dziczy, nie miały tyle

szczęścia. Oznaczało to, że czynnik, którego Holloway tak bardzo chciał uniknąć – uzależnienia od ludzi – był uwarunkowany genetycznie, zupełnie jak apetyt na krewetki. Zegar nieubłaganie odmierzający czas do śmierci tykał od tysięcy pokoleń. Dziesięć małych Kudłaczy, dziewięć, osiem... Holloway nie wiedział, ile jeszcze urodzi się dzieci, zanim Kudłacze po prostu wyginą, jeśli ludzie nie zareagują na sytuację już dziś.

– Nie martw się tyle o kolejne pokolenie, Jack – odezwała się Ruth. – Powinniśmy się cieszyć, że w ogóle jakieś będzie.

4.

Leslie Coombes odłożył papierosa do popielniczki i podniósł drinka. Popijając go małymi łyżkami, pełen irracjonalnych obaw rzucił wzrokiem w stronę wielkiego globu, który obracał się nad podłogą we własnym polu antygrawitacyjnym, oświetlony przez symulację słońca. Wokół niego orbitowały dwa satelity: Kserkses i Darius. Darius, pomimo Decyzji Pendarvisa, wciąż należał do Kompanii; Kserkses nie należał nigdy. Federacja zaadaptowała go na bazę floty w czasach, kiedy powołano do istnienia poprzednią inkarnację Kompanii. Nocna linia cienia właśnie zetknęła się ze wschodnim wybrzeżem kontynentu Alfa i zbliżała się do kropki reprezentującej Mallorysport.

Victor Grego zauważył jego mimowolne spojrzenie i zaśmiał się głośno.

– Ciągłe się przejmujesz, Leslie? Przecież już przestali gryźć.

Owszem, ale trochę za późno – dopiero po Procesie Kudłaczy, kiedy zorientowali się, że każde słowo wypowiedziane w gabinecie Grego służyło Wywiad Marynarki, a Henry Stenson, który zbudował planetarium, w rzeczywistości był tajnym agentem Federacji. W środku schowano mikrofon i niewielki przekaźnik radiowy. Stenson zainstalował podobny zestaw w robocie barowym w rezydencji, co tłumaczyło, dlaczego poprzedni rezydent generalny, Nick Emmert, znajdował się właśnie na pokładzie niszczyciela lecącego na Terrę, gdzie miał odpowiedzieć przed sądem za nadużycia władzy. Coombesa dręczyło pytanie, ile takich urzędów Stenson rozsiał po całym Mallorysporcie. Rozłożył swoje mieszkanie na czynniki pierwsze, bezskutecznie szukając podsłuchu, i ciągle nie miał pewności, czy czegoś nie przeoczył.

– Zresztą, to i tak bez znaczenia – dodał Grego. – Teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Prawda, Diamencie?

Kudłacz przywarł jeszcze mocniej do siedzącego w fotelu Grego, zadowolony, że może wziąć udział w rozmowie Dużych.

– Prawda, wszyscy przyjaciele. Papcio Vic i Papcio Jack, Wujko Lezli i Wujko Gus, Papcio Ben, Flora i Fauna... – Diament wymieniał imiona wszystkich stworzeń, Kudłaczy i Dużych, które dziś żyły w świetnej komitywie. Zaskakująca lista – jeszcze parę miesięcy temu tylko wariat nazwałby Jacka Hollowaya, Bennetta Rainsforda i Gusa Brannharda przyjaciółmi Victora Grego. – Wszyscy teraz przyjaciele. Wszystko dobrze.

– Wszystko dobrze – zgodził się Coombes. – Przynajmniej na razie. Victor, cały się od niego skudkłacysz.

– Co z tego? To mój płaszcz, a to mój Kudłacz. Poza tym chyba jeszcze nie linieje.

– A wszyscy źli Duzi trafić do więzienie – nie przerywał Diament – i nie robić kłopotów. Jak być w więzieniu? Jak w ciemne, brzydkie miejsce, gdzie Duzi zamykać Kudłacze?

– Coś w tym stylu – odparł Grego.

Sęk w tym, że wcale nie wtrącili wszystkich złych Dużych za kraty – niczego nie zdołali udowodnić Hugo Ingermannowi, co pozostawiło u Coombesa pewien niesmak... Ten fakt o czymś mu przypomniał.

– Victor, znalazłeś resztę tych kamieni słonecznych?

Grego pokręcił głową.

– Nie. Z początku wydawało mi się, że Kudłacze zgubiły je gdzieś w systemie wentylacyjnym, ale przepuściliśmy autowizory przez wszystkie tunele – oczywiście bez rezultatu. Harry Steefer doszedł do wniosku, że własność musieli sobie przywłaszczyć jego gliniarze, ale przesłuchaliśmy wszystkich za pomocą aparatów do prawdometrii i niczego nie wykryliśmy. Niech mnie szlag, jeśli wiem, co się stało z tymi kamieniami.

– Ćwierć miliona soli piechotą nie chodzi...

– Do czasu. Poczekaj tylko, aż zgromadzimy w kanionie Yellowsand wystarczająco dużo ludzi i sprzętu – będziemy wydobywać dwa razy tyle

w ciągu jednego dnia! Mój Boże, Leslie, musisz zobaczyć to miejsce. Niesamowite – tylko tak potrafię je określić.

– A co tam jest, oprócz stery kamieni? Dzięki, ale chyba zdam się na twoją opinię.

– Otóż jest tam warstwa krzemienia słonecznego gruba na jakieś dwieście stóp, która ciągnie się wzdłuż czoła działu wodnego przez osiem i pół mili na zachód od kanionu i przez dziesięć na wschód. Następnie cofa się cztery mile i dopiero tam zwęża. Oczywiście leży na tym paręset stóp piaskowca, który będziemy musieli zedrzeć, ale zrzucimy to wszystko do kanionu. Na pewno będzie z tym mniejszy kłopot niż z osuszaniem Wielkiej Czarnej Wody! Umowy są gotowe do podpisania?

– Tak. Umowa ogólna zobowiązuje nas do kontynuowania wszystkich operacji, podjętych przez starą Kompanię. W zamian rząd wyraża zgodę na dzierżawę niezasiedlonych terenów, które na mocy Decyzji Pendarvisa zostały uznane za domenę publiczną, pomijając obszary na północ od Małej Czarnej Wody, północną odnogę Snake River oraz Rezerwat Kudłaczy. Umowa specjalna uprawnia nas również do dzierżawy terenów wokół kanionu Yellowsand. Płacimy czterysta pięćdziesiąt soli za każdy wydobyty karat termofluorescencyjnych kamieni słonecznych – pieniądze są przekazywane przez rząd Kudłaczom. Oba papiery mają obowiązywać przez dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

– Lub do chwili, gdy sąd uzna je za nieważne.

– Och, naturalnie, wciskałem odpowiednią klauzulę wszędzie, gdzie się dało. Tak naprawdę martwi mnie tylko jedno – ile problemów będą nam robić terrańscy udziałowcy świętej pamięci Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra.

– Cóż, wydaje mi się, że jako jednostki fizyczne mogą mieć słuszne pretensje – przyznał Grego – ale twór w postaci Koncesjonowanej Kompanii Zaratustra po prostu nie istnieje.

– W tej sprawie niczego nie można być pewnym. Koncesjonowaną Kompanię Loki rozwiązano nakazem sądu z powodu łamania praw Federacji. Udziałowcy przegrali wszystko, co się dało. Koncesjonowaną Kompanię Uller po powstaniu w 526 przejął rząd, a następnie jakby nigdy nic potwierdził prawomocność urzędu gubernatora, generała von Schlichtena, i spłacił udziałowców po nominalnej cenie akcji. A kiedy Koncesjonowana Kompania Fenris zbankrutowała, planetę przejęli koloniści. Udziałowcom wypłacono, o ile dobrze pamiętam, po ćwierć centysola za każdy sol. Ale to wszystko precedensy i żaden nie ma zastosowania w naszym przypadku. – Coombes upił nieco drinka. – Będę musiał polecieć na Terre, żeby osobiście reprezentować nową firmę – Kontrkoncesjonowaną Kompanię Zaratustra, sp. z o.o.

– Wolałbym, żebyś został.

– Dzięki, Victorze. Sam nie pałam szczególną radością na myśl o tej podróży. – Sześć miesięcy na pokładzie statku wydawało się niewiele lepsze od kiblowania za kratami. A później jeszcze rok – co najmniej! – na Terze, żeby doprowadzić wszystko do ładu i dogadać się z renomowaną firmą prawniczą z Kapsztadu lub Johannesburga w sprawie niewątpliwie długiego procesu, jaki ich czekał. – Ale mam nadzieję, że za parę lat wrócę. Wizja ponownego przystosowywania się do życia na naszej wymarłej planecie matce jakoś nie budzi mojego entuzjazmu. – Wychylił resztę drinka i uniósł pustą szklankę w powietrze. – Czy mogę prosić jeszcze jednego, Victorze?

– No jasne. – Grego dopił w pośpiechu. – Diamencie, Papcio Vic ładnie prosić – przynieść Wujko Lezli kotaj-dinko? I dla Papcio Vica też przynieść kotaj-dinko.

– Łokej.

Diamant zeskoczył z oparcia fotela i pognął po dzbanek z koktajlem. Nachyliwszy się, Combees przytrzymał szklankę na odpowiedniej

wysokości, żeby Kudłacz nie miał problemu z dosięgnięciem. Diament napełnił naczynie po brzegi, nie roniąc ani kropelki.

– Dziękuję ci, Diamencie.

– Do'sług, Wujko Lezli! – odparł równie kurtuazyjnie maluch, a następnie podszedł z dzbankiem do Papcia Vica.

Sobie nie nalał; spróbował alkoholu tylko raz i wciąż doskonale pamiętał dolegliwości, jakie towarzyszyły mu następnego dnia. Nie podobało mu się to uczucie i wołał go nie powtarzać. Może właśnie o to chodziło Ernstowi Mallinowi, kiedy stwierdził, że Kudłacze mają w głowie więcej rozumu niż ludzie?

Gustavus Adolphus Brannhard ćmił z zadowoleniem cygaro. Z tyłu, za jego plecami, kilka stworzeń z grubsza przypominających ptaki ćwierkało między gałęziami drzewa, przed nim zaś górowały wysokie budowle Mallorysportu, teraz czarne na tle pomarańczowo-żółto-czerwonej eksplozji barw zachodu słońca. Z trawnika dolatywały głosy rozbawionych Kudłaczy – Flory i Fauny Bena Rainsforda oraz kilkorga ich gości. Ben Rainsford, chochlikowaty człowieczek o łysej głowie i niesfornej, rudej brodzie, siedział pochylony na krześle, wpatrując się w whiskey, którą trzymał w dłoni.

– Mimo wszystko nie uważasz, Gus – argumentował – że Grego można zaufać?

To była w jego wykonaniu całkowita zmiana frontu. Jeszcze parę miesięcy temu Ben był święcie przekonany, że po prostu nie istnieje takie świństwo, do którego nie posunąłby się zepsuty do szpiku kości Victor Grego.

– Jasne, że można. – Gus przełożył cygaro do lewej ręki i podniósł staromodną szklankę wypełnioną czystą whiskey. – Wystarczy go tylko mieć na oku, to wszystko. – Kilka kropel alkoholu skapnęło mu na brodę. Otarł je wierzchem dłoni i wetknął cygaro z powrotem w usta. – A czemu pytasz?

– Chodzi mi o te zapisy w umowach: „do chwili, gdy sąd uzna je za nieważne”... Myślisz, że chce nas wciągnąć w pułapkę?

– Nie. Doskonale wiem, co chce osiągnąć. Przygotowuje blef na udziałowców z Terry, którzy zainwestowali w starą Kompanię. Będzie próbował dać im do zrozumienia, że złamie warunki umowy i wynegocjuje nowe, jeżeli nie będą tańczyć tak, jak im zagra. Krótko mówiąc, zamierza zatrzymać dla siebie całkowitą władzę nad nową firmą.

– Cóż, w takim razie ma moje pełne poparcie! – rzucił stanowczo Rainsford. – Monopol czy nie, Kompania ma działać na Zaratustrze i w interesie Zaratustry. Ale czemu w takim razie opóźniasz podpisanie papierów?

– Tylko do wyborów, Ben. Chodzi o to, żeby mandaty dostali nasi delegaci, bo to pozwoli nam wprowadzić Konstytucję Kolonialną. A gdy ją wprowadzimy, nie będziemy mieć żadnych problemów z przepchnięciem takiej legislatury, jaka będzie się nam podobać. Obawiam się jednak, że usłyszymy protesty w sprawie umów z publiczną ziemią. Mnóstwo ludzi planuje zbić fortuny, roszcząc sobie pretensje do ziemi, którą Decyzja Pendarvisa przekazała do domeny publicznej – a teraz wszystkie te tereny mają być wydzierżawione KKZ na tysiąc lat. Wątpię, by ktokolwiek chciał czekać tyle czasu.

– Gus, dużo więcej ludzi, i to bardziej wpływowych, podziękuje nam, że rząd nie wyciągnie rąk w stronę ich kieszeni – zauważył Rainsford.

Słuszna uwaga. Na Zaratustrze do tej pory nie istniała żadna forma opodatkowania, bo wszelkie koszty pokrywała Kompania – a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, podatki nigdy nie będą potrzebne, nawet na utrzymanie nowego Komitetu ds. Autochtonów. Kudłacze zapłacą na swój własny sposób, prowizjami za wydobycie kamieni słonecznych.

– Poza tym ci ludzie, którzy chcą położyć łapska na ziemi, nie są zorganizowani, a my jesteśmy – ciągnął Rainsford. – Jedyne

zorganizowany opór napotkaliśmy ze strony Partii Planetarnej Pomyślności Ingermanna, a Ingermann odszedł do przeszłości.

Z punktu widzenia Brannharda był to przesadny optymizm, do którego Rainsford zazwyczaj nie miał zbyt wielkich skłonności.

– Ben, za każdym razem, gdy sugerujesz, że Ingermann jest praktycznie trupem, mam ochotę go zastrzelić. Mówię ci, ten facet tylko udaje martwego.

– Szkoda, że naprawdę nie mogliśmy go zastrzelić. Razem z całą resztą.

– Nie był winny – ani on, ani jego poplecznicy – więc nie mogliśmy. Choć muszę przyznać, że to chyba jedyna zbrodnia w życiu tego człowieka, za którą nie ponosi odpowiedzialności. Ingermann nic nie wiedział o przekręcie, dopóki nie zaciągnęli go na przesłuchanie. Do diabła, przecież nawet nie mogliśmy odebrać mu uprawnień adwokackich!

Brannhard i Leslie Coombes próbowali chyba wszystkiego, ale palestra składała się z prawników, a prawnikom odbijało na dźwięk słowa „precedens”. Zwykle ci ludzie sami brali pod skrzydła podejrzanych klientów i większość szła na łatwiznę, reprezentując ich w sądzie. Nie chcieli, by przypadek Ingermanna został później użyty przeciwko nim samym.

– A teraz będzie bronić Thaxtera, Novaesa i Evinsów – westchnął Rainsford. – Zobaczysz, jeszcze ich z tego wyciągnie. Chcesz się założyć?

– Nie ma szans. Nie dopóki to ja jestem prokuratorem generalnym.

Brannhard znów przełożył cygaro i wypił za te słowa toast. Żałował tylko, że nie czuje się ich tak pewien, jak chciał to pokazać.

Otworzywszy drzwi, zastępca szeryfa cofnął się i pozwolił Ingermannowi przejść, łypiąc na niego jak na robaka, który wypełznął spod głazu. Teraz wszyscy w sądach centralnych patrzyli na niego w taki sposób. Ingermann uśmiechnął się słodko.

– Dziękuję, szeryfie – powiedział.

– Daruj sobie. Płacą mi za to – odburknął umundurowany mężczyzna. – Mam nadzieję, że wylosują karteczkę z moim nazwiskiem, kiedy wyprowadzą twoich klientów na dziedziniec. Szkoda, że ciebie wśród nich nie będzie. Zapłaciłbym za przywilej wpakowania ci kulki.

Gdyby Ingermannowi przyszło do głowy poskarżyć się szeryfowi, Maxowi Fane'owi, usłyszałby pewnie słowa: „Cholera, sam bym chętnie strzelił!”.

Pokój o stalowych ścianach był ciasny i pusty – w skład całego umeblowania wchodził pojedynczy stół przytwierdzony do stalowej podłogi i kilka prostych krzesel. Powietrze śmierdziało jakimś środkiem do dezynfekcji, tak samo zresztą, jak w całym więzieniu. Ingermann wyjął papierosy i zapalił jednego, po czym odłożył pudełko i zapalniczkę na stolik. Rozejrzał się pośpiesznie. Nie widział żadnego rejestratora obrazu – może go po prostu nie było? – ale dałby sobie głowę uciąć, że gdzieś tu zamontowali mikrofon. Wciąż taksował ściany wzrokiem, kiedy drzwi otworzyły się po raz drugi.

Do środka weszli trzej mężczyźni i kobieta, wszyscy w sandałach, powłóczyстых szatach i, najprawdopodobniej, niczym więcej. Kazano im się przebrać, zanim tu przyszedli, a gdy wrócą, przejdą rewizję osobistą i dopiero przed odprowadzeniem do cel dostaną swoje ciuchy. Był z nimi kolejny funkcjonariusz.

– Dwie godziny, nie więcej – powiedział. – Jeśli skończycie wcześniej, zadzwońcie.

Drzwi trzasnęły, zamek kliknął.

– Nic nie mówcie – Ingermann natychmiast ostrzegł klientów. – Ten pokój jest prawdopodobnie na podsłuchu. Usiądźcie. Zapalcie, jeśli macie ochotę.

Sam nie chciał siadać; stał, przyglądając się z góry całej czwórce. Conrad Evins, niski, zwykle humorzasty i skrupulatny, teraz jednak spięty i zabiedzony. To on był głównym kupcem kamieni dla Kompanii. Pomysł

kradzieży wyszedł od niego – a w każdym razie od niego lub od jego żony. Rose Evins zapaliła i wpatrywała się w papierosa, trzymając ręce na stole. Była martwą kobietą, która pogodziła się z losem, a na jej twarzy gościł spokój, będący w rzeczywistości wyrazem rezygnacji w obliczu beznadziejnego. Obok siedział jej brat, Leo Thaxter, krępy, z nalaną, siną twarzą, czarnymi włosami i sterczącą dolną wargą. Do niedawna wiódł prym w branży lichwiarskiej, a jednocześnie pełnił funkcję bankiera podziemia Mallorysportu. Był też marionetką, przez którą Ingermann zdobył tytuły własnościowe dużej części prywatnych nieruchomości na północ od miasta. W jednym z tych budynków, nieużywanym magazynie, przetrzymywali pięć Kudłaczy z kontynentu Beta; uczyli je czołgania się w tunelach wentylacyjnych i wykradania podrobionych kamieni słonecznych z szafek w makiecie skarbcza Kompanii. Phil Novaes, najmłodszy z czwórki, bał się, ale robił wszystko, by tego nie okazać. On i jego partner, Moses Herckerd, dwaj byli specjaliści ekspertyz terenowych, pojмали Kudłacze i przetransportowali je do miasta. Herckerd nie stawił się na spotkaniu; zatrzymał swoim ciałem zbyt wiele kul pistoletowych w noc napadu.

– No dobrze – zaczął Ingermann, gdy się upewnił, że zdobył uwagę słuchaczy – złapali was za rękę na kradzieży, włamaniu i zmowie kryminalnej. Nikt, nawet ja, nie oczyści was z zarzutów, a to oznacza karę w wymiarze dziesięciu do dwudziestu lat. Nie spodziewajcie się łagodniejszych wyroków. Sądzę jednak, że nie ma żadnych podstaw prawnych, by skazywać was za dwie zbrodnie zagrożone karą śmierci: zmuszanie do niewolniczej pracy i nakłanianie nieletnich do przestępstwa. Żebyśmy się dobrze zrozumieli – uważam, że byłoby z waszej strony rozsądnie przyznać się do winy w sprawie kradzieży, włamania i zmowy, jeżeli dzięki temu prokurator odstąpi od pozostałych zarzutów.

Czwórka więźniów spoglądała po sobie. Ingermann odpalił świeżego papierosa od starego i cisnął peta na podłogę, po czym zdusił żar butem.

– Dwadzieścia lat to szmat czasu – stwierdził Thaxter – ale trupem jest się trochę dłużej. Dobra, jeśli pójdą na ugodę, to jestem za.

– Skąd pewność, że uda ci się cokolwiek zdziałać? – zapytał stanowczym tonem Conrad Evins. – Twierdzisz, że oskarżenie o kradzież jest nie do zbicia. Czemu prokurator miałby odstąpić od pozostałych zarzutów? Przecież to właśnie za nie najbardziej chcą nas skazać.

– Jasne, chcą, ale nie sądzę, żeby byli w stanie, a Gus Brannhard niczego tu nie wskóra. Niewolnictwo to sprowadzenie istoty myślącej do stanu majątku ruchomego, kupowanie bądź sprzedawanie tak ubezwłasnowolnionych jednostek i zmuszanie do pracy lub świadczenia usług w warunkach ograniczenia swobody. Prosta sprawa – będziemy utrzymywać, że Kudłacze nie były niewolnikami, ale świadomymi współnikami.

– Zdaje się, że Kudłacze mają na ten temat inne zdanie – rzuciła obojętnie Rose Evins.

– W sądzie Kudłacze nie będą miały żadnego zdania – zapewnił ją Ingermann – bo po prostu nie pozwolą im zeznawać. Zaufajcie mi na słowo, nie ma takiej możliwości.

– Wreszcie jakieś dobre wieści. O ile są prawdziwe – mruknął sceptycznie Thaxter. – A co z oskarżeniem o nakłanianie nieletnich do przestępstwa?

Ingermann zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym w stronę lamp nad głową.

– Nakłanianie nieletnich do przestępstwa – zaczął, oparłszy się o kant stołu – to inaczej przyuczanie dzieci do czynów kryminalnych lub niemoralnych, przymuszanie do popełniania takich czynów lub czerpanie z nich korzyści. Na mocy Decyzji Pendarvisa Kudłacze odpowiadają przed prawem jako dzieci poniżej dwunastego roku życia. Z tego powodu, kiedy uczyliście je czołgania się przez tunele wentylacyjne i wykradania fałszywych kamieni z szafek w makiecie skarbcza, a także wtedy, kiedy

zabraliście je do siedziby Kompanii i kazaliście wykraść prawdziwe, popełnialiście przestępstwo przymusowo karane śmiercią przez rozstrzelanie, niezależnie od uznania sądu.

Ingermann odchrząknął.

– Ja zaś chcę obalić prawną fikcję, jakoby dojrzałe Kudłacze były nieletnimi. Nikt na linii Rząd-Kompania nie będzie bronić w sądzie prawnego statusu dzieci Kudłaczy. Właśnie dlatego prokurator przystanie na ugodę i odstąpi od oskarżeń związanych z Kudłaczami, zadowolając się karą za pozostałe. Jak sam wspomniałeś, Leo, dwadzieścia lat to szmat czasu, ale pod ziemią człowiek leży znacznie dłużej.

W oczach Rose Evins zalśnił nagle blask niedowierzania, niemal nadziei, który jednak natychmiast przygasł. Nie zamierzała porzucać spokoju rezygnacji na rzecz udręki wiary.

– W porządku – powiedziała cicho. – Możemy przyznać się do winy w sprawie pozostałych zarzutów. To już i tak bez znaczenia.

Conrad Evins zgodził się, biorąc przykład z żony. Novaes kiwnął głową.

Tymczasem kąciki ust Thaxtera opadały coraz niżej, a dolna warga wystawała jeszcze wydatniej niż zwykle.

– Lepiej, żebyś miał rację, Ingermann. Jeśli przyznamy się do zarzutów z kamieniami, a później rozstrzelają nas za nakłanianie nieletnich do przestępstwa albo niewolnictwo...

– Zamknij się! – warknął przestraszony Ingermann, bo domyślał się, do czego zmierza Thaxter. – Głupcze, mówiłem ci, że pokój jest na podsłuchu!

5.

Ten Mądry obudził się w chłodzie brzasku. Mała Ona, Duża Ona, Ten Kulawy i Szukacz Owoców tulili się do niego, ogrzewani ciepłem jego ciała, tak jak on grzał się ich ciałami. Ten Kulawy drgnął. Pod ciernistymi krzewami było jeszcze ciemno, lecz niebo w górze rozjaśniał szarawy blask. Słońce przewracało się z boku na bok w swojej norce i już wkrótce wyskoczy z niej, żeby zrobić jasność i ciepłość. Pozostali – Głazotłuk, Dziabak i Druga Ona – też się budzili. Ten Mądry uznał, że to było dobre „miejsce do spania”, bezpieczne i przytulne. Chciałby leżeć tak jeszcze długo, ale musieli sobie ulżyć, a to oznaczało konieczność kopania dołków. Zresztą, dręczył go głód. Powiedział o tym głośno, a inni się zgodzili.

– Nie zostawiać ładnych lśniących rzeczy – odezwała się Mała Ona. – Wziąć razem.

Wezmą, a Mała Ona jak zwykle będzie je niosła. Ostatnio inni zaczęli ją nazywać Nosi Lśniące Rzeczy, chociaż wszyscy chcieli je zatrzymać. Bo były ładne i tajemnicze; patrzenie na nie nigdy się nie nudziło, ani zabawa nimi. Kiedyś zgubili dużą lśniącą rzecz i musieli zawrócić, żeby jej szukać. Zaczęli jeszcze przed czasem wysokiego słońca, a skończyli tuż przed tym, gdy znaleźli. Później połamali trzy patyki i wetknęli po jednym do otwartych końców każdej z lśniących rzeczy, żeby łatwiej je było nosić, a trudniej zgubić.

Robiło się coraz jaśniej, ptaki ćwierkały radośnie. Znaleźli miękką ziemię i wykopali dołki. Zawsze tak robili, zasypywali nieprzyjemne zapachy, nawet jeśli od razu ruszali w dalszą drogę. Następnie podeszli do małego strumyka, żeby się napić i popluskać, a potem przeszli w bród na drugą stronę i zaczęli polować, pierś w pierś. Niebo zmieniało kolor na jasnoniebieski, poplamiony złotymi chmurami. Ten Mądry znowu zaczął

myśleć o miejscu, gdzie słońce idzie codziennie spać. Dlaczego zawsze chowa się z jednej strony nieba, a wychodzi z drugiej? Ludzie sprzeczekali się o to, odkąd pamiętał, ale nikt tak naprawdę nie znał odpowiedzi.

Znaleźli drzewo z okrągłymi owocami. Do jedzenia najbardziej nadawały się białe; te były upstrzone brązowymi plamkami, czyli nie tak dobre, ale głód dawał o sobie znać. Rzucali patykami, żeby je strącić, a potem się pożywiali. Znaleźli jaszczurki i robaki, i je także zjedli. Aż w końcu zobaczyli zatku.

Zatku były stworzeniami z twardą skorupą, długie niczym ręka i z wieloma nogami – po każdej stronie miały ich tyle, co cała dłoń i jeden palec. Miały też cztery zginające się kończyny zakończone ostrymi szczękami. Potrafiły robić nimi krzywdę – to właśnie zatku zranił kiedyś w nogę Tego Kulawego. Głazotłuk dźgnął tę sztukę ostrym końcem „kija do zabijania”, a ona uchwyciła kij ręko-szczękami. Wtedy Druga Ona dzieliła ją w głowę i dla pewności poprawiła drugim ciosem. Inni cofnęli się, gdy Ten Mądry łamał skorupę i wyrywał jedną z ręko-szczęk, by dostać się do mięsa. Wszyscy ufali, że Ten Mądry obdzieli ich po równo. Na szczęście mięsa wystarczyło, by na koniec każdy dostał jeszcze po malutkim kąsku.

Później długo polowali, dzięki czemu wytropili drugie zatku. Dobry znak; minęło wiele czasu, odkąd znaleźli dwa zatku w ciągu jednego dnia. Kiedy już zjedli, szli naprzód, prawie do pory najwyższego słońca, ale nie zobaczyli więcej zatku.

Natrafili za to na inne rzeczy do „dobrego do jedzenia”. Na przykład na te miękkie, różowe rosnące rzeczy, które wyglądały trochę jak dłonie z wieloma palcami. Och, jak dobrze smakowały! Zabili też jedno z tych grubych, małych zwierząt z brązowym futrem, które uciekało od jednego z Ludzi, ale zatłukł je inny. A Głazotłuk cisnął swoim kijem i strącił nisko lecącego ptaka. Wszyscy go za to chwalili. Podczas polowania wspinali się

w górę stromego wzniesienia i gdy wreszcie dotarli na szczyt, wszyscy mieli tyle jedzenia, ile trzeba.

Na górze bardzo im się podobało – rosło tam trochę drzew, niskie krzaki i szeroka połać trawy, a widok rozciągał się na dalekie miejsca. Po stronie wstawania słońca, w wielkiej odległości, między drzewami lśniła rzeka otoczona zewsząd górami. Miło było leżeć w miękkiej, nagrzanej trawie, gdy wiatr mierzwił sierść i przyjemnie łaskotał.

W powietrzu krążył gotza, zbyt daleko jednak, by zobaczyć Ludzi. Siedzieli i patrzyli, aż nagle skrzydłem wysoko uniesionym i zanurkował poza zasięg oczu.

– Gotza kogoś zobaczyć – stwierdził Głazotłuk. – Polecieć w dół, żeby zjeść.

– Oby tylko nie Ludzie – odparła Duża Ona.

– W tym miejscu mało Ludzi. Długo już nie widzieć innych.

To prawda – Ten Mądry naliczył wiele-wiele dni, odkąd poprzednio rozmawiali z innymi Gashta, gromadą złożoną z dwóch samców i trzech samic, a było to daleko po prawej ręce słońca. Rozmawiali do późna i razem zrobili „miejsce do spania”, rano zaś rozdzielili się, żeby polować. Później już nie widzieli Ludzi, ale teraz postanowili o nich rozmawiać.

– Gdy znowu spotkać, pokazać im lśniące rzeczy – zaproponował Ten Kulawy. – Nikt nigdy wcześniej nie widzieć lśniące rzeczy.

Gotza ponownie wzniósł się w powietrze, słyszeli dźwięk jego skrzydeł.

– Długo nie jeść – uznał Dziabak. – Teraz za mało i ciągle głodny.

Chyba powinni opuścić to miejsce i schować się tam, gdzie drzewa rosły gęściej. Ten Mądry już chciał wypowiedzieć na głos swoje myśli, gdy nagle doleciał ich przenikliwy hałas, który jednak nie był przykry. Słyszeli go już wcześniej – przy strumieniu, po zabij-grzmotach, gdy z nieba spadły trzy gotza. Ten Mądry od razu go rozpoznał.

– Schować się w krzaki – rozkazał. – Leżeć spokojnie.

Na niebie pojawiła się plamka – daleko po lewej ręce słońca. Z każdą chwilą była jednak coraz większa, a dźwięk coraz głośniejszy... W pewnej chwili Ten Mądry zorientował się, że podąża on za rosnącą rzeczą. Ale co to mogło oznaczać? Wszyscy skryli się pod krzakami i leżeli bardzo nieruchomo.

Lecząca rzecz wyglądała dziwnie. Przynajmniej nie miała skrzydeł. Była płaska, zaokrąglona z przodu i ostro zakończona z tyłu jak pestka melon-owoca, a ponadto błyszczała jasno w słońcu. I wcale nie nieśli jej Duzi – poruszała się bez niczyjej pomocy.

Leciała w stronę na gotza, niemal dokładnie nad nim. Gotza wykonał zwrot i rzucił się do desperackiej ucieczki, ale latająca rzecz szybko zmniejszyła odległość. Huknęło, choć inaczej niż zabij-grzmot; ten hałas wydawał się bardziej rozdzierający, jakby mnóstwo zabij-grzmotów rozbrzmiało w tym samym miejscu. Trwało to dwa uderzenia serca, po czym gotza rozpadł się na kawałki. Dziwna rzecz leciała dalej, łagodnie skręcając i w końcu zawracając.

– Dobra rzecz, zabić gotza – zdecydował Dziabak. – Może zobaczyć nas i zabić gotza, żeby gotza nie zabił nas? Może ta rzecz przyjaciel.

– A jeśli zabić gotza dla zabawy? – zapytała Duża Ona. – I nas też zabić dla zabawy.

Płaskie coś leciało w ich kierunku niżej i wolniej, niż gdy ścigało gotza. Nosi Lśniące Rzeczy i Szukacz Owoców już chcieli uciekać, ale Ten Mądry krzyknął, by leżeli bez ruchu. Wiedział, że nie ucieka się od rzeczy takich jak ta. Mimo to sam czuł w środku potrzebę, żeby zerwać się i pognać jak najdalej stąd. Nie zrobił tego tylko dzięki wielkiej sile woli.

Przednia część latającej rzeczy była otwarta, a w każdym razie Ten Mądry mógł przez nią swobodnie patrzeć, choć odbijało się w niej blade światło. Wtem parsknął ze zdumienia. W środku byli wielcy Ludzie. Nie Ludzie tacy jak on, ale Ludzie jakiegoś rodzaju, bo mieli twarze Ludzi z parą oczu z przodu, a nie po bokach, jak u zwierząt. Mieli też ręce ludzi,

choć ich ramiona okrywało coś tajemniczego, co wcale nie wyglądało na sierść.

A zatem tak wyglądali latający Duzi. Nie mieli własnych skrzydeł; jeśli chcieli latać, wchodzili do rzeczy o kształcie melon-pestki, a ona latała za nich, a jeśli chcieli chodzić na własnych nogach, opadali na ziemię. Ten Mądry już wiedział, co rozgniotło krzaki i połamało kamienie na klifie. Mogła to być rzecz żywa, która robiła to, co nakazali Duzi, a mogła też rzecz zrobiona. Ten Mądry musiał jeszcze nad tym pogłówkować, ale teraz rozumiał, że Duzi byli tak naprawdę wielkimi Ludźmi.

W końcu latająca rzecz uniosła się i odleciała nad ich głowami. Przenikliwy, drgający dźwięk z każdą chwilą słabnął, by w końcu całkiem zamrzeć. Duzi w środku zauważyli ich, a mimo to nie spuścili zabij-grzmotu. Może wiedzieli, że oni też są Ludźmi? Ludzie nie zabijają innych Ludzi dla zabawy; Ludzie przyjaźnią się z innymi Ludźmi, żeby sobie pomagać.

Ten Mądry podniósł się z ziemi. Inni, wstając razem z nim, wciąż wyglądali na przerażonych. On też był, ale nie wolno mu tego okazać. Ten Mądry nigdy nie może się bać.

Ze wszystkich najmniej bał się zaś Dziabak. To on powiedział:

– Duzi widzieć nas i nie zabić. A gotza zabić. Duzi dobrzy.

– Ty nic nie wiedzieć – kłóciła się Duża Ona. – Nikt nigdy wcześniej nie wiedzieć o latających Dużych.

– Duzi zabić gotza, żeby pomóc. Duzi robić przyjaciół.

– Robić też zabij-grzmoty i może zrobić nas martwych jak gotza? – wtrącił się Głazotłuk. – Może Duzi wrócić. Odejść stąd daleko-daleko, może nas nie znaleźć.

Teraz wszyscy pokrzykiwali, a najgłośniej i najzjadlej Duża Ona i Głazotłuk. Tylko Dziabak nic nie mówił.

To dlatego, że nikt nigdy nie opowiadał im o Dużych; nikt nic o nich nie wiedział, a zatem należało bać się ich jeszcze bardziej niż gotza. Ten Mądry

stwierdził, że nie ma sensu się sprzeczać i zamiast tego potoczył wzrokiem po okolicy widocznej ze szczytu wzniesienia. Wielka płynąca woda po stronie wstawania słońca była zbyt szeroka, żeby łatwo ją przekroczyć – Ten Mądry już ją kiedyś widział. Łączyły się z nią małe płynące wody, ale mogli też wrócić do miejsca, gdzie było płycej. Wskazał kijem w stronę lewej ręki słońca.

– Wszyscy iść tam – zdecydował. – Może znaleźć więcej zatku.

Gerd van Riebeek widział przez pancerną szybę kutra, jak wzgórze pochyła się, a nakrapiane chmurami niebo chwieje, przyprawiając go o zawrót głowy. Ściągnął palec z przycisku kamery i sięgnął po papierosa, które leżały przed nim na półeczce.

– Jeszcze jeden przelot, doktorku? – zapytał żołnierz z ZSOA siedzący za sterami.

Gerd pokręcił głową.

– E-e. Już i tak przeraziliśmy je nie na żarty, lepiej nie przesadzać. – Zapalił papierosa. – Ale może podlecimy jeszcze nad rzekę i zrobimy parę rundek wzdłuż obu brzegów? Jest szansa, że wypatrzymy jakieś inne Kudłacze.

Choć sam to zaproponował, nie liczył na zbyt wiele. Na północ od działu wodnego żyło niewiele grup Kudłaczy. Za mało krewetek. Nie ma krewetek, nie ma hokfuzyny; nie ma hokfuzyny, nie ma zdrowych narodzin. Fakt, że w tych okolicach przeżyły jakiegokolwiek osobniki, należało zaliczyć w poczet cudów genetycznych. Zresztą, nawet jeśli w lesie wprost się od nich roiło, pochowają się po krzakach, gdy tylko ostrzeże ich hałas pola antygravitacyjnego kutra, słyszalnego w ultradźwiękach.

– Może trafimy jeszcze na jakieś harpie? – Żołnierz Art Pamaby przed zaciągnięciem się do Sił Ochrony wypasał trawożery na kontynencie Delta – nie trzeba było mu tłumaczyć, dlaczego harpie są złe. – Z tej poprzedniej zrobiliśmy miazgę!

Liczebność harpii w bezpośredniej okolicy rezerwatu szybko spadała. Zresztą, nie tylko tutaj, a na całej Becie. Zniknęły całkowicie z terenów wypasu bydła na południu, Kompania wygoniła je lub zestrzeliła z nieba nad Wielką Czarną Wodą, aż wreszcie żołnierze ZSOA zaczęli tępić je w rezerwacie. Będąc przyrodnikiem, Gerd powinien chyba ubolewać, że gatunkowi grozi wymarcie; sęk w tym, że nie potrafił wyobrazić sobie lepszego kandydata do wymarcia niż *Pseudopterodaktyl harpia zaratustra*. Pewnie wypełniały jakąś niszę w ogólnym systemie ekologicznym – w przyrodzie wszystko ma swoje miejsce. Padlinożercy? Możliwe, tyle że wolały żywe mięso. Eliminowały słabe i chore osobniki innych gatunków, choć każdy doświadczony pasterz, taki jak Art Pamaby, doskonale wiedział, że żadna harpia nawet nie tknie słabowitej krowy, jeśli obok stoi tłusta i zdrowa.

– Ciekawe, czy to ta sama banda, którą widzieliście z Jackiem wtedy, gdy znaleźliście kamienie słoneczne – zastanawiał się Pamaby.

– Niewykluczone. Tamta liczyła osiem osobników. Jestem niemal pewien, że w tej było tyle samo. Co prawda widzieliśmy ją paręset mil na północ stąd, ale minęły trzy tygodnie.

Pojazd obniżył lot. Mknął na wysokości paruset stóp, kiedy minęli rzekę Yellowsand, w tym miejscu szeroką i ospałą, z wieloma mieliznami i piaszczystymi plażami. Gerd zauważył fragmenty zarośli z przywędniętymi liśćmi – woda musiała je przynieść z kanionu, gdzie Grego i jego ludzie kopali przed tygodniem. W obie strony ciągnęły się dopływy, niektóre na tyle duże, że stanowiły dla Kudłaczy wymagającą przeszkodę. Kudłacze potrafiły całkiem nieźle pływać, a czasem, widział to na własne oczy, przekraczały rzekę, trzymając się fragmentów drewna niesionego z prądem. Nie lubiły jednak pływać i nie robiły tego, o ile nie były zmuszone. Zwykle wędrowały w górę rzeki, w poszukiwaniu brodu.

Było tu sporo zwierząt. Smukłe stworzenia z trzema rogami, przypominające jelenie – istniało około dwunastu różnych gatunków, lecz

wszyscy nazywali je niewybrednie zaraniferami (oprócz Kudłaczy, które mówiły „takku”). Gerd wypatrzył także trzyrogiego piekielniaka, w języku Kudłaczy „hesh-nazza”. Zdążył nagrać kilka stóp jego wielkiego cielska, zanim zwierzę ujrzało kuter i rzuciło się do ucieczki. Chwilę później natrafili na innego nieszczęśnika. Pierwotnie roślinożerca, stwor ów z czasem wykształcił w sobie apetyt na mięso, ale nie potrafił zdobyć go w wystarczających ilościach, by utrzymać słuszną masę ciała i z tego powodu uzupełnił dietę o pędy. System zoologiczny Zaratustry był zupełnie zwariowany. Właśnie dlatego Gerd tak bardzo przepadał za tą planetą.

Dolecieli do miejsca, gdzie rzeka Lake-Chain łączyła się z Yellowsand. U swojego ujścia była szersza od koryta, które zasilala i nadpływała niemal dokładnie z południa, podczas gdy Yellowsand, która miała źródło w dziale, zakręcała ze wschodu. Skończyły się mierzeje; prąd był tu wartki, a woda pieniała się na nagich skałach. Na horyzoncie wyrosła ściana działu, aż w końcu ich oczom ukazała się szczelina kanionu. W powietrzu krążyła mała plamka, nie była to jednak harpia, a jeden z kutrów zwiadowczych KKZ, który za pomocą radaru mierzył i fotomapował okolice, wykonując skany. Gerd spojrział na zegarek. Prawie piąta, pora koktajlu. Ciekawe, ile Kudłaczy wypatrzył porucznik Bjornsen, który patrolował teren na południe od działu. I ile harpii udało mu się zestrzelić.

6.

Kudłacze ekscytowały się przez całą drogę z Hoksu-Mitto, bo Papcio Jack zabrał je na wycieczkę do Miejsca Wielkiego Domu. W chwili, gdy na horyzoncie pojawiły się strzeliste budowle Mallorysportu wyrastające z poprzedzielanych, zielonych obszarów, popiskiwały z zachwytu, a niektóre nawet zapominały, że powinny „robić mówienie z tyłu gardła”, jak Duzi. Wlatywali do miasta na wysokości pięciu tysięcy stóp, a gdy kuter zaczął zmniejszać pułap, Kudłaczek od razu rozpoznał siedzibę Kompanii.

– Patrzcie, miejsce Diamenta! Papcio Jacku, czy polecieć tam, żeby zobaczyć Diamenta i Papcio Vica?

– Nie, wybieramy się do Miejsca Papcio Bena – odpowiedział Holloway.
– Papcio Vic i Diament też przyjdą. Będzie wspaniałe przyjęcie z Papcio Benem, Florą, Fauną, Papcio Vikiem, Diamentem... – Kudłacze zaczęły uzupełniać listę przyjaciółmi, których chciałyby spotkać. – Popatrzcie. – Holloway wskazał na budynki sądów centralnych. – Znacie to miejsce?

Owszem, znały – to tam znajdowała się „Wielka Sala Mówienia”. Wspaniale się bawiły, zamieniając proces sądowy w przedstawienie cyrkowe na trzech arenach. Holloway wciąż się uśmiechał, gdy wspominał tamte wydarzenia. Kuter zatoczył łuk w stronę Izby Rządowej. W przeciwieństwie do innych ważnych budowli Mallorysportu, te rozciągały się, zamiast wznosić, a ich dachy pełniły funkcję ogrodów tarasowych. Na północnym, niższym tarasie zgromadził się dość rozproszony tłum Kudłaczy i ludzi, którzy korzystali z uroków przyjęcia koktajlowego pod gołym niebem. Pojazd wylądował, a Kudłacze zaczęły wyskakiwać, gdy tylko opadło pole antygravitacyjne.

U stóp północnych schodów ruchomych stała zwarta grupka. W większości tworzyli ją mali ludzie o złotej sierści: Flora i Fauna Bena Rainsforda, Diament Victora Grego, Pierrot i Kolombina sędziego i pani Pendarvis, a także piątka innych Kudłaczy o imionach: Allan Pinkerton, Arsene Lupin, Sherlock Holmes, Irene Adler i Mata Hari. Ci ostatni należeli do Policyjnego Biura Detektywistycznego Kompanii i wszyscy byli zresocjalizowanymi kryminalistami. Zostali ujęci, gdy próbowali obrobić z kamieni słonecznych siedzibę Kompanii, a później zeznawali na niekorzyść szajki Dużych, którzy wyszkolili ich w złodziejskim fachu.

Towarzyszyła im wysoka dziewczyna o miedzianych włosach i mężczyzna o ciemnej twarzy, ubrany w elegancko skrojoną marynarkę, która wyglądała na lekko wybrzuszoną pod lewym ramieniem. Mężczyzną tym był Ahmed Khadra, kapitan detektyw wydziału śledczego ZSOA, a dziewczyną Sandra Glenn, opiekunka Kudłaczy Victora Grego. Grego właśnie tracił ją na rzecz Khadry, jeśli kamień słoneczny na jej lewej dłoni cokolwiek znaczył.

Kudłacze Hollowaya pognały w dół ruchomych schodów, a te na dole już wybiegały naprzód, chcąc się przywitać. Hollowayowi w końcu udało się wydostać ze zbiegowiska do miejsca, gdzie stali Ahmed i Sandra. Zdążyli zamienić kilka słów, zanim dopadła go kudłata wataha. Diament i Flora szarpały go za nogawki, by zwrócić na siebie uwagę, a jego własne Kudłacze próbowały zaabsorbować Wujko Ahmeda i Ciosio Sandrę. Holloway przykucnął, żeby je pogłaskać. Dzidzius wlaż Ahmedowi na ramię. Cóż, przynajmniej oduczylili go siadania ludziom na głowach, a to spory sukces. W przerwach między rozmowami z grupą Kudłaczy (naturalnie wszystkie miały coś do powiedzenia) starał się podjąć dyskusję z Ahmedem i Sandrą, przede wszystkim na temat Klubu Kudłacza, którym miał zarządzać.

– To będzie jedna wielka kudłaczowa balanga, od świtu do zmierzchu – rzuciła Sandra. – Mam nadzieję, że nie znudzi się nam za szybko.

Pomysł wyszedł od Victora Grego – to on wykladał fundusze i zapewniał dolne piętra jednego z budynków Kompanii oraz przyległą przestrzeń parkingową. Nie można było oczekiwać, że ludzie, którzy adoptowali Kudłacze, będą poświęcać im sto procent swojego czasu, a Kudłacze mieszkające z ludzkimi rodzinami wciąż będą chciały rozmawiać i bawić się ze swymi ziomkami. Klub Kudłacza w zamierzeniu miał być więc miejscem, gdzie mogłyby się spotykać z dala od potencjalnych zagrożeń i okazji do rozrabiania.

– To kiedy wielkie otwarcie? Koniecznie muszę się na nim zjawić.

– Och, najwcześniej za kilka tygodni. Po naszym ślubie. Ciągłe mamy sporo rzeczy do zrobienia, a poza tym zależy mi, żeby dziewczyna, która zajmie moje miejsce, lepiej zapoznała się z Diamentem, zanim zostawię ją samą.

– A co, sprawia ci dużo problemów? – zapytał Holloway, zwrócony w kierunku Diamenta. Zmierzył i zaraz potem wygładził mu sierść.

– Wręcz przeciwnie, jest bardzo grzeczny. Po prostu dziewczyna musi się dużo więcej o nim dowiedzieć, to wszystko. Diament bardzo mi pomaga w sprawie Klubu Kudłacza, daje sporo rad, a niektóre z nich są naprawdę celne.

Diament właśnie opowiadał Kudłaczce i innym o nowym Miejscu Kudłaczy. Piątka ekszłodzieli klejnotów ściągnęła Dzidziusia z Khadry i, ku wielkiej dumie Mamy, robiła wokół niego mnóstwo zamieszania. Ko-Ko, Kopciuszek, Mike i Mitzi pobiegły gdzieś z Pierrotem i Kolombiną. Kudłaczek szarpał Hollowaya za spodnie.

– Papcio Jacku? Kudłaczek pójsć z Florą i Fauną? – zapytał.

– Jasne. Leć i baw się dobrze. Papcio Jack idzie robić mówienie z innymi Dużymi. – Odwrócił się do Ahmeda i Sandry. – To co, może po drinku?

– Już piliśmy – odparł Ahmed.

– Za chwilę będziemy musieli zorganizować obiad dla Kudłaczy – dodała Sandra.

Holloway odparł, że w takim razie zobaczą się później i, nabijając swoją fajkę, ruszył w stronę tłumku, który zebrał się wokół maszyny usługującej. Towarzyszył mu Diament – co rusz wyrywał się naprzód, a potem zatrzymywał, by zaczekać na Papcio Jacka. O co chodziło z tymi Dużymi? Zawsze ruszali się jak muchy w smole. Holloway usłyszał rumor i nagle wypadły przed niego trzy Kudłacze, dmące w rogi. Za nimi gęsiego nadeszły trzy taczki – każdą z nich pchał jeden Kudłacz, drugi siedział w środku, a z tyłu pędziły kolejne.

– Patrz, Papcio Jacku! Tratataczki! – zawołał Diament. – Papcio Ben dać. Ale zabawa! Wujko Ahmed, Ciosia Sandra, w nowym Miejscu Kudłaczy mieć tratataczki!

Procesja zatrzymała się chaotycznie sto jardów dalej. Kudłacze, które robiły za rykszarzy, zajęły miejsca tych jadących, a trzy inne podniosły taczki i kawalkada ruszyła w drogę.

– Równiachy z tych urwisów – odezwał się ktoś za plecami Hollowaya. – Każdy czeka na swoją kolej.

Osobą tą okazał się członek Sądu Najwyższego, Yves Janiver, mężczyzna o srebrnoszarych włosach i nieprzyzwoicie czarnym wąsie. Janiver pełnił obecnie funkcję przewodniczącego składu sędziowskiego w Sądzie Autochtonów. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni: wielki, rumiany Clyde Garrick, główny kasjer Banku Mallorysport i szczupły, starszy człowiek z kędziorami siwych włosów wystającymi spod czarnego beretu, Henry Stenson, konstruktor. Holloway przywitał się i uścisnął wszystkim dłonie.

– Te trzy, które właśnie zeskoczyły, to moje – powiedział Stenson.

Dostał je jakiś czas temu na wypożyczenie od Biura Adopcyjnego, żeby przetestować urządzenie do przekształcania głosu, które wymyślili wspólnie z Grego. Po zakończeniu prac Kudłacze odmówiły jednak powrotu i Stenson musiał je adoptować (ponieważ one w zasadzie już adoptowały jego). Ich imiona brzmiały Mikrovolt, Rentgen i Angstrom.

Niektórzy nazywali swoje Kudłacze w najdziwaczniejszy sposób. Holloway zapytał, jak im się wiedzie.

– Doskonale sobie radzą, naprawdę, panie Holloway – zaśmiał się Stenson. – Zorganizowałem im w moim sklepie mały warsztat, żeby nie wchodziły klientom w drogę. Każdemu chciałyby pomagać, nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo tak uczynnego! Wie pan – dodał – czasami są naprawdę przydatne. Mają niemal mikroskopowy wzrok i niesamowicie zręczne dłonie. – Z ust Henry’ego Stensona była to najwyższa pochwała. – W końcu to miniaturowi ludzie – żyją w mniejszej skali niż my. Gdyby tylko się tak szybko nie dekoncentrowały... Bo kiedy tracą czymś zainteresowanie, nie ma sensu oczekiwać, że znów podejmą pracę.

– Owszem, nie ma, bo przestaje im to sprawiać przyjemność. Zresztą, i tak nie potrafiłyby zrozumieć, o co je pan prosi i dlaczego.

– Racja – zgodził się Stenson. – Próba wyjaśnienia Kudłaczom, czym jest spektrometr mikromasowy albo licznik promieniowania... – Zamyślił się na chwilę. – Myślę, że warto by zainteresować je jubilerstwem. W końcu lubią ładne rzeczy, robiłyby przepiękną biżuterię.

Całkiem niezły pomysł. Może za rok uda się zorganizować wystawę sztuki i rękodzieła Kudłaczy? Holloway musiałby przedyskutować to z Gerdem i Ruth, a także z Kudłaczkiem i doktorem Crippenem.

Pod nogami przemknął mu jakiś tuzin Kudłaczy: cała piątka z zaratustriańskiej policji, Mama z Dzidziusiem pędzącym obok i kilka innych, których nie rozpoznawał, a chyba powinien. Wszystkie wirowały wokół wielkiej, czerwono-złotej piłki, tocząc ją szybko po trawie. Diament rzucił się za nimi w pościg.

– Może nauczyłbyś ich jakichś prawdziwych dyscyplin z piłką, Jack? – zapytał Clyde Garrick, entuzjasta sportu. – Na początek futbol – futbolowy mecz Kudłaczy byłby świetnym widowiskiem. – Kudłacz biegnący bezpośrednio przed piłką podskoczył, lądując między tymi, które ją pchały. – A potem może koszykówka. Widziałeś, jak tamten wysoko się wybił?

Tylko żałować, że nigdzie nie znajdę drużyny ludzkich dzieci, które tak skaczą.

Holloway pokręcił głową.

– Chłopcy z marynarki stacjonujący w Hoksu-Mitto chcieli nauczyć ich piłki nożnej – wytłumaczył – ale nic z tego nie wyszło. Nie umiały zrozumieć zasady, że nie wolno im grać w obu drużynach jednocześnie. Gdy Kudłacz widzi, że ktoś coś robi, natychmiast chce pomóc.

Ta odpowiedź zszokowała Garricka, który uważał, że ludzie pozbawieni ducha współzawodnictwa nie są prawdziwymi ludźmi.

Stenson przytaknął.

– Dokładnie to, co mówiłem, one są zbyt uczynne. Prędzej zainteresowałbyś je jakimiś sportami, w których gracz konkuruje sam ze sobą... Bo gdy pokażesz Kudłaczowi jakąś nową umiejętność, nie spocznie, póki nie nauczy się wykonywać jej najlepiej, jak to możliwe.

– To może strzelectwo – zaproponował niechętnie Garrick. W jego ocenie strzelectwo nie było sportem, a w każdym razie nie sportem sprawnościowym. – Znam strzelców, którzy twierdzą, że samotne strzelanie jest równie emocjonujące, co udział w zawodach.

– Sam nie wiem... Kudłacze potrzebowałyby okropnie lekkich karabinków, a do tego małego kalibru. Pamiętaj, że ważą średnio piętnaście do dwudziestu funtów. Dwudziestka dwójka dość lekka, by Kudłacz potrafił ją utrzymać, miałyby dla niego takiego kopa, co dla mnie 12.7 Express. Lepiej sprawdzi się łucznictwo. W końcu już uczymy je robić strzały i łuki. Byłbyś zaskoczony, jak świetnie sobie radzą. Potrafią naciągnąć cięciwę dwudziestofuntowego łuku, a to więcej niż dla nas łuk stufuntowy.

– Poważnie? – Garrick spojrział na wir złotych ciał kręcących się wokół jaskrawej, kolorowej piłki. Ktoś, kto ważył tak mało, a umiał strzelać z dwudziestofuntowego łuku, z pewnością zasługiwał na szacunek – wszystko jedno, czy wykazywał ducha współzawodnictwa, czy nie. – Wiesz co, Jack, załatwię puchary na zawody, będziemy mogli zorganizować jakieś

konkursy strzeleckie. Może za rok uda się rozegrać turniej o mistrzostwo Zaratustry?

Tylko co Kudłacze zrobiłyby z pucharem?

– Choć dużo bardziej podobałaby mi się prawdziwa liga futbolowa Kudłaczy – ciągnął Garrick. – Myślisz, że udałoby ci się wzbudzić zainteresowanie tym projektem?

– Nie, i całe szczęście! Miłośnicy hazardu rzuciliby się na zakłady jak Kudłacze na krewetki. Zresztą, o ile Holloway znał Kudłacze, za kawałek Pezetera Trzy można by przekonać każdego z nich, by w jednej chwili zapomniał o meczu. No i wszyscy by sobie pomagali, żeby robić to, co zażyczą sobie Duzi. Wykluczone, żadnego futbolu Kudłaczy.

Podczas rozmowy Holloway starał się przesuwając w stronę robota usługującego, lekko popychając innych. W wysiłkach wspierał go Yves Janiver, który widział już dno szklanki. Znalazłszy się wystarczająco blisko, razem z Hollowayem zamówili drinki. Holloway właśnie odbierał swój, gdy powitała go Claudette Pendarvis. Zapytała, czy właśnie przyleciał.

– Dosłownie kilka chwil temu. Widziałem twoją dwójkę, gnały gdzieś z moimi – odparł. – Czy sędzia już się pojawił?

Nie, jeszcze go nie było. Claudette zapytała Janivera, czy nie wie, gdzie się podziewa sędzia. Jest na konferencji w gabinecie – ma spotkanie z Gusem Brannhardem i jakimiś prawnikami. Pendarvis i Brannhard przyjdą odrobinę później. Pani Pendarvis chciała też wiedzieć, czy Holloway planuje wybrać się do biura adopcyjnego.

– Z pewnością, pani Pendarvis. Pasuje pani jutrzejszy poranek?

Odparła, że w sam raz. Zapytał ją, jak się mają sprawy. Cóż, liczba adopcji nieco spadła, ale należało się tego spodziewać.

– Za to szpital zgłosił się po kolejne Kudłacze, przydają im się do zabawiania pacjentów. Mają ich już trochę, ale twierdzą, że za mało. Doktor Mallin uważa, że wywierają wspaniałą wpływ na pacjentów z zaburzeniami psychicznymi.

– Moglibyśmy wziąć część do szkoły – zasugerowała kobieta, która właśnie dołączyła do grupy – pani Hawkwood, dyrektorka przedszkola i szkół podstawowych. – Mamy kilka w klasach niepiśmiennych. Wiecie, że Kudłacze uczą tam ludzkie dzieci?

W przedziale wiekowym cztery-sześć lat; tak, w to Holloway potrafił uwierzyć.

– Dlaczego tylko w niepiśmiennych, pani Hawkwood? – zapytał. – Proszę je przenieść do klas z elementarzami, zobaczymy, jak szybko podłapią zasady. Założę się, że poradzą sobie lepiej od ludzkich sześciolatków.

– Chce pan, żebyśmy uczyli Kudłacze czytać?

Propozycja wydawała się ciekawa, mimo że nigdy wcześniej nie przyszła mu do głowy. Najwyraźniej na pomysł ten nie wpadła także pani Hawkwood, a teraz, gdy został jej zaprezentowany, Holloway niemal widział po jej twarzy, jak bije się z myślami. Nauczyć Kudłacze czytać? Nonsens, tylko ludzie to potrafią! Ale przecież Kudłacze to też ludzie, istniały na to naukowe dowody. Niby ludzie, a jednak Kudłacze. Jeśli jednak założyć...

W tym momencie zjawił się Ben Rainsford, skruszony, że nie przywitał ich wcześniej. Wypytywał Jacka, czy ten przyleciał ze swoją rodziną. W trakcie rozmowy Holloway zauważył sędziego najwyższego, Frederica Pendarvisa, który nadszedł w towarzystwie Gusa Brannharda. Sędzia zamówił kieliszek wina dla siebie oraz koktajl dla żony. Odeszli razem na bok. Brannhard – wysoki, brodaty i sprawiający wrażenie, jakby wrócił z polowania, mimo że miał na sobie sądową czerń – zdobył szklaneczkę czystej whiskey. Przyszli Victor Grego i Leslie Coombes, którzy też chcieli porozmawiać. W którymś momencie ktoś odciągnął Rainsforda z tłumy, bo miał do niego jakąś sprawę.

Typowa bolączka przyjęć koktajlowych – człowiek spotykał się ze wszystkimi, a właściwie nie miał okazji porozmawiać z nikim. Nawet

w Hoksu-Mitto w porze koktajlu panował podobny obłąd. Kątem oka Holloway dostrzegł panią Hawkwood, która zaanektowała Ernsta Mallina. Mallin był prawdziwym autorytetem w kwestii psychologii Kudłaczy; gdyby powiedział jej, że Kudłacze potrafią czytać, musiałyby mu uwierzyć. Holloway sam chciał przedyskutować z nim ten temat – i przy okazji parę innych – ale na pewno nie w tym rejuwach.

Znów nadciągnęła procesja taczkowa, wolniej i nieco spokojniej, a zaraz potem pojawiła się banda, która goniła za kolorową piłką. Zbliżała się godzina obiadu – Kudłacze odkładały zabawki na miejsce. Holloway popierał ideę kształcenia Kudłaczy w szkołach dla ludzkich dzieci. Może dzięki temu trochę się ucywilizują? Po jakimś czasie wróciły, rozprawiając przede wszystkim o posiłku.

Dochodziła też pora obiadu Dużych, którzy wymagali większej mobilizacji niż Kudłacze i, rzecz jasna, musieli się zatrzymać na górnym tarasie, gdzie Sandra Glenn, Ahmed Khadra i jacyś pracownicy biur rządowych rozstawili szwedzki stół dla Kudłaczy na specjalnym, obrotowym blacie. Kudłaczom spodobał się pomysł – podobnie jak ludziom, którzy mogli ich teraz poobserwować, w końcu jednak wszyscy przenieśli się do jadalni. Kobiet było za mało, by połączyć gości w pary jak pasażerów na arce, samca z samicą tego samego gatunku. Holloway został usadzony pomiędzy Benem Rainsfordem i Leslie Coombesem, a po drugiej stronie stołu zasiedli Victor Grego i Gus Brannhard.

W chwili, gdy zautomatyzowany serwis pośrodku stołu zbierał naczynia po deserze i podawał kawę i alkohole, do pomieszczenia zaczęły napływać Kudłacze. Dokończyły posiłki jakiś czas temu, ale na zewnątrz zapadał zmierzch, a one chciały być tam, gdzie Dużi. Holloway nie miał do nich pretensji – w końcu to było ich przyjęcie. Wchodziły od jadalni nieśmiało, niczym dobrze wychowane dzieci; rozglądały się i witały, ale uważały przy tym, żeby niczego nie dotykać.

Diament podszedł do Grego, który podniósł go i posadził na krawędzi stołu. Rainsford odepchnął odrobinę swoje krzesło, żeby Flora i Fauna mogły mu usiąść na kolanach. Na Gusa Brannharda próbowała się wspiąć czwórka czy piątka. Kudłaczek też chciał wejść na stół, a gdy się tam znalazł, otworzył torbę, wyciągnął fajkę i zapalił puf-pufko. Kilka kolejnych maluchów nagabywało Leslie Coombesa:

– Wujko Lezli, prooosić, daj puf-pufko!

Chcąc nie chcąc, Leslie musiał zapalać dla nich papierosy. Przepadał za Kudłaczami i traktował je z tą samą śmiertelnie poważną kurtuazją, co swoich przyjaciół ludzi, ale nie lubił, gdy się na niego wspinały, a one były tego świadome.

– Ben, podpiszmy wreszcie te papierki – zaproponował Grego. – Będziemy mieć to z głowy i zajmiemy się dzieciakami.

– Gdzie chcesz to zrobić? W swoim biurze? – zapytał Rainsford.

– Skąd, najlepiej tu, przy stole, żeby wszyscy widzieli. W końcu to z tej okazji zorganizowaliśmy przyjęcie – odparł Grego.

Zrobiono miejsce przed gubernatorem generalnym, stawiając Kudłacze na podłogę lub podając je gościom z boku. Na stole pojawiły się dokumenty – po trzy kopie każdego. Rainsford poprosił, żeby odczytała je na głos jedna z sekretarek. Na pierwszy ogień poszła umowa ogólna, zgodnie z którą rząd kolonialny zgadzał się na wydzierżawienie, na okres dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, wszystkich niezaludnionych terenów planety Kontrkoncesjonowanej Kompanii Zaratustra, z wyłączeniem obszaru na kontynencie Beta, obejmującego Rezerwat Kudłaczy. W zamian Kompania zobowiązała się kontynuować wszystkie publiczne działania non profit, prowadzone przez poprzednią firmę, Koncesjonowaną Kompanię Zaratustra, a także, dodatkowo, rozwinąć badania na rzecz rasy znanej jako *Kudłacz sapiens zaratustra* w centrum nauk. W ten sposób nowa kompania jako dzierżawca

odzyskiwała to, co po Decyzji Pendarvisa straciła stara, pomijając północną część kontynentu Beta.

Przy kilku świadkach, wybranych przypadkowo spośród gości siedzących przy stoliku, Rainsford i Grego podpisali dokument, a Brannhard i Coombes kontrasygnowali. W następnej kolejności odczytano na głos umowę użytkowania kanionu Yellowsand, ponieważ Holloway, Komisarz ds. Autochtonów, był nią żywo zainteresowany. Kompania obejmowała w dzierżawę – także na okres dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu lat – pasmo o powierzchni pięćdziesięciu mil kwadratowych wokół czoła kanionu Yellowsand, z prawami do wydobycia, stawiania budynków i wywożenia kamieni słonecznych oraz innych materiałów. Rząd wyrażał zgodę na dzierżawę innych działek (po uzyskaniu akceptacji ze strony Komisji ds. Autochtonów), a jednocześnie zobowiązywał się, że nie wydzierżawi terenów Rezerwatu Kudłaczy nikomu bez uprzedniej zgody Kompanii. Kompania zgadzała się na wypłacanie prowizji za każdy wydobyty kamień słoneczny w wysokości czterystu pięćdziesięciu soli za karat. Pozyskane w ten sposób pieniądze zostaną powierzone rządowi kolonialnemu, by ten zarządzał nimi w imieniu Kudłaczy i inwestował w Kartelu Bankowym, pobierając odsetki w ramach opłaty administracyjnej. Dzięki temu rząd utrzymywał dobrą kondycję finansową, Kudłacze stawały się krezusami, a Kontrkoncesjonowana Kompania Zaratustra zyskiwała więcej, niż kiedykolwiek straciła stara kompania. Czyli wszyscy powinni być szczęśliwi.

Ponownie Rainsford, Grego, Brannhard i Coombes złożyli swoje autografy, a po nich zrobił to Jack Holloway, Komisarz ds. Autochtonów. Wybrano kilku świadków, którzy także podpisali się na dokumencie.

– A co byś powiedział, żeby podpisało je też parę Kudłaczy? – Grego skinął na tłumek, który wspiął się z obu stron na stół, żeby popatrzeć, co tak zaaferowało Dużych. – W końcu to ich rezerwat i ich kamienie słoneczne.

– Nie żartuj, Victorze! – wtrącił się Coombes. – One nie mogą tego podpisać. Są autochtonami, a w świetle prawa dziećmi. Zresztą, nie potrafią pisać. Jeszcze nie.

– Mogą złożyć odcisk palca obok swojego imienia, jak każdy inny analfabeta – zaproponował Gus Brannhard. – Będą dodatkowymi świadkami. Fakt, że są niepiśmiennymi i nieletnimi autochtonami, nie powinien pozbawiać ich prawa do zaświadczenia na podstawie własnych przeżyć i obserwacji. W końcu to właśnie dzięki ich zeznaniom wykonamy karę śmierci na Leo Thaxterze, Evinsach i Philu Novaesie.

– Panie sędzio Pendarvis, jaka jest pańska opinia na ten temat? – zapytał Coombes. – Chętnie pozwolę Kudłaczom podpisać umowę, ale wyłącznie pod warunkiem, że to nie wpłynie na ważność dokumentu.

– Och, to akurat wykluczone – zapewnił go Pendarvis. – Przynajmniej ja tak uważam. Panie sędzio Janiver? Jakie jest pańskie zdanie?

– Cóż, nie widzę przeszkód, by zostały świadkami – zgodził się Janiver. – Są tu obecne, a podpisanie dokumentów nastąpiło na ich oczach. Z pewnością mogą o tym zaświadczyć.

– Uważam jednak – dodał Pendarvis – że Kudłacze powinny zostać poinformowane o istocie tego dokumentu.

– Panie Brannhard, czy w tej kwestii możemy zdać się na pana? – zapytał Coombes. – Czy wyjaśni pan Kudłaczom teorię dzierżawy ziemi, praw do wydobywania i zobowiązań kontraktowych w sposób dla nich zrozumiały?

– Jack, ty spróbuj. Wiesz o Kudłaczach więcej niż ja – odbił piłeczkę Brannhard.

– Chyba mogę spróbować. – Holloway odwrócił się do Kudłaczy, które siedziały najbliżej: Diamenta, Kudłaczka, Mamy oraz paru innych. – Duzi robić imiona na papierze – zaczął. – To znaczy, Duzi iść do „miejsca drzew”, skąd przyjąć Kudłacze, kopać dziury, brać kamienie i robić handel z innymi Dużymi. Dostać za to ładne rzeczy i dać je Kudłaczom. Duzi robić „imię znaki” na papierze dla Kudłaczy, a Kudłacze robić „palco znaki”.

– Czemu robić palcociski? – zapytał Kudłaczek. – Dostać „ide dysko”? – Potarł srebrny dysk na swoim gardle.

– Nie, tylko robić palcociski. A kiedy ktoś pytać Kudłacze, Kudłacze powiedzieć tak – my widzieć, jak Duzi robić „imię znaki”.

– Ale czemu? – dopytywał Diament. – Duzi już dawać Kudłacze ładne rzeczy.

– To zabawa Dużych – wyjaśniła Flora. – Papcio Ben zawsze tak robić, stawiać „imię znaki” na papier.

– Zgadza się – potwierdził Brannhard. – Właśnie tak bawić się Duzi. Wielka zabawa i Duzi mówić na nią prawo. A teraz patrzeć, co robić Wujko Gus.

7.

– Cóż, myliłem się – stwierdził Gus Brannhard – chociaż przyznaję to z radością. Zewsząd dostaję identyczne raporty, a doniesienia z gazet są jednoznacznie pozytywne.

Leslie Coombes kiwnął na ekranie głową. Znajdował się w bibliotece swojego mieszkania po drugiej stronie miasta, z serwisem do kawy i stertą teledruków na stole.

– Rzecz jasna, artykuły prasowe nie wygrają nam elekcji, ale doniesienia oddolne są równie zachęcające. Wszystko zostanie po staremu, a właśnie tego oczekuje większość ludzi. Takie postawienie sprawy musi zapewnić nam więcej głosów, niż ich odebrać – dla przykładu głosy ludzi wystraszonych historyjkami Hugo Ingermann o niebotycznych podatkach, które mają zapewnić Kudłaczom życie opływające w luksusy. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie Kudłacze będą utrzymywać ten rząd.

– Victor jest jeszcze w mieście?

– Niestety, przed świtem poleciał do kanionu Yellowsand. Przez ostatni tydzień przenosili tam ludzi i sprzęt z Wielkiej Czarnej Wody. Chociaż o tej porze pewnie już wydobywają kamienie garściami.

Brannhard zaśmiał się jak dzieciak, który dostał nowy karabin. Wprost nie potrafił się doczekać, kiedy go wypróbuje.

– Zgaduję, że zabrał ze sobą Diamenta? – Victor Grego nigdzie się nie ruszał bez swojego Kudłacza. – W takim razie może wpadłbyś do Izby Rządowej na drinka? Jack jeszcze nie wyleciał, moglibyśmy na spokojnie porozmawiać. Tym razem nikt nam nie będzie przerywać, ani Kudłacze, ani ludzie.

Coombes odpowiedział, że chętnie się spotka. Gawędzili jeszcze przez kilka minut, po czym Brannhard przerwał połączenie. Gdy tylko to jednak

zrobił, ekran komunikacyjny znów zabuczał. Uaktywniwszy go, zobaczył twarz swojej sekretarki – skrzywioną, jakby miała pod nosem truchło gnijącego od tygodnia węża.

– Od dziesięciu minut próbuje się z tobą skontaktować rzekomo szanowny Hugo Ingermann – poinformowała go.

– Tak się składa, że ja próbuję się z nim skontaktować, odkąd wyszedłem z biura. Dawaj go – rzucił Brannhard, po czym włączył rejestrator.

Obraz na wyświetlaczu zamigotał i wyjrzała z niego nalana gęba z fachowo przystrzyżoną brodą i niewinnie wielkimi, niebieskimi oczami. Gęba, której w pierwszej chwili zaufałyby każdy, kto nie znał zbyt dobrze jej właściciela.

– Dzień dobry, panie Brannhard.

– Niewątpliwie dobry, panie Ingermann. Jak mogę panu pomóc? Nie licząc kopnięcia w kalendarz.

– Wierzę, że tym razem to ja mogę pomóc panu. – Ingermann promieniał niczym kierownik sierocińca w bożonarodzeniowy poranek. – Co by pan powiedział na przyznanie się do winy Leo Thaxtera, Conrada i Rose Evinsów oraz Phila Novaesa?

– Nie mógłbym go nawet rozpatrzeć. Doskonale pan wie, że w przypadku przestępstw zagrożonych karą śmierci przyznanie się do winy nie wchodzi w rachubę.

Przez chwilę Ingermann wpatrywał się w swego rozmówcę w udawanym zdumieniu, po czym wybuchnął śmiechem.

– Chodzi panu o te nedorzeczne zarzuty? Nie, moi klienci chcą się przyznać w sprawie włamania pierwszego stopnia, kradzieży i zmowy kryminalnej. Pod warunkiem, że kolonia zgodzi się na odstąpienie od tych banialuk o zniewoleniu i nakłanianiu do przestępstwa.

Brannhard zdusił cisnące się na usta pytanie, czy Ingermann postradał zmysły. Wiele można było zarzucić Hugo Ingermannowi, ale na pewno nie brak trzeźwości osądu.

– Myśli pan, że jestem szalony, panie Ingermann? – zapytał zamiast tego.

– Mam nadzieję, że jest pan wystarczająco mądry, by zaakceptować moją ofertę – zripostował Ingermann.

– Przykro mi, ale tego nie zrobię. Widzę korzyść, jaką odniosą pańscy klienci: różnica między dwudziestoma latami w więzieniu, a dziesięciomilimetrową kulą w głowę jest spora. Korzyść dla kolonii wydaje mi się mniej oczywista.

– A nie powinna. Nie uzyska pan wyroku skazującego za te zarzuty i dobrze pan o tym wie. Daję panu szansę na wykręcenie się z tej niezręcznej sytuacji.

– To bardzo miło z pańskiej strony, panie Ingermann. Naprawdę miło. Niestety, obawiam się, że nie powinienem wykorzystywać pańskiej dobrodusznej natury. Będzie pan musiał obalić te oskarżenia w sądzie.

– Uważa pan, że nie potrafię? – parsknął Ingermann z nieskrywaną pogardą. – Oskarża pan moich klientów o nakłanianie nieletnich do przestępstwa. Niewątpliwie jest pan świadom, że przestępstwa tego nie można popełnić wobec osób dorosłych, a właśnie takimi są Kudłacze.

– W świetle prawa to nieletnie dzieci.

– Zostały tak zaklasyfikowane na skutek decyzji sądu. Sęk w tym, że decyzja ta nie tylko stoi w sprzeczności z fizycznymi faktami, ale jest też jawną uzurpacją władzy legislacyjnej przez organ sprawiedliwości i z tego powodu niezgodna z konstytucją. I jako taką zamierzam ją zaatakować.

Brannhard wiedział, że wybuchłoby piekło. Rząd nie mógł pozwolić na podanie tego orzeczenia w wątpliwość. Wręcz przeciwnie... I właśnie na to liczył Ingermann.

Wzruszył ramionami.

– Jakoś nauczymy się żyć z faktem, że nie skażemy ich za pierwszy zarzut. Wciąż jednak mamy drugi, zmuszanie do niewolniczej pracy. Właśnie w tym tkwi piękno kary śmierci, jest tak samo skuteczna bez względu na to, ile razy się ją wykona.

Ingermann zaśmiał się pogardliwie.

– Myśli pan, że wrobi moich klientów w niewolnictwo? Te Kudłacze nie były niewolnikami, a świadomymi współnikami.

– Zostały upite, a następnie pod wpływem alkoholu przetransportowane z naturalnego środowiska do miejsca, gdzie przetrzymywano je wbrew ich woli, zmuszano do wykonywania pracy i karano za błędy uwięzieniem w piwnicy, głodzeniem i torturami w postaci elektrowstrząsów. Jeśli nie tak brzmi wzorcowa definicja zniewolenia, to chciałbym usłyszeć pańską.

– Czy Kudłacze oskarżyły moich klientów o te zbrodnie? – zapytał Ingermann. – Czy zostały poddane badaniu prawdometrycznemu za pomocą aparatu, który rozróżnia prawdziwe i fałszywe sądy wydawane przez Kudłacze?

Nie, nie zrobiły tego. Czyli tak wyglądała druga część argumentu. Pierwszej bał się od samego początku...

– Niech pan nie odpowiada, ja to zrobię – ciągnął Ingermann. – Nie oskarżyły i nie zostały przebadane aparatem do prawdometrii, bo Kudłaczy nie da się zweryfikować. Informację tę uzyskałem od doktora Ernsta Mallina, głównego kudłaczologa Victora Grego. Aparat poliencefalograficzny zwyczajnie nie reaguje na Kudłacze. To niech pan postawi te maluchy w sądzie przeciwko moim klientom i patrzy, co się będzie działo.

Ingermann mówił prawdę. Ernst Mallin, który był przekonany, że informacje naukowe powinny trafiać do obiegu publicznego, utrzymywał, że żaden Kudłacz, z jakim współpracował, nigdy nie zmienił niebieskiego światła aparatu do prawdometrii na czerwone, oznaczające fałsz. Powiedział też, że osobiście nigdy nie spotkał się z żadnym fałszywym stwierdzeniem ze strony Kudłaczy – zarówno podczas prawdometrii, jak i poza nią.

Ingermann zignorował jednak ten ostatni fakt.

– Jeśli zaś chodzi o zarzuty nakłaniania nieletnich do przestępstwa... Skoro naprawdę wierzycie, że Kudłacze są dziećmi, dlaczego tak bardzo zależało wam, żeby co najmniej tuzin z nich złożył swoje odciski palców na umowie dzierżawy kanionu Yellowsand? Dzieci, panie Brannhard, nie podpisują takich dokumentów.

Tym razem to Brannhard się zaśmiał.

– Och, po prostu zależało nam, żeby dobrze się bawiły – stwierdził. – Chciały robić to samo, co Duzi. To wszystko.

– Panie Brannhard! – parsknął Ingermann tonem rodzica, który właśnie dowiedział się od pięciolatka, że szajka złodziei w ciemnych maskach obrabowała słoik z ciastkami. – Czy pan naprawdę sądzi, że ja w to uwierzę?

– Szczerze powiedziawszy, panie Ingermann, mam to w głębokim poważaniu. Dobrze, czy chciałby pan poruszyć jeszcze jakąś kwestię?

– Ta jedna panu nie wystarczy? Proces rozpocznie się najwcześniej za miesiąc. Jeśli w tym czasie zmieni pan zdanie, a zrobi pan to, o ile ma pan dość oleju w głowie, proszę zadzwonić. Do widzenia.

Pilot Victora Grego zwykle nie wykazywał ciągot do szaleństwa, chyba że położył ręce na sterach pojazdu. Kanion Yellowsand znajdował się trzy strefy czasowe na wschód od Mallorysportu i gdy się doń zbliżali, słońce stało o godzinę wyżej, niż w momencie wylotu z miasta. Diament też to zauważył i nie omieszkał opatrzyć komentarzem.

Na górnym lądowisku spotkał się z nimi sierżant piechoty kosmicznej.

– Witam, panie Grego. Panowie Coombes i Brannhard czekają w biurze gubernatora.

– Czy ktoś tutaj będzie próbował aresztować mojego Kudłacza? – zapytał Grego.

Sierżant wyszczerzył się szeroko.

– Nie, sir. Co prawda razem z pozostałymi został oskarżony chyba o wszystko oprócz piractwa kosmicznego, zdrady stanu i morderstwa

pierwszego stopnia, ale szeryf Fane twierdzi, że nie aresztuje ich, jeśli jutro zjawią się w sądzie zażaleń.

– Dziękuję, sierzancie. W takim razie to nie będzie mi potrzebne. – Grego odpiął pistolet, owinał pasek wokół kabury i rzucił na siedzenie kutra, po czym chwycił Diamenta i posadził go sobie na ramieniu. – Masz wolne na kilka godzin – rzucił do pilota – ale nie oddalaj się za bardzo, żebym w razie czego mógł cię znaleźć.

U szczytu schodów ruchomych powiedział to samo Diamentowi, a później patrzył, jak Kudłacz jedzie na dół i czmycha do ogrodu w poszukiwaniu Flory, Fauny i reszty przyjaciół. Grego wszedł do budynku, żeby poszukać Lesliego Coombesa i Gusa Brannharda. Siedzieli z Benem Rainsfordem przy owalnym stole w prywatnym gabinecie konferencyjnym. Wymieniwszy pozdrowienia, Grego znalazł sobie miejsce.

– No dobra, co to za stek bzdur z tym aresztowaniem Kudłaczy? – zażądał odpowiedzi. – O co je oskarżono?

– Na razie o nic – uspokoił go Brannhard. – Ingermann złożył szeryfowi kolonialnemu doniesienia na całą szóstkę. Zamierza oskarżyć Allana Pinkertona, Arsene’a Lupina, Sherlocka Holmesa, Irenę Adler oraz Matę Hari o włamanie pierwszego stopnia, kradzież i zмовę kryminalną, a Diamenta o nieujawnienie przestępstwa i podżeganie do przestępstwa. Ale usłyszą zarzuty dopiero jutro, podczas posiedzenia w sądzie zażaleń.

Sąd zażaleń przypominał nieco starożytną wielką ławę przysięgłych i orzekał, czy wykroczenie stanowi podstawę do wniesienia oskarżenia. Przedmiotem sądu były zatem wykroczenia, a nie ci, którzy je popełnili.

– Rozumiem, ale chyba nie zamierzasz dopuścić, żeby to przeszło?

Zanim Brannhard zdążył odpowiedzieć na to pytanie, do pokoju weszli Jack Holloway i Ernst Mallin. Holloway był wściekły – drżały mu końcówki wąsów, a oczy lśniły zwierzęcym blaskiem. Właśnie tak musiał wyglądać, gdy pobił Kellogga i zastrzelił Borchę. Mallin wydawał

się raczej roztrzęsiony. Brał już udział w sprawie kryminalnej, w którą zamieszane były Kudłacze i więcej nie miał zamiaru. Za nimi szli Ahmed Khadra i Fitz Mortlake, kapitan policji, który pełnił rolę opiekuna prawnego piątki Kudłaczy. Po kolejnej wymianie grzeczności wszyscy zasiedli przy owalnym stole.

– Co zamierzacie zrobić z tą parszywą sytuacją? – zaczął Holloway, podsuwając sobie krzesło. – Chyba nie pozwolicie, żeby temu skhoogrysynowi uszło to płazem?

– Chodzi ci o Kudłacze? Za żadne skarby – zapewnił go Brannhard. – Kudłacze nie są niczemu winne i wiedzą o tym wszyscy, łącznie z Ingermannem. To z jego strony blef, który ma mnie przekonać do odstąpienia od zarzutów nakłaniania nieletnich do przestępstwa i zmuszania do niewolniczej pracy, a następnie do przyjęcia ugody, na podstawie której jego klienci przyznają się do winy w sprawie kradzieży i włamania. Ingermann myśli, że boję się sprawy o dwa pierwsze zarzuty. Niech to szlag, ma rację – boję się, ale zamierzam ciągnąć to do końca.

– No dobrze, ale, na Boga...! – Holloway był bliski wybuchu. – Wytłumaczcie mi, co jest nie tak z tymi zarzutami.

– Zacznę od nakłaniania nieletnich do przestępstwa – odparł Brannhard. – Zasadność oskarżenia opiera się na założeniu, że Kudłacze odpowiadają przed prawem jak dzieci w wieku dziesięciu do dwunastu lat, a założenie to zostało sformułowane na podstawie opinii sądowej, nie zaś ustanowionego prawa. Ingermann uważa, że prędzej odstąpimy od zarzutów, niż podamy w wątpliwość status Kudłaczy, bo na nim bazuje cała polityka rządu.

– A pan się tego obawia?

– Naturalnie, że się obawia! – włączył się do rozmowy Coombes. – Podobnie jak ja, i ty również powinienes. Jeżeli Kudłacze są nieletnimi dziećmi, nie mogą zarządzać własnością. W tym wypadku pełnomocnictwo w ich imieniu pełni rząd, opiekun Kudłaczy, który, między innymi,

sprawuje kontrolę nad dzierżawą terenów przeznaczonych pod wydobycie. Założmy jednak, że Kudłacze to dojrzały, pełnoletni autochtoni. Nawet przedstawiciele klasy IV mogą zarządzać swoją własnością, a, zgodnie z prawem Federacji, Terranom nie wolno osiedlać się na „pierwotnie zamieszkałych terenach” autochtonów klasy IV ani czerpać z nich jakichkolwiek korzyści bez ich zgody. W naszej sytuacji chodzi rzecz jasna o część kontynentu Beta na północ od Węza i Małej Czarnej Wody, w tym kanion Yellowsand, a zgodę na eksploatację musiałyby wyrazić „rada przedstawicieli plemienia lub jego uznany wódz”.

– Na rany Chrystusa! – prawie krzyknął Holloway. – Przecież oni nic takiego nie mają! Żadnych plemion, a tylko małe, rodzinne grupki złożone z kilku osobników. No i kto, do diabła, kiedykolwiek słyszał wśród nich o wodzu?!

– Czyli nie ma się czego obawiać – stwierdził Grego. – Prawo nie może wymagać wykonania rzeczy niemożliwej.

– Niestety, to zaledwie połowa prawdy, Victorze – uprzedził go Coombes. – Owszem, prawo nie może wymagać od niewidomego, żeby pomyślnie przeszedł badanie wzroku. Prawo może jednak – i wymaga – by każdy kierowca pojazdu antygravitacyjnego takie badanie wykonał, gdyż w świetle prawa osobom niewidomym nie wolno obsługiwać kutrów. Jeśli nie jesteśmy w stanie uzyskać zgody nieistniejącej rady plemienia Kudłaczy, to nie wolno nam wydobywać kamieni słonecznych – dzierżawy nie mają tu żadnego znaczenia.

– W takim razie musimy wydobyć tyle, ile się da, dopóki umowa jest ważna – stwierdził Grego. W końcu i tak przeniósł już ludzi i sprzęt znad Wielkiej Czarnej Wody. Zastanawiał się, jak jeszcze mógłby zwiększyć zyski. – Do procesu został nam miesiąc.

– Jestem tym równie zainteresowany co ty, Victorze – zapewnił go Gus Brannhard. – Ale to nie jedyny problem. Co z biurem adopcyjnym? Jeżeli Kudłacze nie są dziećmi, ktoś może nas zaskarżyć o niewolnictwo – albo

w najlepszym razie peonaż. Programy zdrowotne i edukacyjne... No i hokfuzyna, prędzej czy później jakiś wspaniałomyślny obrońca praw Kudłaczy zacznie trąbić o przymusowym leczeniu. Dalej: zgodnie z prawem kolonialnym nikogo nie można oskarżyć o zabójstwo, jeśli ofiara zginęła w trakcie popełniania zbrodni. Jako dzieci poniżej dwunastego roku życia, Kudłacze w świetle prawa są do tego niezdolne. Gdy jednak uznamy, że to osoby dorosłe...

Holloway dosłownie zawył.

– To znaczy, że zastrzelić mógł je każdy, kto przyłapał je na włamaniu.

– No dobrze, w takim razie odstępmy od zarzutu o nakłanianie nieletnich do przestępstwa – zasugerował Fritz Mortlake. – Ciągłe możemy wypalić z drugiej lufy – kara śmierci za zmuszanie do niewolniczej pracy będzie równie skuteczna.

– Pytanie, czy w tej drugiej lufie też nie mamy niewypału... – westchnął Gus. – Mogę powołać na świadków całą szajkę – dzięki Bogu i człowiekowi, który wymyślił prawdometrię, nie ma żadnych paragrafów przeciwko samooskarżeniu – ale nie zmuszę ich do gadania. Na sali sądowej nie przejdą te same metody, które są skuteczne za zamkniętymi drzwiami na posterunku policji. Być może uda mi się udowodnić winę bez zeznań Kudłaczy, ale nie mamy na to żadnej gwarancji. Proszę im wytłumaczyć, doktorze Mallin.

– Cóż... – Ernst Mallin odchrząknął. – Cóż – powtórzył – wydaje mi się, że wszyscy rozumiemy podstawy działania aparatu poliencefalograficznego. Każdej aktywności umysłowej towarzyszy aktywność elektromagnetyczna, którą rejestrujemy w postaci fal. Prawdometr jest skonfigurowany w taki sposób, by reagować tylko na aktywność falową, która towarzyszy tłumieniu prawdy i zastąpieniu jej fałszem, co objawia się zmianą światła niebieskiego na czerwone. Sprawdzałem działanie prawdometru w połączeniu z eksperymentami

psychologicznymi na licznej grupie Kudłaczy i nigdy niebieskie światło nie zmieniło się na czerwone.

Mallin nie zagłębiał się w prawny aspekt tych badań – nie on zajmował się tym tematem, lecz Gus Brannhard, który dokończył:

– Zeznanie sądowe należy – bez wyjątku – uzyskać za pomocą prawdometru sprawdzonego na świadku, który wypowiada serię przypadkowych stwierdzeń, prawdziwych i fałszywych. Jeśli Kudłacze nie mogą zostać przebadane, nie mogą zeznawać – tak jak niewidomy z przykładu Lesliego nie zostanie pilotem kutra.

– A to rodzi kolejne problemy – dodał Ahmed Khadra. – Jak według was skażemy kogokolwiek za złe traktowanie Kudłaczy, jeżeli Kudłacze nie będą mogły zeznawać przeciwko oskarżonym?

– I co zrobimy, kiedy ktoś inny stwierdzi, że adopcja Kudłaczy jest formą zniewolenia? Na przykład Diament Victora – wyliczał Rainsford – albo moja dwójka, Flora i Fauna. W jaki sposób dowiedzimy, że Kudłacze są szczęśliwe i nie chcą żyć nigdzie indziej, jeśli nie będą mogły wypowiedzieć się we własnej sprawie?

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Grego. – W kwestiach sądowych jestem laikiem, ale nawet ja wiem, że każdy oskarżony ma prawo zeznawać we własnej obronie, a Kudłacze są osobami oskarżonymi, i to dzięki interwencji samego Hugo Ingermanna.

Brannhard zaśmiał się.

– Ingermann liczy, że właśnie na to nas złapie – wyjaśnił. – Spodziewa się, że Leslie, jako ich obrońca, powoła Kudłacze na świadków w sądzie zażaleń, żebym ja musiał podać w wątpliwość prawomocność ich zeznań, a następnie zrezygnować z wykorzystywania ich przeciwko jego klientom. Właśnie dlatego postąpimy nieco inaczej. Leslie ogłosi, że Kudłacze nie przyznają się do winy, ale mogą być sądzone i zrezygnuje z rozprawy o zasadność zarzutów.

– Co oznacza, że Kudłacze będą miały sprawę! – zaprotestował Grego.

– Dokładnie tak! – Śmiech prokuratora generalnego przeszedł w niekontrolowany rechot. – Przypomnij sobie, co się działo, kiedy ostatnio grupka Kudłaczy stanęła przed sądem. Damy im całkowitą swobodę i zobaczymy, jak to się odbije na twierdzeniach Ingermanna, że są dojrzałymi, odpowiedzialnymi osobami.

– Doktorze Mallin – odezwał się niespodziewanie Coombes – mówił pan, że w trakcie pańskich eksperymentów nigdy nie zapaliło się czerwone światło. A czy kiedykolwiek słyszał pan, żeby Kudłacz wypowiedział pod prawdometrem zdanie fałszywe?

– Wedle mojej wiedzy żaden Kudłacz nigdy nie wypowiedział zdania w sposób oczywisty fałszywego, panie Coombes.

– Jasne. W sprawie Ludzie kontra Kellogg i Holloway opowiadał pan o kosztownych badaniach wzorów elektroencefalograficznych u Kudłaczy. Czy zgodnie z ich wynikami wysiłkom intelektualnym Kudłaczy towarzyszy aktywność elektromagnetyczna?

Obecność prawnika na każdym spotkaniu naukowym wydawała się dobrym pomysłem, choćby po to, żeby zobaczyć, w jaki sposób stosowane są zasady postępowania dowodowego. Mallin wykrzywił zaciśnięte usta w uśmiechu.

– Dokładnie tak, panie Coombes. Kudłacze wykazują bardzo podobne wzorce falowe, co Terranie czy inni znani sapienci. W zasadzie identyczne, jeśli nie liczyć wzorców tłumienia i zamiany, na które prawdometr reaguje zmianą koloru światła. Żaden instrument mierniczy nie może funkcjonować w środowisku, w którym nie występuje aktywujący go bodziec. Kudłacze po prostu nie tłumią twierdzeń prawdziwych i nie zastępują ich fałszywymi. Krótko mówiąc, one nie kłamią.

– Cholernie trudno będzie to udowodnić w sądzie – stwierdził Gus Brannhard. – Fitz, przesłuchiwałeś Kudłacze przy użyciu prawdometru zaraz po włamaniu, zgadza się?

– Owszem. Tłumaczyli dla nich Ahmed i panna Glenn, pomagał też Diament. Przetestowaliśmy prawdometr – wersję z odpowiednio pomniejszonymi elektrodami i hełmem, wykonaną przez roboty w warsztatach Kompanii. Bez względu na to, który i co mówił, światełko zawsze było niebieskie. Uznaliśmy po prostu, że mówią prawdę.

– Też bym tak zrobił – odparł Brannhard – ale w sądzie będziemy musieli udowodnić, że prawdometr jest sprawny, wymuszając na nich zapalenie czerwonego światła.

– Czyli potrzebujemy testowego świadka w postaci Kudłacza, który skłamał podczas badania aparatem – podsumował Coombes. – Jeśli nie wiedzą, jak to robić, będziemy musieli je nauczyć. Przynajmniej niektóre. Wnioskuje, by to zadanie powierzyć doktorowi Mallinowi. Ja pomogę. Panowie, czy któryś z was kolekcjonuje paradoksy? Bo ten to prawdziwa perełka – aby udowodnić, że Kudłacze mówią prawdę, musimy najpierw pokazać, że kłamią. Wiecie, to jedna z tych rzeczy, które kocham w prawie.

Śmiali się wszyscy oprócz Jacka Hollowaya – ten ostatni wpatrywał się ponuro w blat.

– Chcemy je ucywilizować, ale to za mało – teraz jeszcze będziemy robić z nich kłamców – westchnął. – Bardzo jestem ciekaw, co my tu próbujemy stworzyć.

8.

Dalej jar opadał gwałtownie, a jego ściany wznosiły się po bokach wysoko, ponad małą płynącą wodą. Drzew było tu tyle co nic, ale za to dużo wielkich głazów. Musieli je omijać albo się na nie wspinać, idąc równym rządkiem, jeden za drugim. Czasami prowadził Ten Mądry, a czasami naprzód wysuwali się inni: Szukacz Owoców, Ten Kulawy, Duża Ona, Mała Ona, Dziabak, Nosi Lśniące Rzeczy i Głazotłuk. Nie polowali – tu nie było niczego do jedzenia – lecz w oddali Ten Mądry widział ponad drzewami błękitne niebo i słyszał dźwięk innej płynącej wody, z którą łączyła się ta mała.

Liczył, że nie będzie zbyt głęboka, a nurt zbyt wartki, żeby zatrzymać ich marsz. W tej okolicy płynących wód było bardzo dużo – właściwie we wszystkich niskich miejscach między wzniesieniami i górami. Miejsce wielu wód miało swoje zalety, ponieważ mogli pić, gdy dawało im się we znaki pragnienie, a „rosnące rzeczy” i zwierzęta, które zwykle jedli, przy wodzie pojawiały się częściej. Sęk w tym, że „płynące wody” czasami trudno było przejść, a kiedy szli wzdłuż brzegu, zawsze docierali do punktu, w którym się łączyły i tam było zbyt głęboko. Choć Ten Mądry nie mógł jej zobaczyć, wiedział, że ta woda płynie w stronę lewej ręki słońca – tak, jak opadał teren. „Płynące wody” zmierzały w dół, nigdy w górę, no i zawsze łączyły się z większymi płynącymi wodami. To była jedna z „tak musi” rzeczy.

Szybciej, niż się spodziewali, wyszli z jaru między drzewa, gdzie las rozciągał się na wszystkie strony i do góry, a „płynąca woda” była wąska i płytka, w sam raz, żeby przejść. Na przeciwnym brzegu teren wznosił się lekko, a jeszcze dalej przechodził w strome zbocze góry. Dobre miejsce, żeby szukać jedzenia. Przebiegli przez bród, rozchlapując wodę, śmiejąc się

i krzycząc, a potem pierś w pierś ruszyli polować pod zadaszeniem wielkich drzew, w kierunku góry. Rosły tam drzewa rodzące brązowe orzechy. Podnosili patyki i kamienie, by nimi ciskać, aż w pewnej chwili Duża Ona zawołała:

– Patrzyć, jak dużo już spaść z drzewa! Wiele-wiele na ziemi.

Tak rzeczywiście było; na trawie u podnóża drzewa leżało wiele orzechów. Podbiegli szybko i skłębili się, by je pozbierać, a później kładli na płaskich głazach i uderzali w skorupy kamieniami, chcąc dostać się do białego wnętrza. Wspaniale smakowały i nie zabrakło ich dla nikogo, a oni jedli je tak szybko, jak potrafili otwierać. Mimo to wszyscy zachowywali czujność; rozglądali się i nasłuchiwali, bo takie miejsca zawsze były groźne. Zwierzęta nie słyszały ich głosów – to też była rzecz „tak musi”, której mogli zaufać – ale robili wiele hałasów, roztrzaskując orzechy, a zwierzęta, które polowały na Ludzi, mogły je usłyszeć i rozpoznać.

Z tego powodu trzymali „kije do zabijania” w pobliżu, żeby szybko za nie złapać, jeśli będą musieli uciekać, a Nosi Lśniące Rzeczy nie wypuszczała z dłoni patyków z trzema lśniącymi rzeczami. Wiedzieli jednak, że nie będą mogli zostać tu długo. Ten Mądry już się zastanawiał, czy iść w dół strumienia, czy może wspinać się po zboczu. Przy strumieniu znajdą więcej rzeczy „dobrych do jedzenia”, ale słońce już dawno minęło najwyższy punkt, a na szczycie góry mogli znaleźć lepsze „miejsce do spania”. W końcu pomyślał, że płynąca woda skręca w stronę lewej ręki słońca, a oni też chcieli tam iść.

Podróżowali w kierunku lewej ręki słońca od wielu dni. Było „tak musi” rzeczą, że po zakończeniu pory opadania liści, kiedy stawały się one brązowe, po prawej ręce słońca robiło się zimno, a tymczasem po lewej wciąż było cieplej. Ludzie najbardziej lubili miejsca, gdzie jest ciepło. Mówiono, że daleko-daleko po prawej ręce słońca – dalej, niż kiedykolwiek był – robiło się czasem tak zimno, że kałuże wody twardniały

na krawędziach. Ten Mądry sam nigdy tego nie widział, ale mówili mu inni Ludzie. Właśnie dlatego od dnia, gdy ujrzeli gotza i usłyszeli „zabij grzmoty”, przemieszczali się cały czas w stronę lewej ręki słońca.

Ten Mądry miał jeszcze jeden, znacznie ważniejszy powód. W chwili, kiedy zobaczył dwóch Dużych w latającej rzeczy, podjął decyzję, że musi odnaleźć ich miejsce.

Nie wspominał o tym innym. Oni cieszyli się, że mogą iść tam, gdzie prowadzi, gdyby jednak opowiedział im o swych zamiarach, wszyscy zaprotestowaliby głośno i byłaby kłótnia, a przez kłótnię nie zrobiliby nic. Inni wciąż się bali latających Dużych, szczególnie Duża Ona, Szukacz Owoców i Głazotłuk. Ten Mądry rozumiał ich strach. To zawsze dobrze obawiać się przynajmniej trochę czegoś, czego się nie zna, a dziwny rodzaj Ludzi, którzy poruszali się w latającej rzeczy i robili „zabij grzmoty” strącające z nieba gotza, mógł być bardzo groźny. On jednak miał pewność, że okażą się przyjaciółmi.

Zabili trzy gotza, które im zagrażały, a później te na klifie, gdzie jedli hatta-zosa. Obserwowali ich z góry i nic nie zrobili, dopóki nie przybyły gotza, kiedy uwolnili „zabij grzmoty” i odlecieli, zostawiając po sobie trzy świecące rzeczy. A po pogoni za drugimi gotza na niebie przelecieli bezpośrednio nad głową jego i innych – i chociaż musieli ich zobaczyć, nie uczynili im żadnej krzywdy. To właśnie wtedy Ten Mądry podjął decyzję, że pójdą szukać miejsca Dużych, żeby się zaprzyjaźnić. Kiedy jednak powiedział o tym innym, wszyscy się przestraszyli. Wszyscy oprócz Dziabaka; Dziabak też chciał się przyjaźnić z Dużymi, lecz strach innych sprawił, że więcej nic nie mówił.

To wszystko działo się tyle, co dwie dłonie pór słońca i ciemności temu. Od tej chwili widzieli latającą rzecz cztery razy, zawsze po lewej ręce słońca. Ten Mądry nie wiedział nic o tamtych zakątkach świata, ale nikt nigdy nie wspominał, by widział latającą rzecz po prawej ręce słońca. Dlatego właśnie był pewien, że aby znaleźć miejsce Dużych, muszą iść

w przeciwną stronę. Nie wolno mu jednak rozmawiać o tym z innymi – wystarczy im przypominać, że po lewej ręce słońca będzie cieplej i że tam znajdują dużo-dużo zatku.

Z zarośli od strony płynącej wody doleciał trzask, jakby biegło przez nie jakieś wielkie zwierzę. Jeśli tak było, to musiało je gonić coś jeszcze większego. Ten Mądry poderwał się na równe nogi, z kijem w jednej ręce i z kamieniem, którym rozbijał orzechy, w drugiej. Inni też już stali, gotowi do ucieczki, kiedy z krzaków wypadł takku.

Takku nie były groźne, bo jadły tylko „rosnące rzeczy”. Mimo to Ludzie nie polowali na takku, bo były to zwierzęta zbyt duże i zbyt szybkie na nogach, żeby je złapać. Za takku gnało jednak coś jeszcze, coś, co robiło więcej hałasu – to znaczy, coś niebezpiecznego. Ten Mądry cisnął kamieniem, celując nieco w bok od takku, żeby je przestraszyć i odegnać w inną stronę. Ku swemu zaskoczeniu, trafił je w bok.

– Rzucać kamieniami! – krzyknął. – Przegnać takku!

Inni wnet pojęli; chwycili kamienie i zasypali nimi zwierzę. Jeden z pocisków trafił je w szyję. Takku zachwiało się i odbiło w bok, próbując utrzymać równowagę, gdy z zarośli wyskoczył hesh-nazza i pochwycił swą ofiarę.

Hesh-nazza były największymi zwierzętami w lesie. Miały trzy rogi, jeden sterczący z samego środka czoła i po dwa zakrzywione, wystające z obu dolnych szczęk. Poza gotza, które atakowały wysoko z nieba, Ludzie żadnego zwierzęcia nie bali się bardziej niż hesh-nazza. Nawet gotza nie chciały ich atakować.

Dopadłszy takku, hesh-nazza zagłębił róg sterczący z czoła w jego boku, tuż za nogą. Takku zabeczało rozdzierająco z bólu i beczało nadal, kiedy hesh-nazza uderzył je przednimi odnóżami, żeby wyrwać róg z ciała i wbić ponownie.

Gashta nie zostali patrzeć, co będzie dalej. Takku zawodził żałośnie, kiedy uciekali w górę zbocza. Wspinając się, usłyszeli, jak płacz zwierzęcia

zamiera, a hesh-nazza wydaje z siebie potężny ryk, co robił zawsze, gdy zabił ofiarę. Teraz pewnie rozdzierał takku rogami szczękowymi i zajadał się jego mięsem. Ten Mądry cieszył się, że rzucił kamieniem i powiedział innym, by poszli za jego przykładem. Gdyby tego nie uczynił, takku stratowałyby ich, a za nim hesh-nazza, a to na pewno źle by się skończyło. Teraz nic im nie groziło, lecz mimo to wspinali się wyżej, aż doszli na szczyt. Dopiero tam się zatrzymali, zdyszani, żeby odpocząć.

– Lepiej, żeby hesh-nazza zjeść takku niż Ludzie – powiedział Ten Kulawy.

– Wielki takku – zauważył Dziabak. – Hesh-nazza posilać się długo, a kiedy skończyć, pójść spać. Następnej pory słońca być głodny i znów polować.

– Hesh-nazza tu nie wejść – uspokoiła go Nosi Lśniące Rzeczy. – Zostać przy płynącej wodzie, tam, na niskiej ziemi.

Miała rację, hesh-nazza nigdy nie wspinały się wysoko – krążyły przy płynących wodach i leżały cicho w trawie, gdzie wyczekiwały na ofiarę: zwierzęta albo Ludzi. Co za szczęście, że nie przekroczyli płynącej wody bliżej miejsca, gdzie wytryskiwała ze skał!

Chociaż słońce wisiało nisko, wciąż mogli liczyć na sporo światła, żeby znaleźć dobre „miejsca do spania”. Szczyt góry był rozległy, a Ten Mądry nie widział niczego oprócz lasów – same duże drzewa, niektóre z orzechami. Dobre „miejsce do spania”, a gdy słońce wyjdzie po porze ciemności ze swej norki, zejść na niską ziemię po przeciwnej stronie.

– Wrócić drogą, którą wejść na górę – przekonywała Duża Ona. Ostatnimi dniami Duża Ona zrobiła się przekorna. – Dobre miejsce, bo drzewa z orzechami.

– Złe miejsce, bo hesh-nazza – odparł Dziabak. – Hesh-nazza iść dalej płynącą wodą i tam czekać. My przyjąć, skończyć w brzuchu hesh-nazza. Lepiej robić, co mówi Ten Mądry. Ten Mądry wiedzieć najlepiej.

– Najpierw szukać „miejsce do spania” – stwierdził Ten Mądry. – A teraz iść zapolować. Wszyscy, dobrze patrzeć za dobre „miejsce do spania”.

Inni się zgodzili. Tutaj też widzieli sporo drzew z orzechami, a tam, gdzie rosły takie drzewa, żyły drobne zwierzęta najlepsze do jedzenia, które otwierały skorupy zębami. Może upolują kilka z nich i zjedzą? Orzechy im smakowały, ale mięso było znacznie lepsze. Może nawet natkną się w pobliżu na zatku?

Rozdzielili się i polowali, co rusz wywołując swoje imiona. Stąpali ostrożnie, żeby nie robić hałasu w kępach zwiędłych liści. Ten Mądry pomyślał o takku. On i przynajmniej jeszcze ktoś inny trafili je kamieniami. Jednakże kamienie, nawet rzucone tak mocno, by powalić i zabić hatta-zosa, nie robiły takku żadnej krzywdy – mogły je co najwyżej przestraszyć. Ten Mądry żałował, że Ludzie nie znają sposobu na zabicie takku. Mięso jednego wystarczyłoby dla wszystkich na cały dzień; resztę zaciągnęliby w „miejsce do spania”, żeby posilać się rano. Nie mówiąc o tym, że z kości odnoży mogliby zrobić wspaniałe „kije do zabijania”.

Szkoda, że nie wiedział, w jaki sposób Duzi robili „zabij grzmoty”. Coś, co potrafiło zabić gotza w locie, na pewno poradziłoby sobie z takku. Ba, bez trudu powaliłoby hesh-nazza! Chyba nie istniało takie zwierzę, którego Duzi musieliby się bać.

Minął tydzień, zanim Hollowayowi udało się wyrwać z Mallorysportu do Hoksu-Mitto, a gdy w końcu dotarł na miejsce, nowe biuro czekało umeblowane. Dostał ładny, przestronny pokój na parterze – rzecz jasna z całą stertą papierów, które nagromadziły się na biurku podczas jego nieobecności. Stary barak z prefabrykatów rozebrano i przeniesiono na drugą stronę wybiegu, żeby urządzić w środku dodatkowe kwatery mieszkalne dla Kudłaczy, których mieli już ponad czterysta. To było cholernie dużo Kudłaczy.

– Na dodatek kosztują nas kupę forsy – stwierdził George Lunt rano po powrocie Hollowaya. Stawił się w jego biurze z Gerdem van

Riebeekiem – przylecieli wspólnie z kanionu Yellowsand dzień po podpisaniu umowy dzierżawy – i Pancho Ybarra. – Żeby tego było mało, mamy sto, sto pięćdziesiąt więcej w naszych posterunkach, a do tego musimy dostarczać hokfuzynę i Pezeter Trzy rodzinom żyjącym na farmach i plantacjach.

George nie musiał mu tego tłumaczyć. Duża część dokumentów, które piętrzyły się na biurku, dotyczyła zasobów kupionych lub zamówionych. Do tego dochodziła lista płac Komitetu ds. Autochtonów: dwieście pięćdziesiąt pracowników i funkcjonariuszy ZSOA, zespół śledczy Ahmeda Khadry, technicy i załogi konstrukcyjne, księgowość, ludzie Gerda van Riebeeka w biurze naukowym, Lynn Andrews i jej zespół medyczny...

– Jeśli umowa wydobywania w kanionie Yellowsand trafi do śmieci – zaczął Gerd, jakby czytał mu w myślach – będziemy mieć cały stos rachunków i żadnej możliwości spłaty.

W tej kwestii nikt nie zamierzał się z nim spierać.

– Umowa obejmuje Rezerwat Kudłaczy – odezwał się Pancho Ybarra. – Czy przypadkiem rząd kolonialny nie ma nad nim kontroli?

– Nie w taki sposób, w jaki byśmy chcieli, jeśli Kudłacze nie są dziećmi. Słuchaj, rząd sprawuje kontrolę nad Rezerwatem, żeby wymusić prawo, a jeśli Kudłacze zostaną uznane za osoby dojrzałe i pełnoletnie, zgodnie z prawem nikomu nie będzie wolno wydobywać kamieni słonecznych bez ich zgody.

– A co z odciskami palców na umowie? – zastanawiał się Lunt. – Co prawda Kudłacze były tylko dodatkowymi świadkami, ale składając odciski, przyzwoliły na wykonanie jej treści. Czy ten fakt nie jest dowodem ich zgody?

Gus Brannhard analizował ten aspekt kilka dni temu. Niewykluczone, że w sądzie uda się obronić taki punkt widzenia. Jednakże najwyższy sędzia Pendarvis nie zgodził się na wydanie opinii, co nie wróżyło zbyt dobrze.

– Cóż, w takim razie zdobądźmy zgodę w inny sposób – zaproponował Gerd. – Żyje tutaj czterysta Kudłaczy – więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na planecie. Przeprowadzimy wybory. Zrobimy z Kudłaczka najwyższego wodza i wybierzemy dwunastu zastępców, a następnie stworzymy radę plemienną i poprosimy ją o zagłosowanie w sprawie dzierżawy kanionu Yellowsand. Z pewnością widziałeś niejedną radę plemienną na Ygdrassilu – nasza będzie przynajmniej trzeźwa.

– Albo na Gimli. Stacjonowałem na tej planecie, zanim przenieśli mnie na Zaratustrę – dodał Lunt. – W identyczny sposób Kompania Gimli uzyskała pozwolenie na wydobycie materiałów rozszczepialnych.

– Nie da rady. Zgodnie z prawem jedna z takich rad plemiennych musiałaby w drodze głosowania wyłonić kogoś w rodzaju pełnomocnika, który będzie za nią prowadzić interesy, a taka decyzja wymaga potwierdzenia na prawdometrze – wodza, rady czy kogokolwiek innego, kto ją podejmie – wytłumaczył Holloway.

Ciężka cisza zapadła niemal z tąpnięciem.

Cała czwórka spoglądała po sobie w konsternacji.

– Wziąwszy pod uwagę, o jakie pieniądze tu chodzi – odezwał się w końcu Lunt – paru prawników takich jak Gus Brannhard czy Leslie Coombes mogłoby znaleźć jakiś sposób na obejście przepisów.

– Tylko że ja nie chcę obchodzić przepisów – odparł Holloway. – Jeśli to zrobimy, żeby pomóc Kudłaczom, prędzej czy później ktoś spróbuje identycznego wybiegu, żeby im zaszkodzić. – Zgasła mu fajka, a gdy chciał ją zapalić, zorientował się, że w główce został sam popiół. Wytrząsnąwszy go do popielniczki, wyciągnął kapciuch z tytoniem. – Tu nie chodzi o sprawę na tydzień czy nawet na rok. Kudłacze i inni ludzie będą żyć na Zaratustrze przez tysiące lat, a nam powinno zależeć, by to współżycie zaczęło się jak najlepiej. Nie mamy bladego pojęcia, kto zasiądzie na czele rządu i Kompanii, kiedy Rainsford, Grego i cała nasza reszta wyzionie

ducha. W każdym razie ci ludzie będą kierować kolonią na mocy precedensów, które sami ustanowimy.

Holloway mówił bardziej do siebie niż do swoich słuchaczy. Pyknął z fajki i podjął:

– Właśnie dlatego zależy mi, by Leo Thaxter, Evinsowie i Phil Novaes dostali po kulce za to, co zrobili Kudłaczom. Nie jestem człowiekiem mściwym. Sam zabiłem wystarczająco wielu ludzi, by wiedzieć, że nie ma w tym nic zabawnego. Prawo musi być jednak proste i przejrzyste, a Kudłaczom należy zapewnić identyczną ochronę, co ludzkim dzieciom. Niech ten precedens będzie ostrzeżeniem dla innych, którzy podniosą na nie rękę.

– Pełna zgoda – powiedział Pancho Ybarra. – Według mojej zawodowej opinii – którą przedstawię pod przysięgą w sądzie – Kudłacze są właśnie tym: niewinnymi, ufnymi dziećmi, równie bezradnymi i kruchymi w ludzkim społeczeństwie, co ludzkie dzieci w społeczeństwie dorosłych. Przestępców, którzy je więzili i torturowali, żeby wytresować sobie szajkę złodziei, musi spotkać kara śmierci – i to nie za same zbrodnie, ale za to, że są do nich zdolni.

– Dobrze, a co sądzisz o problemie z prawdometrią? – zapytał Lunt. – Jeśli nie rozwiejemy wątpliwości w tej kwestii, będziemy mieć związane ręce.

– Skoro Kudłacze nie mogą zmusić aparatu do zapalenia czerwonego światła, to znaczy, że po prostu nie kłamią! – stwierdził Gerd. – Ja osobiście nie znam ani jednego Kudłacza, który kiedykolwiek powiedziałby nieprawdę. Ruth też nie.

– Ani ja, nawet wśród tych, które siały zamęt na farmach – poparł go Lunt. – Zezna to każdy człowiek z sił ochrony.

– A jaki plan ma Mallin? – zainteresował się Gerd. – Zmusi Henry’ego Stensona, żeby skonstruował urządzenie, które wykryje kłamstwo Kudłacza?

– Nie. Nauczy Kudłacze kłamać, żeby potwierdzić sprawność aparatów.

– Żartujesz?! Mogą go za to zastrzelić! – parsknął Lunt. – Kłamanie to akt niemoralny, to jak nakłanianie do przestępstwa!

Jeden z Kudłaczy, Kraft, siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, paląc fajkę. Towarzyszył samicy o imieniu Ebbing, którą usadzono na specjalnej, zminiaturyzowanej wersji krzesła do prawdometrii, a następnie założono na głowę chromowany kask. Za nią świeciła wyraźnym niebieskim blaskiem przejrzysta kula. Ernst Mallin, oparty bokiem o stół, uważnie przyglądał się Kudłaczom. Po przeciwnej stronie Leslie Coombes palił w ciszy papierosa.

– Ebbing, chcesz pomóc Wujkom Ernstowi i Lezliemu? – zapytał po raz enty Mallin.

– Jasne – przytaknęła spokojnie Ebbing. – Co Ebbing robić?

– Twoje imię Ebbing. Rozumieć, co to imię?

– Tak. Imię coś, co ktoś nazywać ktoś inny. Duzi dawać wszystkie Kudłacze imiona, a potem zapisywać na „ide dysko”. – Potarła palcem srebrny dysk na gardle. – Tu moje imię.

– Skąd ona to wie? – zapytał Coombes.

– Potrafiłaby ci je wydrukować, i to tak precyzyjne, jak na tym dysku. No dobrze, Ebbing. Wujko Lezli zapytać ciebie twoje imię, a ty odpowiedzieć: Kraft.

– Ale to nie moje imię. Moje imię Ebbing. Kraft jego imię – wskazała.

– Wiem. Wujko Lezli też wie. Ale gdy Wujko Lezli zapytać, ty odpowiedzieć – Kraft. Wtedy on zapytać imię Kraft, a Kraft odpowiedzieć, że Ebbing.

– Duzi tak robić zabawę – wtrącił się Coombes. – My nazywać to – Kudłacz, Kudłacz, kto ty być? Bardzo zabawne.

– Panie Coombes, błagam. Ebbing, powiedzcie Wujko Lezli, że twoje imię Kraft.

Rozświetlona kula zamigotała, a barwne pasma zaczęły wirować – z ciemnego indygo przechodziły w kolor bładoniebieski. W pierwszej chwili Mallin poczuł przyływ nadziei, ale wtedy zdał sobie sprawę, że to typowa reakcja aparatu na sytuację pomylenia znaczeń. Ebbing dotknęła dysku identyfikacyjnego i spojrzała w stronę swojego towarzysza. Prawdometr ponownie rozbrzysnął niebieskim światłem.

– Kraft – powiedziała spokojnie.

– Żeby to nagle krew zalała! – jęknął Coombes.

Mallinowi cisnęły się na usta podobne słowa.

– Czy teraz Wujko dać nowe „ide dysko”? – zapytała Ebbing.

– Ona myśli, że jej imię brzmi teraz Kraft. Zgodnie z jej wiedzą i przekonaniem, wciąż mówi tylko i wyłącznie prawdę – westchnął Coombes.

– Nie, nie! Twoje imię Ebbing, jego imię Kraft. – Mallin wstał i podszedł do niej, żeby ściągnąć kask i odłączyć elektrody. – Na razie dość – powiedział. – Iść się bawić. Powiedzieć Ciosio Anne, żeby dać Pezeter Trzy.

Kudłacze zerwały się w stronę drzwi, ale w porę przypomniały sobie o manierach.

– Dziękuu, Wujko Ernst. Dojdzenia, Wujko Lezli i Wujko Ernst! – pożegnali się i wypadli na zewnątrz.

– Oboje uwierzyli, że namawiałem ich do zmiany imion – stwierdził Mallin. – No cóż, pewnie następnym razem przyjdą z pomieszanyimi dyskami identyfikacyjnymi.

– One nawet nie widzą możliwości kłamstwa – zauważył Coombes. – Czyżby dlatego, że w stanie naturalnym nie mają powodu, by kłamać? Wszystkie ich problemy wynikają z przesłanek środowiskowych. Środowiska nie da się oszukać, a gdy zaczniesz oszukiwać sam siebie, szybko cię zniszczy. Można tylko żałować, że ich struktury społeczne nie są

bardziej rozwinięte. W końcu kłamanie to zwyczaj społeczny. Gdyby wynalazły politykę...

9.

Ten Mądry cieszył się, gdy w końcu dotarli do miejsca, w którym góra „robiła koniec” i opadała stromo w dół. Nie podobało mu się tutaj. W okolicy rosły drzewa orzechowe, więc jedli orzechy. Zabili też kilka małych zwierząt, które żywiły się orzechami, ale niezbyt dużo, bo trudno je było złapać. Nie znaleźli na szczycie płynącej wody, a tylko małe kałuże stojącej wody z ostatnich ulew, która nie smakowała zbyt dobrze. „Miejsce do spania” też mogłoby być lepsze. Na dodatek w nocy na niebo wyszły oba światła i zwierzęta zachowywały się niespokojne. Słyszeli krzykacza, choć na szczęście daleko. Krzykacze jadły tylko mięso i polowały w ciemnościach. To właśnie przez nie więcej nie widzieli hatta-zosa. Hattazosa uciekały z miejsc, w których pojawiały się krzykacze. Tak jak Ludzie, jeśli tylko mogli.

Teraz zatrzymali się i spojrzeli ponad czubkami drzew na krainę w oddali. Była tam kolejna góra, po lewej ręce słońca. Jej wierzchołek rozciągał się od strony wstawania słońca do strony opadania, za nią zaś nie było nic prócz nieba. Nie wyglądała na stromą. Zmarszczki dolin wyźlobionych przez małe płynące wody znaczyły łagodne zbocza, co oznaczało, że pod spodem musiała się znajdować jeszcze jedna woda – wielka, bo wpadały do niej wszystkie małe. Ten Mądry już się obawiał, że trudno ją będzie przekroczyć.

Inni podekscytowali się szeroką doliną po drugiej stronie i rozprawiali tylko o tym, jakie to dobre miejsce do polowania. Nie widzieli płynącej wody w dole, więc o niej nie myśleli.

Zaczęli schodzić. Z każdą chwilą zbocze opadało coraz bardziej stromo, przez co musieli chwytać się krzaków i zatrzymywać na odpoczynek za pniami drzew. W trakcie marszu pomagali sobie „kijami do zabijania”.

Po jakimś czasie dostrzegli płynącą wodę, która wydawała coraz głośniejsze odgłosy. W końcu ujrzeni ją całkiem wyraźnie i już więcej nie zniknęła im z oczu, a oni mogli ocenić, jaka była wielka.

Duża Ona zaczęła namawiać innych, by zawrócić i wspiąć się z powrotem na szczyt.

– Płynąca woda zbyt szeroka, my nie przejść – przekonywała. – Iść w dół, to nie mieć gdzie dalej iść. Lepiej wracać na górę.

– W takim razie iść blisko brzegu – zaproponował Ten Kulawy. – Aż znaleźć miejsce, gdzie wody mało, żeby przejść.

– Nie znaleźć rzeczy „dobrych do jedzenia” – upierała się Duża Ona. – Nie mieć rzeczy „dobrych do jedzenia” od ostatniej pory słońca. Dlaczego Ten Mądry nie znaleźć?

Dziabak wpadł w gniew.

– Myśleć, że mądra jak Ten Mądry? Że lepiej szukać rzeczy „dobre do jedzenia”?

– Głodny – jęknął Szukacz Owoców. – Chcieć znaleźć rzeczy „dobre do jedzenia”. Może Duża Ona mówić dobrze, może wrócić i zejść gdzie indziej?

– Jeśli wy chcieć, iść z powrotem na szczyt – zdecydował Ten Mądry. – My iść w dół, przejść płynącą wodę i znaleźć rzeczy „dobre do jedzenia” po drugiej stronie.

Nosi Lśniące Rzeczy zgodziła się z jego zdaniem, podobnie jak Druga Ona i Ten Kulawy. Zaczęli schodzić; Duża Ona, Głazotłuk i Szukacz Owoców ruszyli za nimi bez słowa. Po jakimś czasie stromizna przeszła w łagodny stok i zobaczyli płynącą wodę niedaleko między drzewami. Zatrzymali się na brzegu.

Naprawdę była wielka, szeroka i wartka. Ten Kulawy podniósł z ziemi kamień i cisnął nim najdalej, jak potrafił. Nic z tego, nawet nie miał co liczyć, że dorzuci do przeciwległego brzegu. Druga Ona spróbowała patykiem, ale natychmiast porwał go nurt. Nawet gdyby zaryzykowali

utrata „kijów do zabijania” i lśniących rzeczy, i tak nie udałoby im się przepłynąć.

Duża Ona wskazała na wodę kijem.

– Patrzyć! Patrzyć, w jakie miejsce zaprowadzić nas Ten Mądry – podniosła wrzawę. – Gdzie rzeczy „dobre do jedzenia”? Gdzie przejść rzekę? Wracać na górę, teraz.

– Wspinać się w wysokie, strome miejsce? – Druga Ona brzmiała na przerażoną.

– A co, ty spróbować przejść? – odparowała Duża Ona. Spojrzała wzdłuż nurtu – płynąca woda nieco dalej zakręcała, oddalając się od góry. – A może iść tam?

– Tam przejść płynącą wodę poprzedniej pory słońca – przypomniał jej Ten Mądry. – Tam chować się hesh-nazza. Zjeść już całe takku i teraz być głodne.

Duża Ona całkiem zapomniała o hesh-nazza, choć bała się ich bardziej niż inni. Kiedyś hesh-nazza prawie ją złapał. Znow zaczęła nalegać, żeby wrócili się po zboczu na szczyt góry. Poparł ją Szukacz Owoców. Dziabak uznał, że mają tylko jedno wyjście – iść w górę płynącej wody. W końcu inni się zgodzili, nawet Duża Ona.

Wędrówka sprawiała im wiele trudności. Woda płynęła bardzo blisko góry, a brzegu nie było prawie wcale. Musieli iść jeden za drugim, przytrzymując się drzew i krzaków. Duża Ona znow zaczęła narzekać, a razem z nią kilku innych.

Aż raptem, skręciwszy za załom góry, ujrzeli przed sobą szeroki, płaski teren, za którym otwierała się niewielka dolina poprzecinana płytkimi strumieniami, łatwymi do przejścia. W tym miejscu płynąca woda miała szerokość trzech, może czterech rzutów kamienia i płynęła między głazami. Płytką, lśniła w słońcu, a po obu jej stronach ciągnęły się długie, kamieniste plaże zavalone fragmentami drzew.

Zacząli przechodzić. W większości miejsc woda sięgała im do pasa, ale w paru innych łapali się za „kije do zabijania”, żeby stworzyć stabilny łańcuch. Kiedy wreszcie znaleźli się po drugiej stronie, wszyscy, nawet Duża Ona, byli szczęśliwi.

Na plaży leżało sporo połamanych gałęzi, a tu i tam całe drzewa. W porze wielu deszczy woda musiała tu sięgać znacznie wyżej. Wszyscy przyglądali się kawałkom drewna i rozprawiali, jakie wspaniałe można z nich zrobić „kije do zabijania”. Zatrzymaliby się na dłużej i zrobili je od razu, lecz zbytnio doskwierał im głód. Zdecydowali, że teraz pójdą polować i wrócą, gdy się najedzą. Ruszyli znad rzeki w las, nawołując się nawzajem.

Tutaj nie rosły drzewa orzechowe. Znaleźli za to nieduże, różowe „rosnące rzeczy”, które wyglądały trochę jak palce. Były dobre, ale nikt by się nimi nie najadł, choćby pożarł całą stertę. Jednakże przepadały za nimi zatku i wkrótce natknęli się na miejsce, gdzie jeszcze niedawno zatku podskubywały rośliny, a później, idąc po cichu, wytropili trzy żywe sztuki. Nikt już nawet nie pamiętał, kiedy poprzednio znaleźli tak wiele. Oprócz tego były też inne rzeczy „dobre do jedzenia” – zarówno zwierzęta, jak i rośliny – dzięki czemu tuż po porze najwyższego słońca nikt nie mógł narzekać na pusty brzuch.

Zawrócili więc na plażę, a w trakcie marszu ujrzeli trzy powalone drzewa oczyszczone przez nurt, które przykrywały jamę, tworząc zadaszanie. Wspaniałe „miejsce do spania”; zapamiętali je, by wrócić, kiedy słońce zejdzie nisko na niebie.

Ponownie rozejrzeli się po plaży usianej fragmentami drewna, suchego i twardego niczym kości zwierząt. Ten Mądry nie znalazł nic, co byłoby lepsze od kija, który już nosił. Był to wspaniały kij, poświęcił wiele czasu, by go zrobić. Inni nie mieli jednak tak dobrych kijów, więc szukali prostych gałęzi, które dałoby się łatwo obrabiać. Niektóre kamienie leżące na piasku były wyjątkowo twarde. Głazotłuk, który świetnie sprawdzał się w tej

pracy, zaczął je obtłukiwać, bo właśnie tak robiło się „kamienie do rąbania”. Duża Ona, Szukacz Owoców i Nosi Lśniące Rzeczy przykucnęli obok; obserwowali jego pracę, rozmawiając. Druga Ona też znalazła dobry kawałek drewna i płaski kamień. Oparła gałąź o pień jednego z drzew i zaczęła ucierać ją kamieniem, żeby nadać jej odpowiedni kształt. Oprócz niej nowy kij robił Ten Kulawy – tak jak Dziabak, który przysiadł na uboczu, nieco dalej od innych. Ten Mądry podszedł do niego i usiadł, a Dziabak pokazał mu nowy kij. Był długi, doskonały do dźgania.

– Dobre miejsce – stwierdził Dziabak, nie przerywając pracy. – Wiele rzeczy „dobrych do jedzenia” – dodał, wciąż zadziwiony. – Tutaj więcej zatku, dużo-dużo. I hatta-zosa. Dobrze patrzeć, gdzie ogryzać drzewa. – Pocierał koniec kija, by go zaostrzyć. – Zostać tutaj?

– Mieć „miejsce do spania”, zostać jedną porę słońca – odparł Ten Mądry. – Potem znaleźć małą wodę i iść tam, gdzie wypływać z ziemi. Wejść na górę i zejść z drugiej strony.

– Druga strona jak ta strona, po co iść?

– Druga strona bliżej lewej ręki słońca, tam mieszkać Duzi. Znaleźć ich i zrobić przyjaciół. Duzi pomagać, Duzi być mądrzy, więc Ludzie wiele się od nich uczyć – wyjaśnił. – Ty chcesz szukać Duzi?

– Tak, chcesz – przytaknęła Dziabak – ale inni nie chcesz, inni się bać. Tylko posłuchać Duża Ona. – Odłożył kamień na ziemię i chwycił kij oburącz, żeby dobrze mu się przyjrzeć. – Duża Ona myśleć, że mieć w głowie więcej niż Ten Mądry. A Głazotłuk i Szukacz słuchać.

Właśnie w taki sposób rozpadały się gromady. Już raz tak się stało, dawno temu, kiedy Sędziwa jeszcze żyła i przewodziła grupie. Kłócili się, gdzie iść polować, aż czterech innych odeszło w gniewie. Już nigdy ich nie spotkali. Mama Dziabaka została z gromadą, a Dziabak urodził się dwie pory nowych liści później. Ten Mądry nie chciał, żeby sytuacja się powtórzyła. Ośmioro Ludzi tworzyło najlepszą gromadę: nie było ich zbyt wielu, dzięki czemu potrafili znaleźć jedzenie dla wszystkich, lecz zarazem

wystarczająco dużo do polowania pierś w pierś, by jeden widział, czego nie trafił drugi, i by z łatwością zabijali hatta-zosa. Zresztą, Ten Mądry zwyczajnie nie chciał się kłócić – nie lubił, gdy między Ludźmi dochodziło do sprzeczek.

Mimo to zamierzał iść do miejsca Dużych, żeby znaleźć Dużych i zrobić z nimi przyjaźń, nawet jeśli musiałby pójść całkiem sam. Nie, nie sam, będzie mu towarzyszyć Dziabak, i może jeszcze Nosi Lśniące Rzeczy. Kolejny kłopot: jeśli gromada się rozpadnie, z pewnością wybuchnie awantura o lśniące rzeczy.

Może dołączą do niego Ten Kulawy i Druga Ona? Ale kto wtedy stanie na czele pozostałych? Duża Ona chciała dowodzić, nie była jednak Tą Mądrą. Była Tą Głupią, Shoumko – jeśli inni pozwolą, żeby ich prowadziła, już niebawem wszyscy zrobią się martwi. Temu Mądremu bardzo zależało, żeby gromada przetrwała.

Słońce nieśpiesznie wędrowało do swej norki i z każdą chwilą cienie stawały się coraz dłuższe. Głazotłuk jeszcze nie skończył obtłukiwać twardego kamienia. Robił nóż, którego mógłby używać do cięcia mięsa hatta-zosa, by dzielić się nim z resztą. Zamierzali nosić go ze sobą tak długo, jak będzie to możliwe, razem z „kamieniem do rąbania”. Ten Mądry żałował, że brali ze sobą tak mało rzeczy, lecz przecież każdy ma tylko dwie ręce, a w jednej zawsze musi trzymać „kij do zabijania”. Zdawał sobie sprawę, że z konieczności porzucą część nowych narzędzi Głazotłuka albo zgubią, przepływając się przez płynącą wodę. Chyba tylko cudem nie stracili jeszcze lśniących rzeczy.

Ten Kulawy i Druga Ona skończyli robić kije, po czym ruszyli brzegiem w górę rzeki. Dziabak także zrobił nową broń i poszedł z Tym Mądrym w przeciwną stronę – aż do miejsca, gdzie z dużą płynącą wodą łączyła się mniejsza, ta, którą przekroczyli w poprzedniej porze słońca. Rozmawiali o hesh-nazza i zastanawiali się, gdzie teraz jest; raczej nie przeszedł przez

płynącą wodę, w tym miejscu zbyt głęboką i wartką. Był też zbyt wielki, żeby przemieszczać się wzdłuż ściany góry, tą drogą, którą oni przyszli.

Skręcili w las, oddalając się od rzeki, by zatoczyć koło i wrócić na plażę. Nie znaleźli zwierząt, ale złapali kilka małych jaszczurek, które od razu zjedli. Gdy w końcu dotarli tam, gdzie na piasku leżały wywrócone drzewa, Ten Kulawy i Druga Ona byli z powrotem – przytaszczyli ze sobą hatta-zosa, które zabili. Wszyscy ucztowali, a kiedy skończyli, słońce robiło na niebie bardzo piękne. Przyglądali się, aż znikły, po czym odnaleźli „miejsce do spania”, które wcześniej wypatrzyli. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi i długo rozmawiali, zanim zasnęli.

Następnego ranka słońce robiło na całym niebie czerwone blaski, i to zanim wyszło ze swojej norki. Były nawet ładniejsze niż w poprzedniej porze chowania się słońca, ale wszyscy wiedzieli, że oznaczają nadchodzący deszcz, a nikt nie lubił deszczu. Poszli razem do miejsca, gdzie Ten Kulawy i Druga Ona zabili hatta-zosa, po czym zabili kolejne trzy. Kiedy kończyli jeść ostatnie, z nieba spadały pierwsze krople deszczu, a słońce schowało się gdzieś na szarocznym niebie. Pobiegli z powrotem do „miejsca do spania”.

Długo leżeli skuleni pod trzema powalonymi drzewami, tuląc się do siebie. Co prawda nie mogli całkowicie uniknąć zmoknięcia, ale przynajmniej nie stali na najgorszym deszczu. Chociaż ich sierść szybko zrobiła się mokra i przywarła do ciała, nie czuli chłodu, a ponieważ niedawno zjedli dużo mięsa, było im wspaniale.

W końcu przestało padać. Las ożył, a zaraz potem wyszły pierwsze promienie słońca. Wszyscy się cieszyli. Wyczołgali się z jamy i rozmawiali, co będą robić, aż w końcu zdecydowali, że pójdą w głąb lądu, w stronę wysokich terenów, gdzie jeszcze nigdy nie byli. Chcieli sprawdzić, co tam znajdą. Na wypadek, gdyby trafili na jeszcze lepsze „miejsce do spania”, zabrali ze sobą nóż i „kamień do rąbania” Głazotłuka, a także lśniące rzeczy.

Szli w stronę wstawania słońca, trzymając się zbocza po jego lewej ręce. Znaleźli wiele różowych, palczastych rzeczy, które lubiły rosnać w cieniu. Wcześniej pożywiały się tam zatku. Postanowili polować, zataczając koło, i już wkrótce znaleźli pierwsze, a potem następne zatku. Wszyscy chwalili Tego Mądrego, że zaprowadził ich w to miejsce, nawet Duża Ona.

– Lepiej niż po prawej ręce słońca – powiedział im. – Więcej ciepło, to „tak musi” rzecz. Wejść na czubek góry i zejść z drugiej strony. Wszystko tam lepiej.

Duża Ona protestowała. To być dobre miejsce, dlaczego iść gdzie indziej? Zgadzał się z nią Szukacz Owoców, ale wszyscy inni odpowiedzieli: Ten Mądry wie najlepiej.

– Skąd wiedzieć, że za górą lepiej? – Duża Ona rzuciła mu wyzwanie.

– Bo tak być. To „tak musi” rzecz. – Ten Mądry zastanawiał się, skąd to wie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Gdyby powiedział, dlaczego chce iść w stronę lewej ręki słońca – by odnaleźć Dużych – kłótni byłoby jeszcze więcej. – Dawno temu powiedziec Ludzie – wyjaśnił w końcu, bo zdawał sobie sprawę, że nikt nie będzie się spierać. – Dawno temu, Ludzie usłyszeć od innych Ludzi – ciągnął, zdając się na improwizację. – Daleko po lewej ręce słońca dobre miejsce. Zawsze ciepło i zawsze rzeczy „dobre do jedzenia”. Wiele zatku, wiele hatta-zosa, wiele „rosnące rzeczy”. Wszystko cały czas, a nie tylko chwilę, a inne rzeczy inną chwilę. Orzechy, ziemne jagody, czerwone jagody... Wszystkie dobre rzeczy cały czas.

Ten Mądry nie wiedział, czy właśnie tak wyglądała kraina po lewej ręce słońca – tylko robił mówienie, że jest takie miejsce. Był jednak Tym Mądrym, więc inni myśleli, że wie.

– Wszyscy słuchać Ten Mądry – powiedział Dziabak – a Ten Mądry prowadzić nas w dobre miejsce.

– Nie słuchać takiego gadania – zaprotestowała Duża Ona.

– Już nie pamiętać? – zakpił Dziabak. – Zapomnieć o hesh-nazza w poprzedniej porze słońca?

– Moja mama to opowiadać. – Ten Mądry próbował sobie przypomnieć, czy naprawdę tak było i zrobiło mu się przykro, że nie pamięta jej lepiej. Zabił ją gotza, gdy Ten Mądry był malutki. – Sędziwa twierdzić, że usłyszeć od innych Ludzi. – Odwrócił się do Nosi Lśniące Rzeczy. – Ona twoja mama, ona na pewno ci mówić.

Nosi Lśniące Rzeczy wyglądała na zdezorientowaną. Wiedział, że niczego takiego nie pamięta, choć uważała, że powinna. W końcu kiwnęła zgodnie głową.

– Tak. Sędziwa mi mówić – stwierdziła.

– „Tak musi” rzecz! – uznał Ten Kulawy. – Wszyscy dawno-dawno Ludzie opowiadać o dobre miejsce po lewej ręce słońca.

Druga Ona wierciła się niespokojnie. Nie pamiętała tych opowieści, ale inni twierdzili, że pamiętali. Może zapomniała? Ruszyli w dalszą drogę i wytropili kolejne zatku.

Ten Mądry wiedział, że dawno-dawno ludzie nic podobnego nie opowiadali. On tylko robił mówienie, że tak było, choć nie rozumiał, jak to możliwe, że mówi o „nigdy tak” rzeczach.

10.

W Hoksu-Mitto nadszedł dzień wyborów. Nie były to jednak wybory rady plemiennej Kudłaczy, a elekcja delegatów do Zgromadzenia Konstytucyjnego, odbywająca się jednocześnie na całej planecie i rozpoczęta kilka godzin temu w Kellytown na kontynencie Epsilon.

Sam proces głosowania był bardzo prosty. Jack Holloway skorzystał z prawa do oddania głosu z zacisza własnego salonu, zaraz po śniadaniu, połączywszy się z posterunkiem policyjnym około stu mil na południe i przekazawszy swoje odciski palców. Nabił fajkę i zanim zdążył ją porządnie rozpaścić, robot z posterunku nr 15 wysłał dane do Red Hill. Stamtąd kolejny automat elekcyjny przetransmitował je do planetarnego biura wyborczego w budynkach sądu centralnego w Mallorysporcie na kontynencie Alfa, po czym chwilę później poinformował Jacka Hollowaya, rezydenta Hoksu-Mitto (dawniej Obozu Hollowaya), że jest mieszkańcem uprawnionym do udziału w elekcji. Maszyna cicho cmoknęła i wypluła z siebie fotodruk listy wyborczej. Holloway postawił iks obok nazwiska Sz.P. Horacego Stannery'ego – raczej anonimowego i niezbyt błyskotliwego prawnika z Red Hill, ale oddanego człowieka Kompanii i rządu – po czym zbliżył listę do ekranu transmisyjnego.

Cały proces był z niezwykłą skrupulatnością obsługiwany przez roboty, które nie ulegały wpływom korupcyjnym – a w każdym razie tak twierdziły wszystkie znane Hollowayowi podręczniki praw obywatelskich. Zaniósł oryginalną listę do wielkiego biura i schował ją do szuflady. Lepiej ją sobie zatrzymaj, pomyślał. Za pół wieku będzie eksponatem muzealnym. Popijając kolejną kawę, włączył ekran.

Z kontynentu Gamma spłynęły już wszystkie głosy, choć nie było ich wiele. Dziesięć mandatów na Zgromadzenie, z czego aż osiem dla znanych

twarży rządu i Kompanii. W jego własnym okręgu na Becie oddano łącznie siedemdziesiąt osiem głosów – sześćdziesiąt dwa przypadły Stannery’emu, a pozostałe szesnaście podzieliło się między dwóch kandydatów rezerwowych. Wyniki wyglądały podobnie na całej planecie. Na Alfie, która dysponowała prawem do stu dziesięciu mandatów z dostępnych stu pięćdziesięciu, głosowanie jeszcze się nie rozpoczęło. W tej chwili była tam czwarta czterdzieści pięć nad ranem.

Holloway przez cały ranek nie wyłączał ekranu transmisyjnego. Już w południe dziewięćdziesiąt procent kandydatów z list Rainsford-Grego było na znacznym prowadzeniu. Na Epsilonie zamykano głosowanie: wybrano osiemnastu z osiemnastu zwolenników Rainsforda. Podobne wyniki napływały popołudniu, dzięki czemu w porze koktajlu elekcja wydawała się sprawą przesądzoną. Naprawdę będą mieli za co dzisiaj wypić.

Kudłacze chyba nawet nie zauważyły, że dzieje się coś niezwykłego.

Gerd van Riebeek był zaniepokojony. Co prawda jeszcze nie obgryzał z nerwów paznokci, ale kilka drobnych spraw nie dawało mu spokoju. W ciągu ostatnich trzech tygodni patrole sił ochrony w promieniu pięciuset mil od Hoksu-Mitto nie zgłosiły ani jednej harpii. W tym samym czasie dwie zastrzelono w krainach Kudłaczy na południe od działu i kolejną w dolinie Yellowsand na północy. W pobliżu Hoksu-Mitto nie pojawiła się ani jedna. Wyglądało na to, że pseudopterodaktyl z Zaratustry stawał się gatunkiem równie wymarłym, co jego dawny odpowiednik z Terry.

Oczywiście, nigdy nie było ich zbyt wiele – w innym wypadku ten skuteczny zabójca dawno wytępiłby większość stworzeń. Powiedzmy, jedna harpia na sto, może na dwieście mil kwadratowych. W chwili, gdy na tych samych obszarach osiedlił się *Homo sapiens terra*, ich czas był policzony. Po pierwsze, ludzie lubili wyganiać swoje dzieci na dwór. Po drugie, nie podobało im się, gdy ktoś zjadał ich cielaki, nie pozwalając im rosnąć. Przed przylotem Terran harpie cieszyły się statusem królów przestworzy,

ale jakie miały szanse w spotkaniu z kutrem mach 3, uzbrojonym w kilka karabinów maszynowych?

Nie żeby Gerd lubił harpie bardziej niż ktokolwiek inny; nie żeby lubił je choć trochę! Jak wszyscy mieszkańcy Zaratustry, uważał, że są dwa rodzaje harpii: żywe i dobre. Mimo to, był przyrodnikiem. Ekologia stanowiła znaczną część jego dziedziny badawczej i zdawał sobie sprawę, że wymarcie jednego gatunku odbije się na innych, bo każda żywa istota odgrywa swoją rolę w globalnym, ekologicznym dramacie.

Harpie były zabójcami. No dobrze, w takim razie powstrzymywały gwałtowny rozwój innych gatunków, które teraz dojdą do głosu, rozprzestrzeniając się i uszczuplając podstawowe źródło pożywienia. Albo zaczną współzawodniczyć z innymi gatunkami, co, siłą rzeczy, stanie się motorem efektów ubocznych. Jak w tej starej historii, w której koty zabijały myszy polne, myszy niszczyły zaś gniazda trzmieli. Sęk w tym, że trzmiel zapylały koniczynę, kiedy więc wielbicieli ptaków zaczęli strzelać do kotów – tak jak obecnie wielbicieli Kudłaczy strzelali do harpii – koniczyna zaczęła wymierać. Czy to czasem nie Darwin pisał coś podobnego o początkach pierwszej stulecia Ery Przedatomowej?

Gerd van Riebeek przestał nadążać za zmianami, gdy z pozycji głównego przyrodnika awansował na stanowisko kudłaczologa. Cóż, przynajmniej centrum naukowe Kompanii starało się kontrolować sytuację. Po lunchu – no, powiedzmy że przed koktajlem, czyli w porze lunchu w Mallorysporcie – połączy się z Juanem Jimenezem i wypyta go o wszelkie nienaturalne symptomy.

Kudłacz o imieniu Kraft, samiec z wybranej pary, wiercił się na miniaturowym krześle do prawdometrii. Stojąca za nim kula lśniła wyraźnym, niebieskim światłem. Leslie Coombes w pewnym stopniu solidaryzował się z Kraftem – to zdecydowanie nie był pierwszy świadek, który czuł się na krześle niekomfortowo.

– Chcieć pomóc Wujko Ernst i Wujko Lezli? – zapytał błagalnie Ernst Mallin. – Może tak nie być, ale ty i tak powiedzcie. Nie powiedziec, a Wujko Ernst i Wujko Lezli mieć kłopoty. Inni Duzi być na nich bardzo, bardzo źli.

– Ale, Wujko Ernst – protestował Kraft – nie ja popsuć popieniszkę, to Wujko Lezli.

– Powiedzieć Ciosio Anne, że to ty rozbić popielniczkę – zwróciła się do niego kobieta w białym kitlu. – Ciosio Anne się nie gniewać.

– No dalej, Kraft. Powiedz pannie Nelson, że rozbiłeś popielniczkę – zachęcał go Coombes.

– No, Kraft? – dołączył do nich pomocnik Mallina. – Kto rozbić popielniczkę?

Niebieski blask kuli prawdometru ściemniał, a barwne smugi zawirowały, jakby ktoś wlał do środka butelkę atramentu. Pojawiły się niewyraźne, fioletowe przebłyski. Kraft przełknął ciężko ślinę, raz i drugi.

– Wujko Lezli rozbić popielniczkę – powiedział w końcu.

Kula rozjarzyła się czerwonym światłem.

– Niech to szlag!

Mallin dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to on krzyknął. Zamknął oczy i zadrzał. Panna Nelson wymamrotała jakieś słowa – miał nadzieję, że nie te, które usłyszał.

– Mój Boże, gdyby coś takiego stało się w sądzie... – zaczął. Czerwone światło powoli przygasało. – Proszę wysłać ten prawdometr do warsztatu. Albo najlepiej na psychoanalizę, bo wygląda na to, że zwyczajnie zwariował!

– Wujko Ernst – wymamrotał płaczkliwie Kudłacz. – Prosz, nie pytać więcej. Kraft nie wiedzieć, co mówić.

– Spokojnie, Kraft, już nie będę. Biedaczysko... – Mallin ściągnął Kudłacza z krzesła i przytulił go z czułością, o którą Coombes nigdy by go nie podejrzewał. – Ciosio Anne i Wujko Lezli nie być źli. Wszyscy

przyjaciele. – Przekazał Krafta dziewczynie. – Proszę go stąd zabrać, panno Nelson. Dać mu coś ładnego, porozmawiać z nim chwilę.

Coombes czekał, aż Kudłacz wyjdzie z pomieszczenia.

– No dobrze. Jakież teorie, co się tutaj stało?

– Nie jestem pewien. Sprawdzę ten egzemplarz na człowieku, ale wątpię, żeby chodziło o usterkę aparatu. Prawdometr tak naprawdę nie wykrywa fałszu. To tylko maszyna, która nie widzi różnicy między prawdą a kłamstwem. Domyślam się, że słyszał pan o eksperymencie przeprowadzonym na osobie paranoicznej?

– Owszem, mieliśmy to na zajęciach z psychologii w szkole prawniczej. Ów paranoik stwierdził, że jest Bogiem, a prawdometr potwierdził jego słowa. Ale dlaczego ten aparat wyemitował czerwone światło, jeśli Kraft mówił prawdę?

– Prawdometr wykrywa jedynie fakt stłumienia wypowiedzi i zastąpienia jej inną. Ten egzemplarz stanął przed nie lada problemem w postaci dwóch sprzecznych zdań i podmiotu, który oba uważał za prawdziwe. Naciskaliśmy, by przyznał się do zniszczenia popielniczki, z czego wysnuł wniosek, że naprawdę ją zniszczył. Ale sam widział, jak ty to robisz, więc ten fakt również był dla niego prawdą. W rezultacie Kraft musiał stłumić jedno z tych relatywnie prawdziwych twierdzeń.

– Cóż, gdyby spróbował jeszcze raz...

– Co to, to nie, panie Coombes! – Nawet Frederic Pendarvis nie brzmiał równie kategorycznie, gdy orzekał w kwestiach prawnych. – Za żadne skarby nie skazę tego Kudłacza na kolejne męki. Ani jego, ani Ebbing. Zaczynają wykazywać symptomy psychoneurotyczne, a nigdy dotąd nie widziałem takich reakcji u Kudłaczy. Poszukamy innych kandydatów. Co pan powie na pańskich pozwanych, panie Coombes?

– Świadek testowy nie powinien być jednocześnie osobą, która składa zeznania. Poza tym nie chcę uczyć ich oszukiwania, a później wymagać tego od nich w sądzie. A może jakieś Kudłacze Hollowaya?

– Rozmawiałem z panem Hollowayem. Mimo że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, jest wrogo nastawiony do pomysłu wykorzystania w eksperymentach Kudłaczy z jego własnej rodziny, czy też majora Lunta lub Gerda i Ruth van Riebeeków. Korzysta z pomocy tych Kudłaczy w szkole i uważa, że zdolność kłamania nie wyglądałaby dobrze w ich CV.

– Istotnie. Rozumiem go. – Jack nie był typem, który poświęcał zwycięstwo w wojnie, żeby wygrać pojedynczą bitwę. – Czyżbyśmy nie mieli żadnych innych Kudłaczy?

– Wypożyczyłem kilka pani Hawkwood, ale one też pomagają przy nauczaniu, wpajanie im krętactwa nie wydaje się dobrym pomysłem. A te, które pracują w szpitalu, sprawdzają się tak dobrze przy pacjentach chorych psychicznie, bo są całkowicie pogodzone z rzeczywistością. Sam już nie wiem, panie Coombes.

– Proszę pamiętać, że do rozpoczęcia procesu zostały nam tylko trzy tygodnie.

11.

Ten Mądry nie był szczęśliwy. Tkwili w tym miejscu już cztery pory słońca i ciemności, a inni wciąż nie chcieli ruszać w drogę. Tak, to miejsce było dobre i pewnie sam wolałby zostać, gdyby nie fakt, że bardziej zależało mu na znalezieniu miejsca Dużych.

Trafili tutaj dość późno deszczowego dnia, gdy słońce zmierzało ku swojej norce. Szli przy ścianie wielkiej góry, wzdłuż małej wody, która wpływała do niewielkiej, ale z początku dość szerokiej doliny, zwężającej się w miejscu, gdzie ściany po obu stronach pięły się w górę. Znaleźli tam wspaniałe „miejsce do spania” – pod przewróconym drzewem, które oparło się o występ skalny tworzący ciasną niszę. Pod występem i pnem było sucho, mimo że tego dnia deszcz zacinał mocno aż do pory najwyższego słońca. Zebrali wiele paproci na duże łóżko dla wszystkich, a potem zrobili miejsce, gdzie mogli schować lśniące rzeczy, żeby nie nosić ich ze sobą na polowanie. Po pierwszej nocy, kiedy łóżko było już gotowe, bawili się na brzegu małej płynącej wody aż do zmierzchu. W okolicy rosło mnóstwo rzeczy „dobrych do jedzenia”, a między drzewami w dole i po bokach doliny wytropili hatta-zosa. Jakby tego było mało, znaleźli mnóstwo zatku – więcej, niż ktokolwiek pamiętał. W poprzedniej porze słońca upolowali i zjedli tyle, co palców u jednej ręki – prawie po całym zatku dla każdego!

Po przekroczeniu wody, która płynęła po prawej ręce słońca, parę razy widzieli latające rzeczy – zawsze jednak daleko, tam, gdzie słońce wstawało po porze ciemności. Wydawało się, że mknęły wzdłuż wielkiej-wielkiej rzeki, która ciągnęła się od lewej ręki słońca do prawej. Duża Ona i inni bali się i chowali, chociaż było to niemądre, bo latające rzeczy leciały zbyt daleko, by ktokolwiek mógł ich zobaczyć. Poza tym Duzi byli Ludźmi, a Ludzie nie jedli Ludzi. Co za niemądry pomysł! Tylko gotza jadły swoich,

a Duzi musieli nienawidzić gotza, bo zabijali wszystkie, które znaleźli. Mimo to Duża Ona, a także Głazotłuk i Szukacz Owoców, którzy jej słuchali, bali się i robili głupie mówienie, żeby przestraszyć innych.

Za to Dziabak wcale się nie bał. Mówił, jak to dobrze byłoby znaleźć Dużych i zrobić z nimi przyjaciół, ale inni krzyczeli i zaraz wybuchła kłótnia. Po tym wydarzeniu Dziabak nic już nie mówił, chyba że znalazł się sam na sam z Tym Mądrym.

Właśnie teraz szli brzegiem płynącej wody, zmierzając w stronę szerszej strony doliny. Szukali zatku, ale trzymali się z dala od miejsc, gdzie jadły hatta-zosa, żeby ich nie spłoszyć. Inni zostali w „miejscu do spania”, gdzie się bawili i odpoczywali. Polowali cały ranek i zabili wiele hatta-zosa, więc nikt nie czuł się głodny. Głazotłuk robił nowy nóż, lepszy od poprzedniego, a pozostali układali z kamyków mówienie, ile hatta-zosa zabili, a ile zatku. Będą tak robić do pory chowania się słońca, gdy znów zapolują. Teraz każdy dzień wyglądał tak samo.

Wspaniale było mieć miejsce, gdzie mogli wypoczywać i robić zabawę tak długo, jak tylko chcieli – i nigdzie nie musieli odchodzić! Dziabak też o tym wspomniał.

– Znaleźć takie miejsce Dużych – odpowiedział Ten Mądry. – Duzi mieć lepsze miejsca. Odejść daleko w „rzeczy do latania”, żeby polować, ale zawsze wracać w to samo miejsce.

– Myśleć, że Duzi mieszkać po drugiej stronie góry?

Ten Mądry kiwnął głową.

– Może po drugiej stronie góry, a może wielu gór. Duzi mieszkać po lewej ręce słońca, to rzecz „tak musi”.

Tego jednego był pewien. Często zastanawiał się, skąd to wie. Wskazał w stronę prawej ręki słońca, na łańcuch górski po drugiej stronie płynącej wody, którą przekroczyli jedną dłoń pór słońca temu. Usiadł na ziemi, chwycił patyk i narysował prostą linię.

– Ludzie przekroczyć płynącą wodę w kamieniste miejsce, czy ty pamiętać?

Dziabak, kucnąwszy obok, powiedział, że tak.

– Iść tutaj, do wielkiej-wielkiej płynącej wody, której nikt nie przejść. Wielka-wielka woda płynąć z lewej ręki słońca, tak? Gdzieś miejsce, daleko-daleko dalej, gdzie płynąca woda mała, jak tam, gdzie wychodzi z ziemi.

Dziabak przytaknął. Wszystkie płynące wody wychodziły gdzieś z ziemi, to była rzecz „tak musi”. Dużą płynącą wodę robiły zaś małe wody, które się łączyły. Ten Mądry narysował kolejną linię, żeby pokazać wielką-wielką płynącą wodę.

– Musi wypływać daleko-daleko, bo płynąca woda wielka. Musi wpływać do niej wiele małych wód – rozważał Dziabak.

– Tak. To jest „nikt nie znać” miejsce. Nikt o nim nigdy nie mówić. Duzi przychodzić z miejsce, o którym Ludzie nie mówić. Daleko-daleko, a „latające rzeczy” latać z lewej ręki słońca. My wiedzieć, bo my zobaczyć.

– Duzi na pewno bardzo mądrzy – stwierdził Dziabak. – Latać w „latające rzeczy” i robić „zabij grzmoty”. Myśleć, że „latające rzeczy” „zrobione rzeczy”. Duzi robić, jak my robić kije i noże. Myśleć, że Duzi robić też „lśniące rzeczy”.

Ten Mądry zgodził się z Dziabakiem, bo sądził podobnie.

– Dla dużych my jak dzieci Ludzi – powiedział. – Wcale nie mądrzy. Ludzie pomagać dzieci, uczyć je. Duzi pomagać nam, jak my pomagać dzieciom. Duzi nie pozwolić, żeby złapać nas gotza albo hesh-nazza. Duzi zabić gotza i hesh-nazza „zabij grzmotem”.

Spojrzał ponad doliną w dal i zobaczył jar w górach, tam, gdzie musieli uciekać przed hesh-nazza. Duzi by nie uciekli; zabiliby hesh-nazza, pocięli na kawałki i zjedli.

– Ale inni – Duża Ona, Druga Ona, Głazotłuk i Szukacz Owoców – bać się Dużych – przypomniał mu Dziabak. – Nie chcieć opuścić to miejsce.

W takim razie on i Dziabak pójdą dalej sami. Tylko że Ten Mądry wcale nie chciał ich zostawiać, chciał, by poszli razem. Spojrzał na góry po prawej ręce słońca.

– Może hesh-nazza przekroczyć płynącą wodę? – powiedział z nadzieją.
– Wtedy inni bać się zostać i odejść.

– Hesh-nazza nie przekroczyć. Woda głęboka, wartka. Hesh-nazza nie przejść dookoła, jak Ludzie – utrzymywał Dziabak.

Niestety, to była prawda. Ten Mądry bardzo żałował, że hesh-nazza nie może przekroczyć rzeki, bo wtedy wszyscy rzuciliby się do ucieczki, a najszybciej Duża Ona. Gdyby zobaczył hesh-nazza pierwszy i pobiegł ich ostrzec... Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Wrócić teraz do „miejsca do spania” – zaczął. – Powiedzieć innym, że iść hesh-nazza. Powiedzieć, że my wiedzieć. Wtedy wszyscy chcieć odejść.

– Jak to... – Dziabak spojrzał na niego w zdumieniu, nic nie rozumiejąc.
– Hesh-nazza tu nie być. Jak my powiedzieć, że wiedzieć hesh-nazza?

Tak jak Ten Mądry opowiedział innym o dawno-dawno Ludziach, którzy znali wspaniałą krainę po lewej ręce słońca. To będzie rzecz „nigdy tak”, ale robi mówienie, jakby była.

– Ty chcieć iść do miejsca Dużych? – zapytał. – Czy chcieć, żeby jedni poszli w jedną stronę, a drudzy w drugą? My musieć zrobić innych przestraszonych. Oni nie wiedzieć, że my nie zobaczyć hesh-nazza. Myśleć, że Duża Ona sprawdzić? Nie robić głupie mówienie!

– Hesh-nazza tu nie być, a my i tak powiedzieć innym, że być? – Dziabak głowił się nad tym chwilę, aż w końcu dotarło do niego, co planuje Ten Mądry. Kiwnął głową. – Oni nie wiedzieć. My im mówić, to oni myśleć, że tutaj hesh-nazza.

– Robić szybkie bieganie – nakazał mu Ten Mądry. – My przestraszeni hesh-nazza.

Wpadli pomiędzy innych, krzycząc głośno: „Hesh-nazza, hesh-nazza tu iść!”. Wszyscy, którzy znajdowali się między „miejscem do spania”

a małą płynącą wodą, zerwali się na równe nogi. Nosi Lśniące Rzeczy pognała po trzy patyki z lśniącymi rzeczami, a Głazotłuk chwycił „kamień do rąbania” i nóż, nad którym pracował. Nikt nie marnował czasu na kłótnie. Czmychnęli w popłochu, zostawiając za plecami „miejsce do spania” i płynącą wodę. Wydostawszy się z doliny, biegli ile sił w nogach w górę wzniesienia.

– Szybko! – poganiał ich Ten Mądry. – Nie zatrzymywać się, bo hesh-nazza tu przyjść!

Hesh-nazza tak robiły. Jeśli nie mogły złapać swej ofiary, leżąc nieruchomo i czekając, próbowały ją okrążyć. To była rzecz „tak musi”. Ci, którzy zostawali z tyłu, znów przyspieszyli.

Zwolnili dopiero w miejscu, gdzie drzewa rosły gęściej. W końcu, blisko szczytu, zatrzymali się i zamarli, żeby nasłuchiwać. Słyszeli tylko ptaki i drobne zwierzęta buszujące w krzakach. Wszyscy odetchnęli – hesh-nazza nie było blisko. Ten Mądry poczuł ulgę i dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie ma żadnego hesh-nazza, a on tylko zrobił takie mówienie.

Dotarli na krawędź wzniesienia, gdzie przeciwne zbocze opadało bardziej stromo niż to, po którym tu przyszli. W dole nie było więcej gór; rozpościerała się przed nimi kraina niskich pagórków, między którymi płynęło wiele małych wód i rosło wiele lasów, wspaniałych do polowania. Bardzo daleko – tak daleko, że była prawie tak błękitna jak niebo i ledwie widoczna – majaczyła ogromna góra, sięgająca w obie strony aż poza zasięg wzroku. To właśnie z tej góry, Ten Mądry był o tym przekonany, wypływała wielka-wielka woda, która ciągnęła się w stronę prawej ręki słońca.

Inni krzyczeli z radości na widok cudów w dole – nawet Duża Ona, choć jeszcze przed chwilą narzekała, że musieli porzucić wspaniałe miejsce. Wtedy ujrzeli niewielki, jasny punkt na niebie, tak mały, że gdy Ten Mądry na chwilę odwrócił wzrok, miał kłopot, by znów go odnaleźć. Aż nagle, dokładnie na wprost, spostrzegł kolejny. Z początku myślał, że to ten sam

i nie mógł uwierzyć, że porusza się tak szybko, ale wtedy zobaczył drugi i widział dwa na raz. Dwie „latające rzeczy”! Nigdy wcześniej nie widział więcej niż jednej na raz.

Teraz był pewien, że od początku miał rację. Miejsce Dużych znajdowało się po lewej ręce słońca, może już za tymi ogromnymi górami w oddali.

12.

Późnym popołudniem trzy dni po wyborach Gus Brannhard wylądował swoim kutrem w Hoksu-Mitto. Minęło sporo czasu, odkąd Jack widział go w stroju innym niż cywilny – kiedy to ostatnio było? Jeszcze przed Decyzją Pendarvisa? W każdym razie dzisiaj miał przed sobą starego Brannharda – w miękkim kapeluszu z filcu, poplamionej, wyblakłej kurtce safari z pasami nabojuowymi na piersi i nożem do polowania, szortach i butach za kostkę. Brannhard wysiadł z kutra, rozejrzył się i uściskał Jackowi dłoń. Wyciągnąwszy z pojazdu brezentowy worek na sprzęt i dwa futerały na broń, jeszcze raz potoczył dookoła wzrokiem.

– Mój Boże, Jack, aleś się tu pobudował – rzucił. – Z ziemi wygląda jeszcze gorzej niż z powietrza. Mam nadzieję, że nie wypłoszyłeś zwierzyny z całego kontynentu?

– Co najwyżej z promienia dziesięciu, piętnastu mil. George Lunt każdego dnia wysyła w teren naszych chłopaków, żeby zabili parę sztuk dla mięsa. – Holloway podniósł worek, który Brannhard położył na ziemi. – Zakwaterujemy cię, a potem się rozejrzysz.

– Jakieś piekielniaki?

– Kilka. Kudłacze, które napływają od strony północnych posterunków, wspominają o hesh-nazza, ale nie musimy strzelać do nich przy obozowisku, tak jak jeszcze w czerwcu. A harpii nie widzieliśmy ostatnio prawie wcale.

– No no, dobra robota, Jack! – Gus też nie przepadał za harpiami. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, nikt ich nie lubił. – Zostanę tutaj parę dni. Może jutro zapoluję na skoczkę pręgowaną albo świnię rzeczną, tak dla odprężenia. Potem poszukam piekielniaków.

W salonie Jack wyciągnął butelkę.

– Co prawda do koktajlu została jeszcze godzina – zaczął przepraszająco – ale chętnie napiję się na rozgrzewkę. To co, za udane wybory? – Nalał im obu, po czym uniósł swojego drinka. – Zdrówko.

– Miejmy nadzieję, że naprawdę wyjdzie nam to na zdrowie... – Gus wychylił jedną trzecią zawartości szklanki. – Udało się nam wprowadzić stu dwudziestu ośmiu delegatów ze stu pięćdziesięciu. Na papierze wygląda to rewelacyjnie. – Wypił połowę tego, co zostało mu z drinka. – Polegać możemy na jakichś czterdziestu – na ludziach z firmy i niezależnych biznesmenach, którzy mają świadomość, skąd płynie ich wynagrodzenie. Kolejna trzydziestka to „uczciwi” politycy – wystarczy kupić ich tylko raz, żeby znali swoje miejsce. Niesamowite – dodał przy okazji – jak sprawnie udało się nam wyhodować całe stadko polityków, mimo że jeszcze wczoraj na Zaratustrze nie było żadnej polityki. A jeśli chodzi o resztę – no cóż, przynajmniej nie są socjalistami, związkowymi radykałami ani zacierzewionymi wrogami Kompanii. Tylko się cieszyć, że nie wystąpił przeciwko nam nikt, kto dysponowałby wystarczającym kapitałem, żeby przekabacić ich na swoją stronę.

– Kiedy odbędzie się zgromadzenie?

– Za dwa tygodnie, licząc od poniedziałku, w Hotelu Mallory. Kompania pokryje koszty. Zaczynamy od bankietu w niedzielne popołudnie. Już sobie wyobrażam, jak to będzie wyglądało – o poranku zbiorowy kac – parsknął lekceważąco Gus, który prawdopodobnie nigdy w życiu nie nabawił się tej przykrej dolegliwości – a wieczorem w każdym pokoju znów będą urządzać przyjęcia. Wyciśniemy z nich co najwyżej parę godzin pracy popołudniami. Chociaż może dobrze się składa. – Zajrzał do pustej szklanki i przeniósł wzrok na butelkę, a Jack pchnął ją po blacie w jego stronę. – Weź sto pięćdziesiąt osób pokroju Horacego Stannery’ego stąd, Abe’a Lowthera z Chesterville czy Barta Hogana z okręgu Big Bend – tak na marginesie, rok temu został oskarżony o kradzież bydła – a każdy będzie chciał pochwalić się przed wyborcami, jakim to wspaniałym jest mężem

stanu, proponując idiotyczne nowelizacje, których nie wymyśliłby żaden inny dureń. Napisaliśmy z Leslie Coombesem całkiem niezłą konstytucję, ale boję się myśleć, jak będzie wyglądała, kiedy już ją wprowadzimy.

Dokończył drugiego drinka, zanim jednak zdążył zacząć trzeciego, Jack zasugerował:

– Chodź, przejdziemy się, póki nie mamy na karku całej zgrai.

Ruszyli spacerowym krokiem w stronę wybiegu. Między budynkami bawiło się sporo Kudłaczy, bo o tej porze traciły zainteresowanie lekcjami i czmychały ze szkoły. Kolejne szły przez most, by popatrzeć na fascynujące rzeczy, które Duży robili wokół terenu maszynowego.

Do Hollowaya i Brannharda podeszły dwa osobniki, oba płci męskiej.

– Hejo, Papiro Jacku! – rzucił jeden na powitanie, a drugi zapytał zdziwiony: – Papiro Jack, dlaczego ten Duży nosić futro na buzi?

Gus zaśmiał się i przykucnął, żeby się z nimi zrównać.

– Hejka, Kudłacze. Jak macie na imię?

Wpatrywały się w niego pustym wzrokiem, więc Brannhard obejrzał srebrne dyski identyfikacyjne na ich gardłach. Nie było na nich nic prócz numerów rejestracyjnych.

– O co chodzi, Jack? Nie nadajecie im imion?

– Tylko tym, które chcą z nami zostać. Zwykle robią to ludzie, którzy je adoptują.

– No dobrze, a co z ich własnymi imionami? No wiesz, kudłaczowymi?

– Mają, ale zwykle niezbyt pomocne. Ten Duży, Ta Mała, Ten Inny i tym podobne. W lasach większość woła do siebie po prostu „ty”.

Gus podrapał jednego z Kudłaczy po karku, bo wszystkie przepadały za tym rodzajem pieszczot. Jakiś inny próbował dobrać się do jego noża, zabezpieczonego w pochwie.

– Hej, przestań. Nie dotykaj, ostre. Rozumiesz, co ostre?

– No pewnie. Nóż dla mnie też ostre. – Wyszarpnął swój nóż z pochwy w naramiennej torbie i zaprezentował go Dużym – trzycalową klingę,

będącą odpowiednikiem dziewięciocalowej dla ludzi. Najwyraźniej ten Kudłacz mieszkał tu wystarczająco długo, by nauczyć się ją ostrzyć. Drugi Kudłacz też wyciągnął swój nóż, a Brannhard pozwolił im się pobawić swoim. Rękojeść była wykonana z rogu zaranifera, co maluchy od razu zauważyły.

– Takku – stwierdził głośno jeden z nich. – Zabić „huk rzeczą”?

– Duzi nazywać takku zaraniferami. A „huk rzeczy” – karabinami.

Kudłacze dołączyły do nich i opowiadały o wszystkim, co widziały. Gus podniósł je i posadził sobie na ramionach, po jednym z każdej strony. Wszystkie Kudłacze uwielbiały jeździć na Dużych. Wciąż im towarzyszyły, gdy dotarli do domku rekreacyjnego, gdzie George Lunt i Pancho Ybarra mieszali drinki, a Ruth van Riebeek i Lynne Andrews przygotowywały przekąski. Zwykle Kudłacze nie przesiadywały z ludźmi w porze koktajlu, bo był to czas, gdy Duzi rozmawiali o sprawach Dużych. Jednakże te dwa za żadne skarby nie chciały odkleić się od Gusa i przycupnęły razem z nim na trawie, by popijać przez słomki sok z hokfuzyny.

– Przepadłeś, Gus – rzucił wesoło George Lunt. – Od teraz będziesz Papcio Gusem.

– To znaczy, że one zamierzają ze mną zostać? – zapytał Brannhard, lekko zaniepokojony. Lubił Kudłacze, ale w sposób, w jaki niektórzy nauczyciele lubią dzieci – dopóty, dopóki nie były to jego dzieci. – Tak... na zawsze?

– Zgadza się – odparł Lunt. – Kudłaczek rozpowiada wszem wobec, że wszystkie Kudłacze będą teraz miały Dużego na własność. Najwyraźniej ta dwójka wybrała ciebie.

– Będziesz nasz Duży? – spytał bez ogródek jeden z maluchów. Oba straciły zainteresowanie sokiem i próbowały wspiąć się Brannhardowi z powrotem na plecy. – Lubić cię.

– W zasadzie to może być całkiem niezły pomysł – zastanawiał się głośno. – Niedługo będę mieć własny dom za miastem, dziesięć, piętnaście

minut kutrem. – Biorąc pod uwagę, jakim modelem latał – i z jaką prędkością – chodziło o odległość jakichś czterystu, pięciuset mil. – Lubię miejsca, gdzie po zmroku naprawdę robi się ciemno i gdzie hałasy słyszeć tylko wtedy, kiedy samemu się krzyczy.

– Coś o tym wiem. – Holloway rozejrzył się po Hoksu-Mitto, przypominając sobie, jak wyglądał dawny Obóz Hollowaya. – Jakiś czas temu właśnie tak tu było.

Następnego ranka Gus leżał jeszcze w łóżku, gdy Holloway zmierzał do biura. W ciągu kilku godzin uporał się z papierkami, dzięki czemu mógł zajrzeć do szkoły i kliniki Lynne Andrews, złożonej z punktu pomocy medycznej i szpitala. Lynne z taką dumą pochwaliła się najnowszym, zdrowym miotem Kudłaczy, jakby sama wydała na świat potomstwo. Zakładali, że to będzie jedna z pierwszych fal Kudłaczy, które trafią do Piedmontu i skorzystają z istnego wysypu krewetek. Cięża trwała u nich nieco ponad sześć miesięcy, co oznaczało, że najwcześniej w marcu bądź kwietniu zaczną się rodzić dzieci korzystające z dobrodziejstw hokfuzyny. Może do tego czasu sen z powiek będzie im spędzać boom demograficzny? Ale o tym Holloway postanowił pomyśleć jutro, miał teraz wystarczająco dużo spraw na głowie.

Znalazł Brannharda w miejscu, które uchodziło za ogródek domku rekreacyjnego.

– Wydawało mi się, że miałeś dziś rano polować?

Gus podniósł wzrok, uśmiechając się z zażenowaniem tak potulnie, jak tylko pozwalały mu na to łwie rysy twarzy.

– Też tak myślałem, ale potem zacząłem się bawić z tymi maluchami. Może polecę po południu, chociaż, szczerze mówiąc, czuję się trochę rozleniwiony.

Holloway czuł się głównie zmęczony. Wypruwał sobie żyły i, odkąd na wokandę trafiła sprawa Ludzie kontra Kellog i Holloway, nie przespał dobrze dwóch nocy z rzędu.

– Czemu nie zabierzesz Kudłaczy na polowanie? Myślę, że bardzo by im się podobało.

Gus nie wpadł na ten pomysł.

– A jeśli stanie się im jakaś krzywda? Albo się zgubią. Planowałem odlecieć na jakieś pięćset, sześćset mil.

– Spokojnie, nie zgubią się. Gdy już posadzisz kuter, zostaw generator na biegu neutralnym. Kudłacze słyszą wibracje z odległości pięciu, sześciu mil. Jeśli to ty się zgubisz, doprowadzą cię na miejsce. Chłopcy Lunta zawsze tak robią, kiedy wylatują z Kudłaczami.

– No dobrze, załóżmy, że coś zastrzelę. Nie przestraszą się?

– Skądże, kochają strzelanie, zawsze płaczą się pod nogami na strzelnicy sił ochrony. Myślę, że we trójkę będziecie się doskonale bawić.

– Słyszycie, dzieciaki? Chcielibyście polecieć z Wujko Gusem, żeby polować na takku i na te, jak to się... jak Kudłacze mówią na skoczkę pręgowaną?

– Kigga-hikso.

– Skocz-kowana? Wujko Gus będzie strzelać do skocz-kowana?

Gus wrócił dopiero w porze koktajlowej, gdy przed domkiem rekreacyjnym zebrał się tłum spragniony drinków. Najpierw posadził kuter na tyłach kuchni polowej, ale po namyśle przestawił go pod sam domek. Kudłacze wyskoczyły z pojazdu, pokrzykując:

– Zabić skocz-kowana! Wujko Gus zabić skocz-kowana i dwa zaranifery!

Gus wysiadał trochę wolniej. Ściągnął karabin z ramienia, wyjął magazynek, opróżnił komorę i podniósł nabój, który z niej wyskoczył. Śmiał się donośnie, opierając karabin o ławkę przy drzwiach kuchni.

– Niech ktoś zrobi mi drinka. Nie, nie to paskudztwo, nie macie tutaj czystej whiskey? Dzięki, George. – Nalał sobie whiskey z butelki, którą podał mu Lunt, po czym wypił wszystko jednym haustem i uzupełnił szklankę. – Mój Boże, żałujcie, że nie widzieliście tych maluchów! Wylądowaliśmy przy niewielkim strumieniu parę mil od miejsca, gdzie

wpada do Snake River. Najpierw tamten zaczął się wydzierać: „Zatku, zatku!”, po czym wyciągnął ten swój tasak. Drugi biegał w kółko i po jakiejś minucie dopadł pierwszą sztukę. I tak oto polowaliśmy na zatku, cholerne krewetki ziemne. Do diabła, gdy tylko człowiek nauczy się miejscowych nazw, miejscowi zaczynają gadać w *lingua Terra*. Gdy tylko zabiły kilka zatku, przybiegły do mnie. „Papcio Gus, polować na skocz-kowana!”. Więc polowaliśmy na skoczki.

– Nie polują jak psy, po zapachu, ale są najmniejszymi tropicielami, jakich kiedykolwiek widziałem. Słuchajcie, byliście na Loki i polowaliście tam – ja też. Pewnie wiecie, jak sprawni są Dwanga z buszu. Krótko mówiąc, w porównaniu z Kudłaczami najlepsi tropiciele Dwanga wychodzą na bandę ślepych durniów! Gdy tylko Kudłacze podjęły świeży trop, rozdzieliły się. Jeden poszedł w jedną stronę, drugi w drugą. Po jakiejś minucie pędziła na mnie potężna skoczka wielkości cholernego konia. Pierwszy strzał dostała w obojczyk, a drugi w szyję – to wystarczyło, żeby ją załatwić. Wypatroszyłem ją, a ponieważ wiedziałem, że Kudłacze lubią surową wątrobę, pokroiłem ją na kawałki. Chciały, żebym też zjadł i musiałem im tłumaczyć, że Duzi nie lubią surowego mięsa. Teraz myślą, że wszyscy Duzi to wariaci! Zjadły też nerki. Później polowaliśmy na zaranifery – ustrzeliliśmy dwie sztuki, te nazwane po tobie, Gerd, mniejsze i szare.

– Ich nerki i wątroby też zjadły? – dociekała Lynne Andrews. – Lepiej przyprowadź je jutro do punktu medycznego.

– W każdym razie jedno jest pewne jak amen w pacierzu: adoptuję dwa Kudłacze. To najlepsi towarzysze polowań, jakich kiedykolwiek miałem! Wygrywają z psami w przedbiegach, bo są lepszymi myśliwymi i towarzyszami. Do psa można co prawda gadać, ale nie odpowie, a Kudłacze odpowiadają chętnie. Wujko Gusa i Kudłacze czeka sporo zabawy. Papcio Gusa – poprawił się szybko. – Papcio to przydomek dla

ludzi występujących w roli rodziców Kudłaczy, a Wujko to określenie dla przyjaciół.

– Jak chcesz je nazwać?

– Czy ja wiem... – Brannhard zamyślił się na chwilę. – George nadał swojej gromadce imiona po słynnych kryminalistach, a Fitz Mortlake zdecydował się na detektywów i szpiegów. W takim razie ja powinienem je nazwać po myśliwych. Najlepsze będą fikcyjne postaci: Allan Quartermain i Natty Bumppo. Słyszycie, maluchy? Teraz macie imiona, ty jesteś Allan Quartermain, a ty Natty Bumppo. Obym tylko nie zapomniał, który jest który.

Następnego dnia Jack Holloway wysłał do pani Pendarvis z biura adopcyjnego teledruk zawierający numery rejestracyjne Kudłaczy, odciski palców i nowe imiona, dzięki czemu Gus Brannhard oficjalnie stał się Papcio Gusem. Papcio Gus z pewnymi obawami zabierał Allana Quartermaina i Natty Bumppo na drugie polowanie, ponieważ tym razem chciał tropić piekielniaki. Zarzucił na ramię wielkokalibrowy sztucer o dwóch lufach, a o pomoc poprosił jednego z chłopaków George'a Lunta, który preferował podobne uzbrojenie. Nawet dla człowieka – choćby i z dwoma Kudłaczami – piekielniak był nie lada wyzwaniem. Kudłacze dawały doskonałe rady, gdzie ich szukać, chociaż sądziły, że Papcio Gus i drugi Duży popełniają niemądry błąd, wysiadając z pojazdu i polując na ziemi.

– Wiedziałem, że trudno będzie im zrozumieć – wyznał Brannhard już po powrocie. – Sens sportowego wyzwania często umyka rasom pierwotnym, ale użyłem określenia większa zabawa, to do nich lepiej przemawiało. Nauczyłem je też strzelać, bardzo im się podobało.

– Ale chyba nie z 12.7 Express?

– Nie, z pistoletu. – Gus posługiwał się pistoletem myśliwskim Mars-Consolidated 8,5 mm, bronią z ośmiocalową lufą i zdejmowaną kolbą ramienną. – Oczywiście był dla nich zbyt nieporęczny, ale odrzut w ogóle

im nie przeszkadzał, co mnie, prawdę powiedziawszy, zaskoczyło. Myślałem, że będzie nimi nieźle rzucać. Nic z tych rzeczy, miały sporo frajdy.

Holloway też był zaskoczony. Dotąd uważał, że nawet kaliber .22 będzie dla Kudłaczy zbyt trudny w obsłudze.

– Spróbuję namówić Marta Burgessa, żeby zrobił dla nich parę miniaturowych karabinów – ciągnął Gus. – Kaliber osiem i pół, waga około czterech funtów. Jednostrzałowe, przynajmniej na początek. Automat sprawiłby im sporo trudności, za dużo rzeczy do zapamiętania.

Jeśli na planecie istniał ktokolwiek, kto potrafiłby skonstruować karabin o gabarytach odpowiednich dla Kudłacza, to właśnie Mart Burgess – człowiek, który był równie sprawny w rusznikarstwie, co Henry Stenson w konstruowaniu urządzeń lingwistycznych. Tak sprawnych rzemieślników można było znaleźć tylko na planetach o niskim zaludnieniu, gdzie brak dużego rynku zbytu podważał sens masowej produkcji. Mimo to Hollowayowi nie podobał się pomysł Gusa.

– Usłyszą o tym pozostałe Kudłacze i każdy będzie chciał własny karabin. A wiesz, co się dzieje, kiedy w ręce prymitywnych ludzi trafia broń palna? Pokaż Kudłaczom łuki, to nauczą się robić je samodzielnie, dokładnie tak jak tutaj. Daj ludziom z epoki kamiennej stalowe włócznie, noże i siekiery, a wystarczą im na długie lata, aż do chwili, gdy poznają tajniki kowalstwa i będą je wytwarzać z każdego kawałka śmiecia. Ale do broni palnej potrzeba amunicji, której nie wyprodukują sami. To droga bez powrotu, rozumiesz? Za chwilę zapomną, jak posługiwać się własną bronią i całkowicie uzależnią się od ludzi.

Gus powtórzył słowa, które Holloway usłyszał kilka tygodni wcześniej z ust Ybarry:

– Przecież już są uzależnieni, od hokfuzyny, mimo że tego nie wiedzą. Sami nie pozyskają jej w takich ilościach od krewetek ziemnych. Zresztą, skoro rozmawiamy o uzależnieniu, spójrz na siebie – potrafisz wytwarzać

własną amunicję? Przestałeś nawet przeładowywać, bo za dużo z tym zachodu. Wskaż mi kilka przedmiotów, które wytwarzasz samodzielnie.

– To co innego – ja handluję, żeby zdobyć niezbędne rzeczy. Kiedyś płaciłem kamieniami słonecznymi, dziś oferuję swoje usługi, zarządzając tym domem wariatów. Ty w przeszłości broniłeś kryminalistów, a dziś sam ich skazujesz. Obaj jednak handlujemy, a Kudłacze nie mają niczego do zaoferowania. Wszystko, co od nas dostają, to zapomoga.

– Niech mnie szlag, jeśli nie mają nic do zaoferowania. Naprawdę uważasz, że Kudłaczek, Mama, Dzidzius i reszta rodziny nic ci nie dają? Skoro tak, to czemu się ich nie pozbędziesz? Myślisz, że Grego nie ma żadnego pożytku z Diamenta? Przecież ten facet zastrzeliłby każdego, kto próbowałby odebrać mu jego Kudłacza. A Allan i Natty, których mam dopiero od wczoraj? Jeśli już koniecznie chcesz szukać uzależnień, spójrz na siebie. To my jesteśmy uzależnieni, od Kudłaczy, a one samą swoją obecnością zapracowują na wszystko, co od nas dostają. Pozwól im być sobą, a o resztę się nie martw. Wszystko będzie z nimi w porządku, o ile my będziemy w porządku w stosunku do nich.

13.

Dwa dni później Gus Brannhard wyruszył do Mallorysportu, zabierając ze sobą Allana Quartermaina i Natty'ego Bumpo. Cała trójka była szczęśliwa, ale nie tylko oni – także pozostałe Kudłacze, które ze swej natury nie znały zawiści, podobnie jak kłamstwa. Zebrał się całkiem spory tłumek, by pożegnać przyjaciół. Jack patrzył później, jak Kudłacze dzielą się na grupki i wracają do zabaw czy lekcji, rozprawiając, jak to miło, że Allan i Natty znaleźli Dużego i że oni też wkrótce znajdą swoich. Ruszył przez wybieg do swojego biura.

Z kanionu Yellowsand nadeszły nowe dane topograficzne i szczegółowe mapy terenu na północ od działu wodnego. Wszyscy wiedzieli, jak z grubsza wygląda tamta okolica – głównie dzięki obserwacjom teleskopowym prowadzonym z bazy floty kosmicznej na Kserksesie. Teraz jednak udało się pozyskać obrazy z niskiego przelotu, głównie rzeki Yellowsand i rzeki Lake-Chain, która wpadała do tej pierwszej od zachodu. Oczywiście te dane nie wystarczyły, by oszacować, czy i w jakich ilościach żyły tam Kudłacze; Holloway sądził, że niewiele i że trudno będzie się z nimi skontaktować.

Chwyciwszy kapelusz, wyszedł z biura i znów przeszedł przez wybieg. W szkole było stosunkowo cicho. Syndrom, Calamity Jane i kilka nowych Kudłaczy uczyło niewielką grupę „robić mówienie z tyłu gardła”, żeby porozumiewać się jak Duzi. Ruth van Riebeek, Mama, Ko-Ko i Kopciuszek prowadzili zajęcia z *lingua Terra*: „Duzi nie mówić zatku – mówić „kfeete-ki zienne”. Holloway zauważył, że Kudłacze miały trudności z wymawianiem zlepków spółgłosek. Trzy inne osobniki wprawiały się w rzemiośle kowalskim, korzystając przy tym z fotokopii jakiejś książki na temat broni sprzed epoki prochu – gizarm ze Starej Terry i szwajcarskich

halabard. Na ich wzór same próbowały stworzyć broń osadzoną na stalowym drzewcu. Drewniane drzewce były dla nich albo zbyt łamliwe, albo nieporęczne i grube. Z zewnątrz dolatywały krzyki zmieszane z popisukiwaniem.

Holloway wyszedł z drugiej strony baraku, kierując się wonią dymu z fajki i odnalazł sporą grupę około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu Kudłaczy uczących się łucznictwa. Cierpliwie czekały na swoją kolej, żeby oddać strzał do kukły zaranifera rzeczywistych rozmiarów, która, nakryta grubym materiałem z juty, robiła wrażenie całkiem prawdziwej. Gerd van Riebeek pełnił funkcję nadzorcy strzelnicy, a Dillinger, Ned Kelly, Kudłaczek i Id trenerów. Jeden z Kudłaczy, rozstawiwszy nogi, przyciągnął końcówkę strzały do ucha i zwolnił cięciwę, trafiając prosto w miejsce, gdzie znajdowały się żebra prawdziwego zaranifera. Zanim strzała wbiła się w cel, maluch już sięgał po nową, by osadzić ją na cięciwie.

– Czy ktoś widział szeryfa z Nottingham? – zapytał Gerd. – Lepiej, żeby zabrał się do roboty, bo królowi za chwilę skończą się jelenie w lesie.

Druga strzała trafiła w podstawę szyi kukły zaranifera. Kolejne imiona dla Kudłaczy: Robin Hood, Braciszek Tuck, Mały John, Will Szkarłatny...

Mięso zaranifera zapewniało typowej grupie Kudłaczy wyżywienie na dwa dni lub jeden w przypadku grup podwójnych, a w lasach wprost roiło się od tych zwierząt. Dodatkowe mięso oznaczało też, że mniejsze gromady mogłyby się łączyć w większe i działać wspólnie. Skóra zaranifera wystarczyła na uszycie trzech, może nawet czterech toreb naramiennych, a – o czym Holloway sam się przekonał – Kudłacze potrzebowały skutecznej metody transportowania przedmiotów. Pamiętał, jak marny dobytek przyniósł ze sobą Kudłaczek i jego gromada, mimo że w kręgach pobratymców niewątpliwie uchodziłby za bogacza. Zwykle Kudłacze nosiły ze sobą tylko kije do walki, czasami nóż z odprysku kamienia bądź kamienną siekierę. U podstaw każdej kultury leżało posiadanie rzeczy,

za pomocą których można robić inne rzeczy. Cała reszta – prawo, organizacja społeczna, filozofia – przychodziła później.

Robin Hood, Samkin Aylward czy ktokolwiek to był strzelił po raz trzeci, po czym razem ze swymi towarzyszami pognał do kukły. Niesamowite, jak szybko te maluchy nauczyły się łucznictwa – w kilka krótkich miesięcy, mimo że wyszkolenie w tym samym stopniu ludzi trwałoby całe lata. Kudłacz w lesie, uzbrojony w łuk, mógł się najadać do syta, a grupa piętnastu czy dwudziestu osobników z łukami nie miałaby najmniejszych problemów z wyżywieniem. Dzięki temu zaczęłyby budować domy, a co za tym idzie zniknęłaby konieczność nieustannego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Tak, to rozwiązanie wydawało się sensowne: cały szereg wiosek w rejonie Piedmontu i pojazdy patrolowe zaglądały co kilka dni, by uzupełnić zapasy hokfuzyny. Może większe wioski i żołnierze ZSOA jako stali rezydenci?

Do diabła, a czemu nie dać Kudłaczom karabinów i amunicji? Pocisk o dużej prędkości kalibru 8,5 mm bez trudu powaliłby zaranifera – Gus Brannhard ustrzelił ich całkiem sporo swoim pistoletem Mars-Consolidated. Może nawet byłby zdolny zabić harpię, a kilka sztuk takiej broni w odpowiednich rękach wyłączyłoby Kudłacze z menu piekielniaków. Czyli jednak będą potrzebować amunicji. No cóż, potrzebowały hokfuzyny, więc skrzynka amunicji od czasu do czasu nie zrobi wielkiej różnicy. Co więcej, potrzebując nabojów, Kudłacze musiałyby trzymać się blisko miejsc, które zapewniały im także hokfuzynę.

Następnego dnia, w drodze do kanionu Yellowsand, Victor Grego z Diamentem wpadli na chwilę do Hollowaya. Przywitawszy się ze wszystkimi ludzkimi przyjaciółmi i poprosiwszy Papcio Vica o zgodę, Diament uciekł z Kudłaczkiem, by podziwiać widoki.

– Ile masz tu teraz Kudłaczy? – zapytał Grego, kiedy szedł z Jackiem w stronę szkoły.

Jack odparł, że około pięciuset. Jak wszyscy inni, Grego stwierdził, że taka liczba maluchów w jednym miejscu to cholernie dużo. Do diabła, miał rację, tyle że nic nie dało się z tym zrobić.

– Gdy tu leciałem, zauważyłem kilkaset wzdłuż Cold Creek, nieco poniżej dopływu – dodał. – Płonęły jakieś ognie, a w okolicy stały transportery. To też część twojej paczki?

– Pewnie. Mamy tam stocznię i akademię morską. Uczymy Kudłacze budować tratwy, pływać nimi i sterować. Rzeki są dla Kudłaczy poważną przeszkodą – dla nich taka Snake czy Blackwater jest dużo większa, niż Amazonka na Terze albo Fa’ansare na Loki dla ludzi. Właśnie dlatego przychodzi ich tu tak wiele – system rzek na północy kieruje je wszystkie w stronę Cold Creek.

– Przecież ta banda nie musi umieć budować tratw. Dotarli tu bez nich i dziś są częścią gromady Dużych.

To prawda; Holloway w jednej chwili zrozumiał, że nie mógł tak po prostu zabrać ich wszystkich z Hoksu-Mitto i porzucić w środku lasu. Czyż nie było największą niegodziwością dać drugiej osobie coś wspaniałego, by później to odebrać?

– Szczerze mówiąc, nie mam bladego pojęcia, co z nimi zrobię – przyznał. – Wiele zależy od tego, czy Kudłacze zostaną w świetle prawa uznane za dzieci.

– Możemy to zapisać w konstytucji – zasugerował Grego. – O ile konstytucja w takim kształcie zostałaby przyjęta.

Byli już prawie przy szkole. Holloway zatrzymał się gwałtownie.

– Myślisz, że są co do tego jakieś wątpliwości? – zapytał.

– Sam dobrze wiesz, jaką zbieraninę partaczy tworzą nasi delegaci – na pięćdziesięciu, sześćdziesięciu możemy polegać, ale do przepchnięcia konstytucji potrzebujemy dwóch trzecich głosów. Cała reszta tej zgrai nie wahałaby się nas sprzedać za czekoladowy batonik.

– W takim razie to my musimy im dać ten batonik. Dajmy im dwa batoniki i pozłacany scyzoryk z ośmioma ostrzami. – Holloway powtórzył Victorowi słowa Brannharda, który twierdził, że rząd nie ma wystarczająco bogatych przeciwników, by obawiać się przekupstwa.

– Właśnie to mnie martwi. Hugo Ingermann – westchnął Grego. – Widać jak na dłoni, jaki jest jego dalekosiężny plan – chce zniszczyć zarówno firmę, jak i rząd Bena Rainsforda, żeby na ruinach stworzyć własne imperium. Partia Planetarnej Pomyślności sprawia wrażenie martwej, ale takie twory zdychają dłużej niż padalce błotne z Nidhog – a są równie jadowite. Ingermannowi cholernie zależy na wprowadzeniu antyfirmowej konstytucji, a następnie przepchnięciu antyrządowego ustawodawstwa.

– No dobrze, ale jakimi funduszami dysponuje ten człowiek? – Jack pociągnął Grego w kierunku swojego biura po drugiej stronie wybiegu. Nie wiedział jeszcze, dokąd zmierza ta rozmowa, ale wolał dokończyć ją na osobności. – I czy jest zdecydowany je roztrwonić?

– O ile nam wiadomo, niczego nie wydaje, ale pożyczka, gdzie tylko się da. Słyszałeś o sprawie Sekcji Północ Mallorysportu?

Mowa była o jednym z nielicznych błędów Victora Grego – jakieś dziesięć lat wcześniej w przemyśle prywatnym doszło do krótkotrwałego zamieszania, wskutek którego Kompania wyprzedzała tereny na północ od Mallorysportu. Teraz stało tam miasto duchów, opuszczone fabryki i magazyny, a wraz z nimi podupadające lotnisko. Ingermannowi udało się uzyskać prawa do większej części tych nieruchomości.

– Pożyczka pieniądze właśnie na ten cel, każdy pojedynczy centysol. Rzecz jasna, wykupujemy z banków hipoteki. W rękach ludzi spoza Kompanii to miejsce mogłoby się zamienić w planetarny port kosmiczny, który z powodzeniem mógłby konkurować z portem Terra-Baldur-Marduk na Dariusie, a tego byśmy nie chcieli. Ingermann zdobywa kapitał w gotówce i certyfikatach depozytowych Kartelu Bankowego, ale niczego nie trzyma na swoim koncie – pracownicy banku twierdzą, że wyczyścił

je do zera. Nie mam pojęcia, co ten człowiek chce zrobić z taką ilością pieniędzy, a ta niewiedza cholernie mnie martwi. W tej chwili nie jesteśmy w stanie wytropić żadnych transakcji.

To mogło oznaczać tylko jedno – że Ingermann nie wydawał, koniec i kropka. Śledczy z Kompanii zwykle szybko zdobywali takie informacje; chodzili od biura do biura i przetrząsali je na każdy z możliwych sposobów, tym razem jednak bez efektów. Hugo Ingermann coś knuł, a oni nie wiedzieli co, i bardzo im się to nie podobało. Nie poruszali jednak tego tematu podczas przyjęcia; rozmawiali o Kudłaczach, zastanawiając się, co jeszcze mogą z nimi zrobić.

– Czemu nie utworzysz kolonii na pozostałych kontynentach? – zapytał Grego. – Mamy mnóstwo świetnych terenów, chętnie wydzierzawimy je rządowi za odpłatnością jednego sola czy coś w tym rodzaju. Jeśli program z hokfuzyną przyniesie spodziewane rezultaty, maluchy dosłownie nas zaleją.

Pomysł był całkiem niezły – kolejna sprawa, o której Holloway musiał jutro pomyśleć; później, kiedy już wyjaśni się sprawa statusu prawnego Kudłaczy.

Wieczorem, tuż przed porą snu Kudłaczy, przyszli do nich Kudłaczek i Diament.

– Papcio Jacku – zaczął Kudłaczek – Diament pyta, żeby go odwiedzić tamto miejsce Papcio Vica, gdzie Duzi kopać. Mówi, że tam wiele zabawy.

– Chcesz, Papcio Vic? – zapytał Diament. – Kudłaczek polecieć z nami, zrobić odwiedziny. A potem, gdy lecieć z powrotem do domu, zostawić go tutaj.

– Co o tym sądzisz? – zwrócił się Grego do Hollowaya. – Wezmę go na kilka dni, obu będzie się bardzo podobać. Diament nigdy dotąd nie zabierał przyjaciół do kanionu Yellowsand. Wiem, strasznie tam dużo wysadzania i kopania, ale nic mu się nie stanie. Będziemy na niego uważać, ja i Diament – on już wie, co jest niebezpieczne.

Diament musiał dużo opowiadać Kudłaczkowi o Yellowsand, bo ten koniecznie chciał tam polecieć, obejrzeć kanion na własne oczy i po powrocie zrelacjonować wyprawę Jackowi. Czemu nie? Grego nieustannie podróżował między Mallorysportem a Yellowsand i zawsze zabierał Diamenta – nie robiłby tego, gdyby istniały jakieś realne zagrożenia. Zresztą, w samym Hoksu-Mitto tyle ostatnio się działo, że Kudłaczek sam dobrze wiedział, na co uważać.

– Dobra, niech poleci z Diamentem i obejrzy miejsce Papcio Vica. Bawcie się dobrze. Tylko Kudłaczek być grzeczny – robić wszystko, o co poprosić Papcio Vic albo Diament i nie robić nic, jeśli oni zabronią! Słuchać Diamenta, on najlepiej znać „miejsce kopania”.

– Nikt nie stać krzywdy, jeśli uważać – stwierdził Diament. – Papcio Vic o wszystkim powiedzieć, co boli. Ja też powiedzieć potem Kudłaczkowi. Będzie wiele zabawy!

14.

Kudłaczek był szczęśliwy i podekscytowany. Zawsze uwielbiał podróżować, a tym razem leciał do miejsca, którego nie widział nigdy wcześniej – do miejsca zwanego Yellowsand; w języku Kudłaczy do Rohd-Nasig, czyli tam, gdzie jest dużo piasku, jak na brzegu rzeki. To tam Papcio Vic i inni Duzi kopali w szczycie góry i zrzucali ziemię w „głębokie miejsce”, żeby wydobywać z czarnych „twardo-skał” lśniące kamyki. Wszyscy Duzi chcieli mieć takie kamyki, bo były piękne, a Papcio Vic handlował nimi z innymi Dużymi, wymieniając je na przydatne rzeczy dla Kudłaczy. Choć Yellowsand znaleźli Papcio Jack i Papcio Gerd, obszar należał do Zondu. To właśnie z tego powodu Duzi robili „imię znaki” na papierze w miejscu Papcio Bena.

Papcio Vic usiadł z przodu, żeby robić latanie pojazdem, a Kudłaczek i Diament zajęli miejsca z tyłu, skąd mogli wyglądać przez okna. Wzniesli się wysoko w powietrze; świat z góry rozciągał się w dal na wszystkie strony, całkiem jak ten z „udawać ziemię” rzeczy, z których często korzystał Papcio Jack – jak świat z mapy. Kudłaczek zobaczył miejsca po prawej ręce słońca, skąd przybył wraz ze swą gromadą – z północy, wiele-wiele dni polując na krewetki ziemne, między porą nowych liści a porą jagód, zanim trafił do Wspaniałego Miejsca i zaprzyjaźnił się z Papcio Jackiem. Później zauważył też rzekę, zbyt szeroką, by łatwo mogli ją przekroczyć, i przypomniał sobie, jak wędrowali wzdłuż brzegu w stronę opadania słońca, na zachód. Minęło wiele czasu, nim stała się na tyle wąska, żeby pozwolić im przejść.

Gdyby tylko wiedzieli wtedy, jak się buduje tratwy, które pokazał im Pacio Jack, Papcio Gerd i Wujko Pancho! Ale teraz już nie potrzebowali tratw, teraz Duzi podróżowali z nimi w kutrach, wysoko ponad rzekami

i wierzchołkami gór. On i gromada potrzebowali więcej dni, niż umiałby zliczyć, żeby dotrzeć we Wspaniałe Miejsce na południu, a teraz przelatowali nad rzeką szybciej, niż ktokolwiek zrobiłby o tym mówienie.

– Patrz tam daleko-daleko – powiedział mu Diament. – Widzisz góry, co biegnąc z zachodu na wschód? – Diament znał słowa Dużych, nauczył go Papcio Vic. – Tam Yellowsand. Niedługo wszystko widać, a wtedy zlecieć w dół, na ziemię.

Na przedzie pojawił się inny kuter – zielony, jeden z tych, w których latali policjanci Papcio George’a w niebieskich strojach. Może polowali na harpie; zabili wiele harpii swoimi szybkostrzelnymi karabinami. Papcio Vic robił na odległość mówienie z tymi, co byli w środku, używając specjalnego „mówienie urządzenia”, radia. Minęli górę. Gdy się zbliżali, nie wyglądała stromo, ale z drugiej strony opadała gwałtownie. Kudłaczek już wiedział, że są daleko-daleko na północy, bo przypomniał sobie tę górę. Za nią płynęła rzeka, za rzeką wyrastała kolejna góra, która wznosiła się stopniowo i nagle opadała stromo, a za nią była jeszcze jedna góra. Diament spostrzegł ją i podekscytowany wskazał palcem.

– To Yellowsand, „miejsce kopania” Papcio Vica! – rzucił. – Jest kurz. Wiele kurzu tam, gdzie Duzi robić kopanie.

– Hej, maluchy, wyjrzeć przez prawe okno! – odezwał się Papcio Vic. – Papcio zrobić kółko, to popatrzeć sobie z wysoka. A potem przelecieć nad górą do głębokiego miejsca.

Papcio Vic sprawił, że pojazd obniżył nieco pułap i zwolnił. Kiedy mijali górę, siedzący obok Diament wskazywał. Po drugiej stronie płynęły dwie rzeki – z początku jedna przy drugiej, a tam, gdzie się łączyły, w kolejnej górze ziało pęknięcie, w które wlecieli. Oto i miejsce Papcio Vica, Yellowsand, znacznie większe od Hoksu-Mitto. Kudłaczek naliczył co najmniej rękę rąk domów. Jak to się nazywało w języku Dużych? Dwadzieścia pięć? Duzi mieli nazwy dla wielości wszystkiego, nawet dla liści na drzewie. Kudłaczek oglądał głębokie miejsca, gdzie złączone rzeki

pływały przez górę, a obok pracowali Duzi – wiele-wiele Dużych z wieloma-wieloma maszynami: maszyny do kopania, dźwigania, przesuwania ziemi, a do tego jeszcze wielkie frachtoloty do przenoszenia ciężkich rzeczy.

Wielu przyjaciół pomagało Papcio Vicowi w kopaniu, ale jeszcze więcej miało dopiero przylecieć, bo budowano kolejne domy. Tak, wszyscy musieli lubić Papcio Vica.

Kudłaczek zdziwił się, gdy Papcio Vic przeleciał kutrem na drugą stronę góry. Myślał, że zobaczy dolinę i kolejną górę pnącą się wysoko, ale się pomylił. Zbocze opadało niemal pionowo, bardzo-bardzo daleko, za nim zaś ciągnął się dość płaski teren z niskimi pagórkami, a nieco dalej większymi wzniesieniami, aż poza zasięg wzroku. Papcio Vic sprawił, że pojazd opadł przy ścianie góry prawie na samo dno, po czym skręcił tam, gdzie wypływały dwie złączone rzeki. Kudłaczek popatrzył w górę przez twardą „widać przez” rzecz na dachu pojazdu i aż zaparło mu dech, gdy zorientował się, jak daleko są od wierzchołka. Nawet gdyby nie zobaczył nic więcej, sam ten widok wart był podróży.

Rzeka wypływała z góry tak szybko, że aż się pieniła. Po obu stronach biegły piaszczyste plaże i Kudłaczek zrozumiał, czemu Duzi nazywali to miejsce Yellowsand. Za plażami drzewa rosły aż do miejsca, w którym zaczynało się strome zbocze. Nikt nie potrafiłby przekroczyć tej rzeki – nawet Duzi, choćby i na tratwach.

– Złe miejsce – przestrzegał go Diament. – Lepiej się nie zbliżać. Wejść do rzeki tylko raz i od razu zrobić się martwy.

– To prawda, Kudłaczku. Nie podchodź do rzeki – powtórzył Papcio Vic. – Spójrz tam.

Kudłaczek ujrzał „spadającą wodę”. Widział już wcześniej „spadające wody”, choć nigdy tak wysokie. Huk głośny niczym grzmot słychać było nawet w zamkniętej kabinie kutra. Dużo wyżej wielkie frachtoloty wylatywały z głębokiego miejsca i zrzucały ładunek ziemi i kamieni,

a niekiedy całe drzewa wyrwane z korzeniami. Papcio Vic wznosił pojazd pionowo w górę, dzięki czemu mogli patrzeć na „spadającą wodę”, dopóki nie znaleźli się na szczycie.

Następnie polecili do miejsca, gdzie wszyscy przyjaciele Papcio Vica kopali w ziemi, żeby oglądać ich pracę. Kuter wylądował między jasnymi, metalowymi domami, przed jednym z większych, gdzie czekało mniej więcej tyle Dużych, ile palców u ręki. Wszyscy byli ubrani tak jak Papcio Jack, gdy spędzał czas w domu we Wspaniałym Miejscu, oprócz dwóch mężczyzn o imionach Kierownik i Kapitan, którzy mieli na sobie niebieskie stroje policyjne; wszyscy też nosili przy sobie broń, jak Duzi we Wspaniałym Miejscu i wszyscy byli uprzejmi.

Papcio Vic pokazał Kudłaczkowi, gdzie będzie nocować z Diamentem. Kudłaczek zostawił w pomieszczeniu swój stalowy tasak, ale zatrzymał torbę naramienną. Papcio Vic zabrał go z Diamentem na zewnątrz, żeby mogli zobaczyć „miejsce kopania”. Diament widział je już wiele razy; wyjaśnił wszystko Kudłaczkowi – jak Duzi musieli ściągać warstwę miękkiej żółtej skały z twardej czarnej skały, żeby następnie roztrzaskiwać ją i szukać lśniących kamyków. Kudłaczek z zaciekawieniem przyglądał się pracy i zobaczył coś wspaniałego – długi, ruchomy pas, całkiem jak ruchome pasy i stopnie w Dużym Domu, tylko że znacznie większy, który przenosił czarne kamienie owinięte szczelnie metalową siatką.

Papcio Vic zabrał go z Diamentem do siebie. Twarda skała była tam roztrzaskana, a ze środka wyciągano lśniące kamyki. W tym miejscu pracowało wielu-wielu Dużych, ale oprócz nich stali tam i patrzyli Duzi w strojach policjantów, z pistoletami przy paskach i z małymi, dwuręcznymi szybkostrzałami. Musieli się bać, że źli Duzi będą chcieli zabrać część lśniących kamyków. Później Kudłaczek zobaczył miejsce, gdzie je sortowano. Wszystkie były śliczne i jasne jak ogień. Nic dziwnego, że trzeba było pilnować, by nikt ich nie wziął.

Wrócili do metalowego domu, bo nadeszła pora lunchu. Dostali z Diamentem do jedzenia pezete'czy. Po lunchu Papcio Vic i inni długo rozmawiali – na tematy Dużych i Kudłaczek niewiele rozumiał, ale chyba chodziło o pracę, którą się tu wykonywało. Razem z Diamentem bawili się na podłodze, a potem zapalił fajkę. Diament nie palił, nie lubił puf-pufko.

Po południu Papcio Vic zabrał ich wysoko kutrem, żeby popatrzeć, jak jego przyjaciele robią wybuch. O tym Kudłaczek wszystko już wiedział; Duzi wciskali coś do ziemi, po czym odchodzili bardzo daleko, a coś wybuchowało bardzo głośno – jak grzmot pistoletu, tyle że jeszcze głośniej. Było mnóstwo dymu i mnóstwo pyłu, a w powietrzu leciała ziemia i kamienie. Tak się łatwiej kopało, lecz niebezpiecznie było podchodzić blisko. I – choć akurat Dużym to nie przeszkadzało – w ziemi robiły się dziury, które raniły stopy Kudłaczy. To właśnie dlatego Papcio Vic zabrał go z Diamentem do kutra, kiedy działy się wybuchy. Zaraz po nich Duzi weszli z powrotem do maszyn i podjęli pracę przy kopaniu.

Papcio Vic zabrał go z Diamentem z powrotem do metalowego domu, gdzie znów jedli pezete'czy, a Kudłaczek mógł się pobawić rzeczami Diamenta. Ponieważ nadchodził czas drzemki, Diament położył się na kocach i zasnął.

Kudłaczek leżał obok niego i też próbował spać, ale nie potrafił, zbyt podekscytowany nowymi odkryciami. Myślał o przyjaciółach Papcio Vica pomagających mu kopać, o wszystkich maszynach, które musieli obsługiwać, a potem myślał o lśniących kamykach, o ich kolorach i blasku, jasnym jak węgle rozżarzone w ognisku. Sam chciał taki kamyk, żeby zabrać go do Wspaniałego Miejsca i pokazać innym Kudłaczom.

Wiedział, że Papcio Vic da mu jeden, jeśli tylko poprosi, ale Papcio Jack uczył go, że nie powinien o nic prosić, kiedy znajduje się poza domem. No cóż, w takim razie może sam poszuka? Oczywiście wszystkie lśniące kamyki należały do Papcio Vica, ale gdyby jakiś znalazł i zapytał, czy może go zatrzymać, to byłoby całkiem co innego niż prosić Papcio Vica, by mu

go dał. Kudłaczek chciał poradzić się Diamenta, ale Diament spał, a nigdy nie było dobrze przeszkadzać innym, gdy spali, chyba że działo się coś złego albo groźnego.

W końcu zdecydował, że wyjdzie i poszuka kamyków. Zarzucił na ramię swoją torbę i wziął tasak, na wypadek gdyby natknął się na jakąś krewetkę ziemną. Po wyjściu z metalowego budynku ruszył w stronę krawędzi głębokiego miejsca, z dala od stanowisk pracy Dużych. Znalazł mnóstwo czarnych skał w miejscu, gdzie Duzi już kiedyś kopali, i zatrzymał się przy nich, żeby się rozejrzeć, nigdzie jednak nie widział lśniących kamyków. Może Duzi znaleźli wszystkie, które tutaj były? Podszedł do samej krawędzi głębokiego miejsca i spojrzał w dół, a tam zobaczył jeszcze więcej czarnych skał.

Papcio Vic i Diament przestrzegali go, by nigdy nie podchodził do głębokiej szczeliny, ale odszedł daleko od miejsca, gdzie Duzi zrzucali rozkopany czubek góry. Tutaj nie powinno być niebezpiecznie. Zaczął schodzić na dół.

Wspinaczka nie była łatwa, a odległość znacznie większa, niż z początku sądził. Kilka razy kusilo go, by zawrócić, ale widział na dnie czarne skały i dlatego nie chciał rezygnować. Zależało mu na jednym ze lśniących kamyków. Było tu dużo luźnych skał, przez co musiał uważać, gdzie opiera stopy. Pomagał sobie tasakiem i przywierał mocno do krzaków wyrastających ze stromej ściany głębokiego miejsca. Wokół leżało też wiele krzaków i drzew wykopanych przez maszyny Dużych; musiał być między nimi bardzo ostrożny.

Wreszcie znalazł się na brzegu rzeki. Prąd był rwący, a woda spieniona na kamieniach i Kudłaczek zaczął żałować, że tu zszedł. Znalazł twarde czarne skały, ale pokruszone na kawałki nie większe od jego ciała, i od razu zorientował się, że nie znajdzie lśniących kamyków. Wiedział, co robili tu Duzi – rozłupywali czarną skałę i przytykali do niej coś, co Papcio Vic nazywał skanerem, by się przekonać, czy w środku są lśniące kamyki.

Przez chwilę wpatrywał się w pokruszone kawałki czarnej skały, aż w końcu rzucił:

– Kusz’wa nieto-szlach do’diała.

Nie wiedział, co oznaczają te słowa, lecz Duzi wypowiadali je zawsze wtedy, gdy coś szło nie po ich myśli. Ruszył wzdłuż brzegu rzeki w poszukiwaniu mniej stromego podejścia, żeby wspiąć się z powrotem na górę, dalej od miejsca, gdzie Duzi zrzucali ziemię. Kiedy się rozglądał, ujrzał dobry, płaski głaz, a nad nim kolejny i krzak, za który mógłby złapać.

Wdrapał się na przewrócone drzewo i skoczył. Gdy tylko dotknął płaskiego głazu stopami, skały dookoła zaczęły się osuwać. Zachwiał się, próbując utrzymać równowagę, a tasak wyleciał mu z dłoni. Usłyszał, jak z brzękiem uderza o skały w górze. Spadał w stronę rzeki, przerażony jak jeszcze nigdy dotąd, bardziej nawet niż wtedy, gdy dawno temu prawie dopadł go chochlik stepowy. Znalazł się w wodzie.

Coś ciężkiego uderzyło go z tyłu. Wyciągnął ręce, żeby się tego złapać...

15.

Jack Holloway pochylił się w stronę kapciucha, wpatrzony w ekran mikroksiążki. Kudłacze siedzące przed nim na podłodze też wpatrywały się w książkę, popiskując cicho – już dawno nauczyły się, by nie robić mówienia Dużych przy Papcio Jacku, kiedy ten czytał. One też czytały, a w każdym razie próbowały – rozpoznawały litery i na głos wypowiadały słowa, a później kłóciły się o ich znaczenie. Widać było, że tęsknią za Kudłaczkiem, bo zawsze, gdy dochodziło do sprzeczek, radziły się właśnie jego. Holloway przedmuchał fajkę i zaczął nabijać nową porcję tytoniu.

Odezwał się sygnał ekranu komunikacyjnego. Jack zamknął kapciuch.

– Papcio Jacku, ek-aaan! – ponaglały go Kudłacze.

– Cichutko, maluchy – ofuknął je i włączył wyświetlacz. Gdy tylko zamigotała na nim twarz Victora Grego, rozległy się głośne powitania: „Hejo, Papcio Vicu!”.

– Co słysząc, Victorze... – rzucił Holloway, ale urwał na widok miny Grego, bo zrozumiał, że coś się stało. – O co chodzi?

– O Kudłaczka – zaczął Grego. Zadrżał mu mięsień twarzy. – Jack, masz pełne prawo mnie zastrzelić.

– Nie gadaj głupot. O co chodzi? – powtórzył Holloway, teraz już wystraszony.

– Sądzymy, że... że wpadł... Wpadł do rzeki – wydukał Grego, jakby ktoś wyciągał mu słowa z gardła rozżarzonymi do czerwoności obcęgi.

Oczami wyobraźni Holloway ujrzał rwący nurt rzeki Yellowsand, która płynęła przez kanion. Przeszedł go lodowaty dreszcz.

– Sądzicie? To znaczy, że nie jesteście pewni? Mów, co się stało.

– Kudłaczek zaginął między piętnastą a siedemnastą trzydzieści – zaczął Grego. – Po południu położyli się z Diamentem na drzemkę. Kiedy Diament się obudził, już go nie było – zniknęła też jego torba naramienna i tasak. Diament zaczął go szukać, ale bez skutku. Wrócił po kolacji i o wszystkim mi powiedział. Uznałem, że pewnie poszedł zapolować na krewetki, ale nie chciałem, żeby sam kopał w ziemi. Steefer zadzwonił do kapitana pełniącego dyżur na posterunku. Ogłosiliśmy alarm, żeby wszyscy wypatrywali Kudłaczka. Niestety, wieczorem ciągle go nie było i zacząłem się poważnie martwić. Zarządziłem poszukiwania i zabrałem Diamenta do jeepa nadzorczego. Jeździliśmy z megafonem po całym obszarze, nawołując. Choć Diament zapewniał mnie, że ostrzegął Kudłaczka przed schodzeniem do kanionu, tam też postanowiliśmy zajrzeć. Może już wtedy powinienem był do ciebie zadzwonić, ale spodziewaliśmy się, że w każdej chwili go znajdziemy.

– Nic by to nie dało. Tylko bym się martwił, a ty już robiłeś to za mnie.

– Jasne. Jakies pół godziny temu kilku gliniarzy w jeepach jechało wzdłuż brzegu rzeki i jeden z nich zauważył między skałami metaliczny poblask. Postanowił sprawdzić to przez lornetkę i zobaczył tasak Kudłaczka. W tamtym miejscu jest pełno luźnych skał, które zrzucaliśmy z góry – dokładnie na wysokości próbnych eksploatacji. Myślimy, że skały zaczęły się osuwać, a Kudłaczek rzucił tasak, żeby złapać równowagę. Osuwisko mogło go zabrać w dół, do rzeki. Jack, mam wrażenie, że to wszystko przeze mnie.

– Do diabła, przecież nie mogłeś trzymać go cały czas na smyczy! Uznałeś, że z Diamentem nie spotka go krzywda, a Diament był przekonany, że Kudłaczek też pójdzie spać. – Holloway urwał na moment. – Lecę do was, zabiorę ze sobą paru ludzi. Nikomu bym nie życzył, żeby wpadł do tej rzeki, ale możliwe, że Kudłaczkowi udało się wyjść na brzeg. – Spojrzał na zegarek. – Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Nawiązał połączenie z Gerdem van Riebeekiem, który właśnie szykował się do snu, i o wszystkim mu opowiedział. Gerd zaklął, po czym powtórzył słowa Ruth, która znajdowała się gdzieś poza zasięgiem ekranu.

– Dobra, polecę z tobą. Zadzwońię do sił ochrony, zwołam Bjornsena i resztę chłopaków, którzy tam ze mną byli, oni znają to miejsce. Do zobaczenia.

Gdy Gerd zerwał połączenie, Jack strząsnął ze stóp mokasyny i założył wysokie buty, zapiął kaburę z pistoletem, wziął kapelusz i kurtkę. Obok rzeczy leżał worek z wyposażeniem, przygotowany na wypadek nagłej konieczności. Prognozy nie były zbyt optymistyczne: południowo-zachodni wiatr i ciepły front zderzający się z zimnym nad morzem na zachodzie.

Po namyśle wziął też płaszcz przeciwdeszczowy. Czekał na Gerda najwyżej kilka minut. Zjawił się razem z Ruth.

– Zaopiekuję się twoimi Kudłaczami i położę je spać – powiedziała. – Chyba że wołałyby zatrzymać się na noc u nas?

Holloway kiwnął głową w zamyśleniu.

– Jack, może nic się nie stało. Kudłacze potrafią pływać, kiedy są do tego zmuszone.

Owszem, ale nie w Yellowsand. Holloway wątpił, czy w tej cholernej rzece poradziłby sobie złoty medalista Olimpiady Międzygwiedznej w pływaniu. Odpowiedział coś nieprzytomnie, sam nie usłyszał co, po czym w pośpiechu ruszył z Gerdem do hangaru.

Gdy wnieśli się w powietrze, zaczął żałować, że posadził za sterami Gerda; gdyby sam zajął miejsce pilota, przynajmniej mógłby się skupić na kierowaniu, a tak musiał siedzieć beczynn timer, gdy kuter mknął na północ w wieczornym zmierzchu.

Po jakichś dziesięciu minutach wlecieli w chmury – zbliżał się deszcz, o którym przestrzegały prognozy. Obniżyli nieco pułap. Możliwe, że już teraz lecieli w deszczu; przy prędkości trzech machów kuter mógł przecinać równikową ulewę, a pilot nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Holloway

zobaczył piorun na północnym zachodzie, a zaraz potem na zachodzie. Podbrzusza chmur w oddali rozbłyskiwały od elektrycznego światła wyładowań.

Kropiło, kiedy lądowali w obozie górniczym w Yellowsand. Na miejscu czekali Grego, Harry Steefer i szef policji z Kompanii, który przeniósł kwaterę główną do Yellowsand, kiedy rozpoczęły się prace wydobywcze. Uścisnęli sobie dłonie, Grego z wahaniem.

– Ciągle nic nie mamy, Jack – powiedział. – Przeszukujemy kanion cał po cał, odkąd do ciebie zadzwoniłem, ale oprócz tego tasaka nic nie znaleźliśmy.

– Victorze, przestań. Szukanie winnych nie ma sensu. Nie winię ani ciebie, ani Diamenta i nie wydaje mi się, żeby było za co winić Kudłaczka. Pewnie chciał sprawdzić, jak jest tu na dole. Może myślał, że znajdzie zatku, bo przy Hoksu-Mitto nie ma ich już zbyt wiele. – Holloway uświadomił sobie, że wcale nie próbuje uspokoić Grego, lecz samego siebie. – Leci tu Hirohito Bjornsen, razem z chłopakami, którymi dowodził, zanim przejąłeś Yellowsand.

– W kanionie na pewno go nie ma, o tym jesteśmy przekonani. Prowadzimy poszukiwania na obu brzegach, ale nie wydaje mi się, żeby Kudłaczek wyszedł z rzeki. Nie żywy.

– Wiem, jak tam jest. Do diabła, sam odkryłem to miejsce i zaczynam tego żałować.

– Jack, oddałbym każdy cholerny kamień słoneczny z tej góry, gdyby...
– zaczął Grego, ale nagle umilkł, jakby zrozumiał, że jego słowa w niczym nie pomogą. Bo nie pomagały.

Bjornsen przyleciał w kutrze bojowym z dwoma pojazdami patrolowymi. Byli z nim George Lunt oraz Pancho Ybarra. Spędzili całą noc na poszukiwaniach i piciu kawy w baraku kwatery głównej, na nasłuchiwaniu raportów i wpatrywaniu się w monitory. Niebo pojaśniało do barwy smętnej szarości, aż w końcu zgasły reflektory. Deszcz wciąż

padał, z każdą chwilą coraz mocniej, bębniąc nieustannie o łukowaty dach baraku.

– Byliśmy w połowie drogi do ujścia Lake-Chain – zameldował Bjornsen. – Rozglądaliśmy się po obu stronach rzeki, ale nic nie znaleźliśmy. Gdyby nie ta widoczność...

– Jaka widoczność?! – parsknął jeden z policjantów. – Ta mgła jest tak gęsta, że mógłbym uderzyć ją kolbą pistoletu.

– Poziom cholernej rzeki wzrósł od północy o sześć cali! – rzucił inny. – A to jeszcze nie koniec. – Wymownym gestem zachęcił, by wsłuchali się w nieprzyzwoicie uparty deszcz.

Ziewnąwszy, Jack przygryzł cybuch fajki. Grego, który siedział po drugiej stronie stołu, też lekko przysypiał – jego głowa co rusz opadała i podrywała się do góry.

– Czy ktoś jest wystarczająco przytomny, żeby jeszcze poczuwać? – zapytał. – Ja muszę się położyć. Obudźcie mnie, gdybyście coś usłyszeli.

Na końcu baraku stało kilka wojskowych prycz. Grego wstał i ruszył w ich stronę, po drodze odpinając pasek. Usiadł na brzegu łóżka, żeby ściągnąć buty. Już chciał się wyciągnąć, gdy nagle przypomniał sobie, że wciąż ma na głowie kapelusz.

16.

Z początku Kudłaczek był świadom wyłącznie przytłaczającego nieszczęścia. Przemoczony, zziębnięty i głodny, zmagał się z wielkim bólem. Nie bolało go w żadnym konkretnym miejscu, cierpienie przenikało go całego. Deszcz padał w ciemnościach, a on słyszał wszędzie wokół szum płynącej wody. Uprzytomniwszy sobie, że trzyma się kurczowo jakiegoś przedmiotu, ścisnął go jeszcze mocniej. Poczuł pod palcami szorstką korę pnia. Nogami obejmował coś, co musiało być gałęzią... W jaki sposób się tu znalazł?

Wtedy sobie przypomniał. Szukając lśniących kamyków w miejscu, gdzie kopali Duzi, zszedł na dno głębokiej rozpadliny. Teraz żałował, że nie posłuchał Papcio Vica i Diamenta, którzy przestrzegali, żeby się tam nie zbliżał. Wpadł do rzeki i złapał się czegoś, co uderzyło go z tyłu. Przypomniał sobie niewielkie drzewo, które Duzi wyrwali z ziemi i cisnęli do głębokiego miejsca. Musiało wpaść do wody w tym samym czasie, co on.

Później zapadła ciemność i wszystko znikło, oprócz jednej chwili, gdy otworzył oczy i ujrzał w górze niebo zasnuwane czarnymi chmurami o wściekle czerwonych krawędziach. Znowu zrobiło się ciemno, aż nagle zobaczył piorun. Padał wtedy deszcz.

Teraz jednak drzewo nie płynęło. Myślał, że wie, co się stało: rzeka zniosła je na brzeg i tam się zatrzymał. To oznaczało, że może zejść na ziemię. Mocniej złapał się pnia rękami i zwolnił chwyt nóg, by opuścić jedną z nich na ziemię. Poczuł miękkie podłoże, uznał jednak, że powinien zostać w tym miejscu, dopóki nie zrobi się jasno. Następnie, trzymając się drzewa tylko jedną ręką i nogami, sprawdził, czy ma na ramieniu swoją torbę – tak, jeszcze tam była. Chciał ją otworzyć, by sprawdzić, czy

do środka dostała się woda, ale doszedł do wniosku, że z tym też powinien poczekać na światło. Wiercił się chwilę, by przyjąć wygodniejszą pozycję, po czym znów zapadł w sen.

Kiedy się obudził, było widno. Jeszcze nie całkiem i ciągle padało, a w powietrzu wisiała gęsta mgła, ale widział lepiej. Rzeka, żółta i rwąca, toczyła wody z obu stron. Drzewo osiadło na niewielkiej mieliźnie, którą ze wszystkich stron otaczała woda. Rosło na niej trochę trawy, a tu i tam leżały kawałki drewna porzucone przez rzekę, a także drugie drzewo, wielkie i martwe. Zszedł na ziemię i przechadzał się chwilę, dopóki nie ustąpiła sztywność mięśni.

Wiedział, że musi się stąd wydostać. Ciągle lało, a podczas dużych deszczy rzeki robiło się więcej. W końcu mogło zalać meliznę.

Z jednej strony rzeka sięgała dalej niż widział; z drugiej – z lewej, patrząc z nurtem – do brzegu było co najwyżej rzut kamieniem, a skarpa wydawała się dość niska, by bez kłopotu mógł się na nią wspiąć. Podniósł parę kawałków drewna i cisnął w nurt, by sprawdzić jego siłę. Był silniejszy, niż mu się podobało, ale zauważył, że woda znosi drewno w stronę brzegu. Rzucił patyk za patykiem, a potem obserwował uważnie, jak płyną. Upewniwszy się, że zatrzaski od pochwy na nóż i łopatkę są zamknięte, wszedł do wody. Gdy tylko porwał go nurt, zaczął płynąć pod prąd.

Ściągało go lekko w dół rzeki, ale cały czas w stronę brzegu i wkrótce dotknął stopami dna. Wygramoliwszy się z wody, spojrzął na meliznę, z której udało mu się uciec.

– Kusz’wa nieto-szlach, zassana zeeka – parsknął.

Nie przestawało padać, ale on i tak był cały mokry, więc nie zwracał na to uwagi. Był też zmęczony; stracił dużo sił podczas pływania, mimo że pokonał niewielki dystans. Cieszył się, że postanowił walczyć i że wygrał. Podszedł do drzewa i usiadł na korzeniu wystającym z ziemi. Otworzył torbę – sucho; do środka nie dostała się ani kropla wody. Wyciągnął ciastko

z pezete'czy, przełamał je i jedną połowę schował do torby, a drugą zaczął jeść. Nie wiadomo, czy znajdzie jakieś pożywienie, zanim znów zgłodnieje. Poczuł się nieco lepiej. Odłożył resztę ciastka, żeby wyciągnąć fajkę i tytoń. Kiedy już zapalił, obejrzał płaski, okrągły przedmiot, który Duzi nazywali kompasem. Tak jak się spodziewał, rzeka płynęła niemal prosto na północ. Sprawdził, co jeszcze ma w torbie.

Oprócz fajki, tytoniu, zapalniczki i kompasu znajdował się w niej gwizdek. Dmuchał w niego parę razy. Gwizdek był bardzo przydatny; dzięki niemu mógł zwrócić na siebie uwagę, gdyby zobaczył w oddali Dużych. Schował go do torby. Miał także nóż, łopatkę i poręczne „wielo narzędzie”, które dostał w Dużym Domu od miłego mężczyzny o siwych włosach. W „wielo narzędziu” było małe ostrze, prosty szpikulec do dźgania, zakręcony do wiercenia dziur, pilnik, piłka, śrubokręt, a nawet małe coś złożone z dwóch części, które zaciskało się niczym szczęki krewetki ziemnej i potrafiło ciąć drut. Drut też zresztą miał, cieniutki, ale bardzo mocny – trzeba było uważać, żeby się nie skaleczyć – a także motek wytrzymałej linki, którą Duzi nazywali żyłką, i kawałek sznurka. Zawsze nosił przy sobie mnóstwo sznurków, bo miały wiele wspaniałych zastosowań.

Dokończywszy fajkę, zastanawiał się, czy zapalić jeszcze jedną, ale stwierdził, że nie. Choć miał mnóstwo tytoniu, nie powinien go marnować. Nie wiedział, ile czasu minie, zanim wróci do Yellowsand. Jeśli będzie maszerować wzdłuż rzeki, prędzej czy później tam dotrze, ale to może potrwać. Nurt był rwący, a on spędził na pływającym drzewie dużo czasu. W dodatku, gdy już dotrze do miejsca, gdzie rzeka wypływa z góry, będzie musiał się wspiąć. Jednego był pewien – już nigdy nie wejdzie do głębokiej rozpadliny.

Szkoda, że zgubił swój metalowy tasak, bo w drodze będzie musiał zabijać zwierzęta na pożywienie. W pierwszej chwili pomyślał, że powinien zrobić sobie drewniany kij do zabijania, ale postanowił odłożyć to na

później. Znalazł za to trzy duże i zaokrąglone kamienie – każdy większy od jego pięści. Jeden niósł w dłoni, a pozostałe dwa w zagłębieniu łokcia wolnej ręki. Ruszył na północ wzdłuż brzegu rzeki.

Po jakimś czasie zobaczył dużego ptaka na drzewie, z głową schowaną pod skrzydłami. Był jednak za daleko, by mógł trafić go kamieniem. Gdyby tylko miał ze sobą łuk i strzały, które uczyli go robić Papcio Vic i Papcio Gerd... Ten ptak byłby dobry do jedzenia. Tęsknił za Hoksu-Mitto i Papcio Jackiem, za Mamą, Dzidziusiem, Mikiem, Mitzi, Ko-Ko i Kopciuszkiem... za Wujko Pancho, za Ciosio Lynne, Papcio Gerdem i Mamsią Łuf, za Id i Superego, Kompleksem i Syndromem, i jeszcze za... Maszerując naprzód, powtarzał głośno imiona wszystkich przyjaciół z Hoksu-Mitto, mając nadzieję, że znów ich zobaczy.

Później – wydawało mu się, że w porze najwyższego słońca, czyli w południe, w czasie lunchu – zobaczył zarająca zwiniętego w puszystą kulkę sierści. Zarającowi też nie podobał się deszcz. Cisnął w niego kamieniem i trafił, a potem podbiegł szybko, by nie zdążył się podnieść, i dźgnął go za ucho nożem. Przykucnął i oskórował martwe zwierzę. Na początku zastanawiał się, czy nie rozpaść ognia i nie upiec mięsa nad ogniskiem, ale szukanie suchego drewna, rozpalanie ognia i pieczenie trwałoby zbyt długo. Zjadł mięso surowe – w końcu nie minęło zbyt wiele czasu, odkąd jadł cokolwiek gotowanego.

Stwierdził jednak, że musi zrobić sobie lepszą broń od zwykłych kamieni.

Kiedy za trzecim razem dotarł do strumienia i przeszedł na drugi brzeg, znalazł twardą skałę – nie tak czarną jak skały z lśniącymi kamyki, które wydobywało się w Yellowsand, ale mimo to twardą i dobrą. Rozglądał się, dopóki nie zobaczył dwóch kawałków odpowiedniego kształtu i wielkości, po czym schował je do torby. Przestało padać, ale mgła była coraz gęstsza, a niebo poszarzało. Wiedział, że wkrótce nadejdzie pora ciemności.

Wybrał sobie „miejsce do spania” w najbliższym zagłębieniu – obok strumyka, tuż przy ścianie niskiego klifu. Następnie znalazł stojące, martwe drzewo i zaczął pracować nad nim nożem, aż odciął całe mokre drewno i nazbierał sporo suchych strużyn. Podpalił te ostatnie, a na płomieniach ułożył wilgotne patyki. Schnąc, łapały ogień, aż w końcu udało mu się rozniecić duże ognisko, ciepłe i jasne. Zapadał już wtedy zmrok i ogień robił światło na skale za jego plecami. Zebrał więcej drewna, niektóre kawałki tak duże, że ledwie dawał radę zaciągnąć je na stos, by mogło swobodnie schnąć. Robił to, póki nie zrobiło się zbyt ciemno, po czym usiadł plecami do skały i wyjął z torby naramiennej dwa kawałki krzemienia.

Jeden, zdecydował, przerobi na siekierę – do rąbania drewna na następne ogniska i zabijania krewetek ziemnych. Drugi przymocuje do kija, bo przydałaby mu się włócznia do rzucania i dźgania. Długo wpatrywał się w kamienie, robiąc w głowie myślowe obrazy, jak będą wyglądały, kiedy skończy je obrabiać. Następnie wyciągnął łopatkę wyposażoną w uchwyt z „nieprawdziwej rzeczy”, plastiku, i zaczął uderzać nim o krawędź krzemienia. Kamień żłobił i rysował rączkę, ale odłupywały się od niego niewielkie płatki. Raz na jakiś czas odkładał go na bok, by dołożyć do ognia. W pewnej chwili usłyszał krzyk chochlika stepowego, ale gdzieś daleko, więc się nie bał. Ogień na pewno go odstraszy.

Grot włóczni trudniej było ukształtować. Zrobił go tak, żeby zwężał się ku końcowi, z obu stron zastrzony i z karbem u podstawy. Już miał pomysł, jak przymocuje go do drzewca. Trwało to jednak długo i gdy skończył, był zmęczony i śpiący. Odłożywszy grot i obuch siekiery na bok, dorzucił jeszcze do ognia. Sprawdził, czy nic nie leży między nim a ogniskiem, żeby się nie poparzyć, po czym zwinął się w kłębek plecami do ściany i zasnął.

Gdy się zbudził, ognisko dogasało. Przeraził się, że do nory podejdzie chochlik stepowy, ale zagłębienie przy ścianie klifu śmierdziało dymem.

Chochliki miały dużo lepszy węch niż ludzie – sam dym wystarczył, żeby je odstraszyć.

Łopatką wykopał w ziemi dziurę i załatwił potrzebę. Wypił nieco wody ze strumyka, a następnie zjadł resztę połówki ciastka z pezete'czy, którą napoczął poprzedniego dnia. Znalazł młode drzewo wysokości mniej więcej Dużego i zaczął kopać swoją łopatką. Przyciął korzeń, żeby zrobić stylisko. Drugi koniec oberznął na długości ręki od uchwytu i głęboko naciął nożem, po czym mocno wcisnął obuch siekiery i wydrążył poniżej dziurę, posługując się „wielo narzędziem” do wiercenia. Przeciągnął przez dziurę drut, który wiele-wiele razy owinął wokół obucha, aż był sztywny i solidnie przywiązany. Papcio Jack, Papcio Gerd i inni mówili, że takie rzeczy najlepiej robić cienutkimi korzeniami drzew albo jelitami zwierząt, ale nie miał teraz czasu, by ich szukać, a poza tym drut był znacznie lepszy.

Następnie, już za pomocą siekiery, ściał drugie młode drzewko – smukłe i proste. Siekiera naprawdę dobrze rąbała, był z niej bardzo dumny. Dopasował drzewce do grotu i, znów przy użyciu druta, przywiązał mocno. Kiedy skończył, pogmerał w popiołach ogniska, szukając rozżarzonych kawałków drewna. Znalazł kilka czerwonych i przydusił je ziemią. Papcio Jack, Papcio George, Papcio Gerd i inni zawsze powtarzali, że to bardzo niemądra „nigdy nie robić rzecz”, by porzucać tłące się ognisko. Sprawdziwszy, czy niczego nie zostawił, podniósł siekiere i włócznię, po czym wyruszył przez las w stronę wielkiej rzeki.

Niedługo przed południem wypatrzył kolejnego zarajaca. Rzucił włócznią i trafił prosto w cel, po czym dobił go ciosem siekiere w szyję. Poczł się dumny – użył nowych broni i obie były dobre. Potem rozpał niewielkie ognisko. Gdy drewno się rozżarzyło, a płomień nieco przygasty, upiekł zarajaca na patyku, tak jak go uczono w Hoku-Mitto.

Papcio Jack jest mądry, pomyślał, kiedy kucając przy ognisku spożywał słodki, gorący posiłek. Wcześniej zastanawiał się, dlaczego Papcio Jack tak bardzo nalegał, by wszystkie Kudłacze uczyły się o życiu w lesie, skoro

dbali o nich Duzi. Oto dlaczego – bo mogła nadejść pora, gdy Kudłacze stracą swoich Dużych albo się zgubią, tak jak on się teraz zgubił. Wtedy będą potrafiły wiele rzeczy zrobić same.

Uznał, że nie powinien zjadać całego zarająca. Zdjął ostrożnie skórę, po czym zawinął w nią resztę mięsa z pleców i nóg, a następnie przywiązał do torby naramiennej. Upiecze to i zje, gdy będzie rozbijać obóz na noc.

Mgła wciąż była gęsta, od czasu do czasu padał deszcz. Tym razem zrobił „miejsce do spania” z dwóch krzaków podobnej wysokości, które rosły obok siebie. Oparł na nich kij, a na tym kiju inne fragmenty powycinanych krzaków, między nie powcisnął zaś pojedyncze gałęzie. Rosły tu paprocie, więc pozbił wiele z nich i wysuszył przy ogniu, by miękko na nich spać. Tego dnia nie był tak zmęczony, a ból mięśni ustąpił. Po upieczeniu i zjedzeniu kawałka zarająca zapalił fajkę i chwilę bawił się kamyczkami, układając wzory, które przedstawiały to, co dzisiaj udało mu się zrobić. Potem położył się spać.

Następnego ranka było mglisto i deszczowo. Upiekł nogę zarająca, którą sobie zostawił, zasypał żar, po czym ruszył w dalszą podróż. Późnym rankiem znalazł krewetkę ziemną. Odrąbał jej głowę i roztrzaskał skorupę. Tym razem nie rozpalał ogniska – krewetki były najsmaczniejsze surowe, gotowanie psuło ich smak. Duzi też jedli wiele rzeczy na surowo.

Po południu znalazł głuptaka ogryzającego korę drzewa. Szczęście mu sprzyjało, mięsa starczy na dwa całe dni. Trafił zwierzę włócznią tuż za barkiem i użył siekiery, by je dobić. Tym razem rozniecił ogień, a po wypatroszeniu głuptaka zastanawiał się, jak go nieść – ważył prawie tyle, co on sam. Podjął decyzję, że nie będzie go tutaj skórować. Zamiast tego nadział na patyk wątrobę, nerki i serce, bo były smaczne, i przypiekł nad ogniem. Po jedzeniu odrąbał głowę, zbędny balast, i oparł truchło tak, by ociekło z krwi. Później związał przednie i tylne kończyny zwierzęcia, przyklęknął i wziął je na plecy, opierając na ramionach mięśnie zadnich nóg. Spory ciężar, ale nie przeszkadzał, gdy się do niego przyzwyczaił.

Jakiś czas później, gdy znalazł się blisko rzeki, zobaczył przez mgłę drugą rzekę, która łączyła się z pierwszą od wschodu. Ta też była szeroka, a ta, wzdłuż której maszerował, zwężała się ponad miejscem złączenia. To dobrze, pomyślał. Nie wyglądała dużo szerzej niż tam, gdzie wypływała z głębokiej rozpadliny, co oznaczało, że zbliża się do Yellowsand. Był pewien, że zobaczyłby już wielkie góry w oddali, gdyby nie ta gęsta mgła.

Wieczorem, po upieczeniu dużej części gwałtaka, przygotował obóz w pustym drzewie, na tyle dużym, by mógł spać w środku. Zjadł sporo mięsa i poczuł się radosny. Niedługo dotrze do Yellowsand i wszyscy się ucieszą, że go widzą. Przed snem zapalił drugą fajkę.

Następny dzień dobrze się zapowiadał. Przestało padać, a wiatr rozpędził mgłę. Niebo na wschodzie rozjaśnił blask świateł. Najbardziej ucieszył się jednak, że słyszy w oddali kutry. To też dobry znak – Papcio Vic i jego przyjaciele stęsknili się i wyruszyli na poszukiwania. Dźwięk pojazdów dolatywał jednak z terenów położonych w dole nurtu. Coś się nie zgadzało. Wymyślił, co zrobi – będzie się trzymać tak blisko rzeki, jak to tylko możliwe. Jeśli go zobaczą, przylecą, dzięki czemu nie będzie musiał wspiąć się po stromej skarpie, a jeśli znajdzie odpowiednie miejsce bez drzew, rozpali wielkie ognisko. Duzi na pewno spostrzegą dym.

Dźwięk kutrów z czasem cichł, aż w końcu umilkł całkiem. Upolował i zjadł drugą krewetkę ziemną. Mimo że mijał czwarty dzień, odkąd znalazł się w tym miejscu, trafił dopiero na dwie. Wiedział, że więcej krewetek żyje na południu, ale i tak był zaskoczony.

Zawiał wiatr i znowu zaczęło padać. Często tak się działo, zanim chmury całkiem odpłynęły. Tylko że tym razem krople deszczu zacinały z przodu i lewej, choć wcześniej padało z prawej. Możliwe, że to wiatr zmienił kierunek, ale i tak ogarnął go niepokój. W końcu spojrzął na kompas i zorientował się, że wcale nie idzie na południe, lecz na zachód.

To niedobrze... Wyciągnął fajkę – Papcio Jack zawsze palił fajkę, gdy chciał o czymś mocno pomyśleć. W końcu podszedł do brzegu i spojrzął

na rzekę.

Powinna być żółtawa od piasku, który wypłukiwała z Yellowsand, a zamiast tego była brudna i brązowoszara. Wpatrywał się w nią chwilę, aż nagle przypomniał sobie, jak wyglądała druga rzeka – ta, która płynęła ze wschodu. To tamta rzeka wypływała z Yellowsand.

– Kusz’wa! – prawie krzyknął. – Jesu chryse, kusz’wa nieto-szlach! – Poczł się nieco lepiej, tak jak Duzi, kiedy krzydzeli podobne słowa. – Teraz musi zawrócić.

Przez jakiś czas rozpatrywał sytuację. Nie, nie ma po co wracać; nie przekroczy wody w miejscu, gdzie łączyła się z drugą. Musi iść w górę tej przekłetej rzeki, póki nie znajdzie wystarczająco wąskiego miejsca, i dopiero wtedy zawrócić.

– Kusz’wa!

17.

Nikt się nie odzywał. Ani Grego, ani Harry Steefer, ani pozostali uczestnicy poszukiwań nie należeli do ludzi, którym z łatwością przychodziło werbalne wyrażanie współczucia. Zresztą, tak naprawdę nie było o czym gadać. Jack uścisnął Grego rękę z wyjątkową sympatią.

– Dziękuję za wszystko, Victorze. Zrobiliście, co było w waszej mocy. – Odwrócił się i razem z Gerdem Riebeekiem ruszył do kutra.

– Chcesz pilotować, Jack? – zapytał Gerd.

Holloway kiwnął głową.

– Właściwie, dlaczego nie?

Gerd usunął się, a Jack usiadł za sterami. Gerd wszedł za nim do pojazdu.

– Gotów – powiedział, zatrzasnąwszy i zabezpieczywszy drzwi.

Holloway włączył układ antygravitacyjny i chwilę grzebał przy kompasie radiowym. Kiedy wyrzwał przez szybę, kanion Yellowsand znajdował się daleko w dole, a z przodu rozciągał się krajobraz za działem wodnym; ściany mniejszych łańcuchów górskich na południu rosły, jedna za drugą.

– Może powinniśmy byli zostać trochę dłużej? – powiedział. – Zaczyna się przejaśniać, na południu widać błękitne niebo.

– Ale co moglibyśmy zrobić, Jack? Policjanci Kompanii są gotowi dać za wygraną, to samo George i Hirohito... Gdyby Kudłaczek tam był, już by go wypatrzyli.

– Myślisz, że nigdy go nie znajdziemy?

– A ty, Jack? Jak sądzisz?

– Och, Gerd, możliwe, że wyszedł na brzeg. Prąd mógł go wyrzucić... – Zaklął, jakby próbował wymazać w ten sposób własne słowa. – Do diabła,

kogo ja próbuję oszukać? Jeśli nie dotarł jeszcze na Północne Mokradła, to tylko i wyłącznie dlatego, że zaczepił się o jakiś podwodny korzeń, a jego ciało przykrywa teraz piasek. To już koniec Kudłaczka. – Urwał, ale po chwili powtórzył: – To już koniec.

Wszyscy byli źli: Głazotłuk, Ten Kulawy, Szukacz Owoców, Druga Ona i Duża Ona – w szczególności Duża Ona. Nawet Dziabak i Nosi Lśniące Rzeczy przestali się odzywać.

– Patrzcie, gdzie zaprowadzić nas Ten Mądry! – pomstowała Duża Ona. – Ten Mądry wmawiać nam, że po lewej ręce słońca dobrze, że zawsze ciepło i zawsze co jeść. Tak mówić Ten Mądry, ale Ten Mądry wcale nie wiedzieć i zaprowadzić nas w to miejsce. Wielka płynąca woda, jak my przejść? Padać i padać deszcz, Ludzie mokre i ciągle zimno. Nie znaleźć nic do jedzenia i wszyscy głodne. Patrzcie na płynącą wodę, jak przejść?

– W takim razie pójść w górę płynącej wody, znaleźć miejsce, by przejść. Deszcz niedługo przestać padać, zawsze kiedyś przestać – odparł Ten Mądry. – To „tak musi” rzecz.

– Ty nic nie wiedzieć – rzucił Ten Kulawy. – To miejsce inne, może zawsze padać?

– Ten Kulawy robić głupie mówienie. Gdyby zawsze padać, woda być wszędzie.

– Tu dużo wody – zauważyła Druga Ona. – Duże, szerokie miejsce wody. Może deszczu wiele?

– Niebo wyglądać jaśniej – wtrącił się Dziabak – i wiać wiatr. Może niedługo przestać.

Szare „mało widać” też powoli zniknęło. Już wkrótce deszcz ustanie, a słońce znów wyjrzy zza chmur. Tylko jak przekroczą tak wielką płynącą wodę? Była szeroka i głęboka, a na dodatek pozbawiona skalnych występów. Tak, to była zła woda, nie do przejścia, a w okolicy płynęło ich znacznie więcej. Czekala ich długa-długa podróż do węższego miejsca.

– Głodny – narzekał Szukacz Owoców. – Nie jeść długo od ostatniej pory ciemności.

Temu Mądrymu też dokuczał głód. Gdyby wędrował w pojedynkę, szedłby dalej, licząc, że po drodze znajdzie coś do jedzenia. Tylko że nikt inny, nawet Dziabak, nie chciałby mu towarzyszyć. Oni musieli jeść teraz.

– Zwierzęta zostawać pod rzeczami, żeby nie moknąć, być tam i się nie ruszać – wyjaśnił. – Być tam, gdzie mocno zarośnięte. Wszyscy iść polować w różne miejsca. Jeśli ktoś coś zabić, przynieść tutaj, tak?

Kiwnęli zgodnie głowami. Zawsze tak robili, gdy z jakichś powodów nie mogli polować całą gromadą. Ten Mądry zastanawiał się przez chwilę. Wolał, żeby Duża Ona, Szukacz Owoców i Głazotłuk nie polowali razem. Cały czas będą robić między sobą kłótliwe mówienie, a po powrocie także do pozostałych.

– Dziabak, ty i Duża Ona iść tam. – Wskazał w kierunku rzeki. – Tylko uważać, żeby nie wpaść w złe miejsca „nie do wyjścia”. Ten Kulawy, ty, Druga Ona i Głazotłuk pójść w górę płynącej wody. Nosi Lśniące Rzeczy i Szukacz Owoców iść ze mną. Wrócić do lasu, a może znaleźć hatta-zosa.

Wszyscy byli zdenerwowani, bo ciągle padał deszcz i dotarli do płynącej wody, której nie mogli przekroczyć, a w brzuchach burczało im z głodu. Winili Tego Mądrego za każde zło. Trudno było przewodzić gromadzie, myślał. Kiedy wszystko szło dobrze, wychwalali go, ale kiedy nie szło, zwracali się przeciw niemu. Mimo to zgodzili się, gdy powiedział, że muszą polować. Potrzebowali kogoś, kto mówiłby im, co mają robić, a nikt inny tego nie potrafił.

U progu nowej ery z tysięcy głośników telewizji na Zaratustrze – w salonach prywatnych domów, w kawiarniach, w barakach na budowach i barach na obszarach wypasu bydła – popłynął łagodny, miły głos:

– W Mallorysporcie z dnia na dzień nasila się świąteczna atmosfera, która towarzyszy przygotowaniom do ugoszczenia honorowych delegatów Zgromadzenia Konstytucyjnego, za tydzień rozpoczynającego pracę.

W ogólnym uniesieniu da się jednak wyczuć nutę smutku, który pada cieniem na nasz entuzjazm. Z obozu KKZ w kanionie Yellowsand dotarły do nas informacje, że poszukiwania Kudłaczka, który prawdopodobnie został porwany przez rwący nurt rzeki Yellowsand, zostały oficjalnie zakończone. Nie ma już żadnej nadziei, że uda się go odnaleźć. Cała planeta opłakuje tę malutką, kochaną osobkę i łączy się w cierpieniu z jego ludzkim przyjacielem i opiekunem, Jackiem Hollowayem.

Żegnaj, Kudłaczku. Byłeś z nami tylko krótką chwilę, ale ludzie z Zaratustry nigdy cię nie zapomną.

18.

– Kusz’wa! – parsknął Kudłaczek z jeszcze większą frustracją. Ponownie zapalił fajkę, ale zdążył pyknąć tylko dwa razy, zanim znów zgasła. W główce został sam popiół. Przedmuchał ją i odłożył na bok. Nie było sensu robić tu dużego ognia; Papiro Vic i jego przyjaciele prowadzili poszukiwania wzdłuż drugiej rzeki, która wypływała z Yellowsand. Teraz nie słyszał nawet szumu kutrów. Będzie musiał iść kawał drogi, a potem wracać...

– Jesu chryse!

Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? Przecież wcale nie musiał tego robić! Wystarczyło zbudować tratwę, tak jak go uczono; ba, jak sam uczył innych! Spłynąłby wówczas aż do miejsca, gdzie ta rzeka łączyła się z drugą rzeką i skierował tratwę na przeciwległy brzeg. Stamtąd było całkiem blisko do Yellowsand, a wzdłuż rzeki trwały poszukiwania. Po zejściu na ląd rozpaliliby wielkie ognisko – od razu ktoś by go zauważył i przyleciał.

Tutaj nie mógł zrobić tratwy. Brzeg rzeki był zbyt stromy i nie dałby rady sam spuścić jej na wodę. W takim razie musi iść wyżej, ale tylko do miejsca, gdzie skarpa będzie niższa, a w pobliżu las z odpowiednimi drzewami, o cienkich, lecz wytrzymałych korzeniach, by zrobić z nich liny i związać kłody. Zanim jednak zacznie budować tratwę, będzie musiał zapolować, by zgromadzić zapasy na czas pracy.

Przysypał ziemią popiół, który wytrząsnął z fajki, wziął siekiere i włócznię, po czym ruszył w górę rzeki. Po jakimś czasie rzeka skręciła lekko na południe, a trochę dalej stała się jeszcze szersza. Zatrzymał się i spojrzął – wielkie jezioro. To dobrze, tam brzeg będzie niższy, a woda nieruchoma. Mógłby budować tratwę tuż przy niej. Słońce wyszło zza

chmur, jeszcze nie gorące, ale coraz jaśniejsze. Poczł się szczęśliwy; budowanie tratwy to wspaniała zabawa.

Nagle zatrzymał się jak wryty i wypowiedział kilka gniewnych słów Dużych, co wcale mu nie pomogło. Przed nim ziemia opadała stromo w klif, wysoki jak niektóre z dużych metalowych domów we Wspaniałym Miejscu. Poniżej widział płaski teren pełen drzew, krzaków i splątanych pnączy, otoczony zewsząd wodą. U podnóża klifu płynął strumień, który rozgałęział na wszystkie strony. Co za „nieto szlach” miejsce, tędy nie przejdzie, będzie musiał iść naokoło, w górę strumienia. Jak daleko ciągnęła się ta rzeka? Tego nie wiedział. Sprawdził jeszcze raz kompas – strumień płynął niemal prosto na północ. Ruszył w drogę.

Słońce świeciło ostro. Na niebie między chmurami, które teraz były białe, a nie szare, pojawiło się wiele niebieskich dziur. Szedł jednostajnym tempem, rozglądając się za rzeczami do jedzenia i raz na jakiś czas zerkając na kompas. W końcu dotarł tam, gdzie strumień płynął po kamieniach – tam kończyło się miejsce zalane wodą.

Przeszedł na drugą stronę i ruszył na zachód. Teraz częściej sprawdzał kompas, żeby pamiętać, w którą stronę jest wielka rzeka. Usłyszał w oddali hałas. Zatrzymał się i przez chwilę wyteżał uszy, aż w końcu uśmiechnął się szczęśliwy, bo to głupek ogryzał korę. Zbliżał się ostrożnie i zobaczył pięć sztuk, wszystkie zajęte ogryzaniem drzew. Wybrał najtłustszą sztukę, wziął zamach i cisnął. Rzut nie był dobry, bo włócznia przeszła na wylot przez brzuch, tuż za miednicą. Gdy biegł w stronę ranionego głupeka, inny, przestraszony, rzucił się wprost na niego. Trafił go między oczy siekierą, a zwierzę padło na miejscu. Nie zamierzał zabijać aż dwóch głupeków, ale przestraszone, czasem atakowały. Dobił tego, którego trafił włócznią, a następnie wyszarpnął broń. Pozostałe głupeki uciekły.

Wypatroszywszy obie sztuki, nadział wątroby, serca i nerki na patyki, które zaostrzył nożem. Następnie rozpałił ognisko. Kiedy rozżarzonych do czerwoności węgli było wystarczająco dużo, oparł patyki o kamienie

i przycisnął je innymi kamieniami. Usiadł pilnować mięsa, żeby się nie spaliło. Było mu bardzo dobrze.

Odciął głowę jednemu z głuptaków, a z truchła zrobił worek, tak jak poprzednio. Drugiego oskórował, pokroił i skrępował zadnie nogi, by wszystko to razem przywiązać do tego, którego zostawił w całości. Spore obciążenie, ale sądził, że sobie poradzi. Ponownie ruszył w drogę. Już nie rozglądał się za rzeczami „dobrymi do jedzenia”; najadł się do syta i miał ze sobą całego głuptaka oraz najsmaczniejsze kawałki drugiego. Nie pokusiłby się nawet na krewetkę, gdyby jakąś zauważył. Skręcił na południe. Widział słońce i już nie potrzebował kompasu.

Nagle zobaczył przed sobą plamę krwi, a potem miejsce, gdzie opadłe liście były rozgrabione i jeszcze więcej krwi z włosami głuptaka. Ktoś musiał iść w stronę rzeki, ciągnąc za sobą martwe zwierzę. To oznaczało, że w okolicy polowała grupa Ludzi, którzy się rozdzielili i postanowili spotkać w innym miejscu. Ludzie, którzy polowali razem, nigdy nie przynosili martwego głuptaka – jedli go tam, gdzie zabili. Szedł jeszcze kawałek za śladami.

– Hejo! – zawołał najgłośniej jak potrafił, ale przypomniał sobie, że było to słowo Dużych, a ci Ludzie nigdy nie widzieli Dużych. Na dodatek robił mówienie z tyłu gardła. – Przyjacieli! – krzyknął już naturalnie, tak jak zawsze to robił, zanim nauczył się inaczej. – My robić razem mówienie?

Nie odpowiedzieli, najwyraźniej znajdowali się zbyt daleko, żeby go usłyszeć. Pośpieszył przed siebie, biegnąc za śladami najszybciej, jak umiał. Po chwili znów krzyknął, ale tym razem ktoś mu odpowiedział. Między drzewami widział już wielką rzekę, a zaraz potem ujrzał na brzegu gromadę Ludzi. Zbliżył się do nich.

Były to dwa samce i samica. Wszyscy mieli drewniane bronie, choć nie takie o kształcie wiosła, jakich Ludzie na południu używali do zabijania krewetek, a ciężkie maczugi, grube z jednej strony i zastrzone z drugiej.

Oprócz tego samica trzymała trzy krótkie patyki. Na ziemi leżał martwy głuptak, z włosami i skórą zdartymi na grzbiecie od ciągnięcia po ziemi.

– Przyjaciół – powitał ich. – Robić przyjaciół, robić mówienie?

– Tak, robić przyjaciół – odpowiedział jeden z samców.

– Skąd ty przyjść? Inni razem z tobą? – zapytał go ten drugi.

Ściągnął z ramienia swój bagaż, całego głuptaka i najlepsze mięso drugiego. Rzucił to obok głuptaka, którego zabiła ta gromada, żeby pokazać, że chce się podzielić i zjeść razem. Odwiązał sznurki i schował je do swojej torby. Pozostali uważnie patrzyli na jego broń i rzeczy, ale nic nie mówili, czekając, aż sam pokaże i wyjaśni.

– Wszystko to nosić? Ty silny – odezwała się samica.

– Nie silny, tylko wiedzieć, jak nosić – odparł. – Ja sam. Przyjść z daleko-daleko miejsca po lewej ręce słońca. Przed cztery ciemne pory wpaść do dużej rzeki. – Przypomnił sobie, że „rzeka” też nie była słowem Kudłaczy. – Do wielkiej-wielkiej płynącej wody – wyjaśnił. – Złapać się drzewa i pływać na wodzie, a woda zabrać mnie daleko do prawej ręki słońca, zanim zejść na ziemię. Teraz wracać do miejsca, gdzie móc przejść. A wy? Skąd przyjść?

Jeden z samców wskazał na północ.

– Iść wiele-wiele dni – powiedział. – Cała gromada razem. – Podniósł dłoń, pokazując pięć palców, a potem opuścił ją i po chwili pokazał jeszcze trzy. Osiem. – Inni teraz polować, jedni w tamtą stronę, drudzy w tamtą. Kiedy wrócić, jeść razem.

– My nazywać go Ten Mądry. – Samica skinęła na tego, który przemawiał. – On Szukacz Owoców – przedstawiła drugiego samca – a ja Nosi Lśniące Rzeczy. – Wyciągnęła naprzód trzy patyki. – Patrzyć, lśniące rzeczy. Piękne.

Z końcówek patyków zwisały rzeczy, które znał – rzeczy, które wylatywały z karabinów Dużych, gdy ci strzelali. Puste naboje. Jeden był

z broni, jakiej używała policja w niebieskich strojach, a dwa pozostałe z karabinu, z jakiego strzelał Papcio Jack.

– Skąd je wziąć? – zapytał podekscytowany. – To rzeczy Dużych. Duzi używać długa rzecz, celować w dwie ręce. Pociągać małe coś na dole i robić huk jak grzmot. Wyrzucać bardzo szybko małe, twarde rzeczy, które zabijać hesh-nazza. Wy wiedzieć, gdzie być Duzi?

– Ty znać Dużych?! – Ten Mądry również nie krył entuzjazmu. – Wiedzieć, gdzie być miejsce Dużych?

– Ja przyjąć z miejsce Dużych, Hoksu-Mitto, Wspaniałe Miejsce. Mieszkać z Dużymi, wszyscy Duzi przyjaciele. – Zaczął wymieniać imiona, począwszy od Papcio Jacka. – Wiele-wiele Kudłaczy żyć z Dużymi, nie znać nazwy, jak wiele. Duzi być dobrzy dla Kudłacze, dawać ładne rzeczy. Dawać tobynamienne, takie jak ta. – Pokazał im swoją torbę. – Dawać nóż, łopatkę do kopania dziur na brzydkie zapachy. I uczyć. – Wyciągnął z torby siekiere i włócznię. – Duzi uczyć, jak robić rzeczy. Sam zrobić, kiedy wyjść z płynącej wody. Duzi dawać też Hoksu-Fusso, Wspaniałe Jedzenie.

Z góry rzeki dolatywały pokrzykiwania. Samiec, który nazywał się Szukacz Owoców, oglądał siekiere Kudłaczka.

– To iść Dziabak i Duża Ona – powiedział.

– Robić wielki pośpiech! Stać się wspaniała rzecz! – krzyczał do nich Ten Mądry.

Z lasu wyszły dwa Kudłacze, które ciągnęły truchło kolejnego głuptaka – samica z taką samą maczugą, jak pozostali i samiec z czymś, co przypominało włócznię zrobioną z patyka. Nosi Lśniące Rzeczy i Szukacz Owoców podbiegli, żeby pomóc, trajkocząc z podniecenia.

– Być ktoś z Miejsce Dużych – mówiła Nosi Lśniące Rzeczy. – On Przyjaciół Dużych. Wiedzieć, co są lśniące rzeczy.

Samiec z włócznią natychmiast zaczął pokrzykiwać do samicy:

– Słyszeć? Duży być dobry, robić przyjaciół z Kudłacze! Tu być ten, co wiedzieć. Ten Mądry cały czas mieć rację.

– Pokazać nam drogę do Miejsce Dużych? – zapytał Ten Mądry. – I Duzi robić z nami przyjaciół?

– Duzi przyjaciele dla wszystkie Kudłacze – stwierdził Kudłaczek, po czym uświadomił sobie, że znów używa słowa Dużych. Tak wiele ich było, słów Dużych, których te Kudłacze nigdy nie słyszały. – Tak Duzi nazywać Ludzi. To oznaczać: „sierść mieć wszędzie”. Duzi nie mieć wiele sierści, tylko na głowie, a czasem twarzy. – Doszedł do wniosku, że nie ma sensu tłumaczyć Kudłaczom, czym są ubrania. Zabrakłoby mu słów. – Duzi bardzo mądrzy, mieć wiele robionych rzeczy. Duzi dobrzy dla wszystkie Kudłacze.

Pojawiły się trzy kolejne Kudłacze z tej gromady. Niosły dwa zarające i dwie krewetki. Wszyscy byli podekscytowani i krzyknęli:

– Patrzyć, dwa zatku!

Krewetki musiały być bardzo nieliczne na tych terenach. Minęło sporo czasu, nim Kudłaczek opowiedział nowym i pozostałym o Dużych i Wspaniałym Miejscu. Pokazał im rzeczy, które nosił w torbie, a także siekiere i włócznię, które sam zrobił. Dziabakowi szczególnie spodobała się włócznia, choć wszyscy uważali, że najwspanialsza jest torba.

– Nosić wiele rzeczy, nie trzymać ciągle w rękach i nie gubić.

Pokazywał im jednak tak wiele cudownych rzeczy, że na niczym nie umieli dłużej się skupić. Też taki był, kiedy po raz pierwszy dotarł do Wspaniałego Miejsca, kiedy Wspaniałe Miejsce było niewielkie i żył tam tylko Papcio Jack.

Wybuchła sprzeczka, a Kudłaczek słuchał i zaczynał rozumieć, jak sprawy miały się w tej gromadzie. Ten Mądry i Dziabak chcieli odszukać Miejsce Dużych, by zrobić z nimi przyjaciół, ale Duża Ona, Szukacz Owoców i Głazotłuk bali się tego pomysłu. Teraz jednak wszyscy brali stronę Tego Mądrego i śmiali się z Dużej Jej, która, choć nie chciała tego

przyznać, też zrozumiała swój błąd. W końcu kucnęli razem w kółku i podawali sobie wszystkie rzeczy, by je oglądać, a Kudłaczek opowiadał im o Dużych i o Wspaniałym Miejscu.

Najbardziej ciekawiło go, w jaki sposób ta grupa wpadła na trop Dużych. Nie było łatwo się tego dowiedzieć, bo wszyscy chcieli mówić jednocześnie, a na dodatek nie opowiadali o rzeczach w takiej kolejności, jak się działy. W końcu tłumaczyć zaczął Ten Mądry, podczas gdy inni milczeli (a w każdym razie próbowali). Powiedział o „zabij grzmocie”, który uśmiercił trzy gotza, o śladach na ziemi, o miejscu, gdzie wylądował kuter i pustych nabojach. W takim razie musieli widzieć Papcio Jacka i Papcio Gerda; to oni polecieli na wycieczkę na północ i wszyscy we Wspaniałym Miejscu słyszeli o ich wyczynie zestrzelenia aż trzech harpii. Potem Kudłaczki opowiedziały także o latającej rzeczy, o kutrze. To musieli być przyjaciele Papcio Vica albo policjanci w niebieskich strojach od Papcio George’a.

Tymczasem słońce opadało coraz niżej, w stronę „miejsca do spania”. Już wkrótce będzie robić kolory na niebie. Mniej więcej w porze „kotaj dinko” wszyscy zdali sobie sprawę, jak bardzo są głodni. Robili mówienie o jedzeniu i znów powstała kłótnia, czy zjeść krewetki od razu, czy zostawić je na sam koniec.

– Najpierw zjeść zatku – stwierdził Dziabak. – Teraz głodni, to smakować dobrze. Zostawić na koniec – nie być głodni i już nie smakować tak dobrze.

Ten Mądry zgodził się z nim, a Duża Ona przytaknęła. Ten Mądry roztrzaskał skorupy i podzielił mięso między wszystkich – jeszcze jeden dowód na to, jak rzadkie były krewetki w tej krainie. Na południu nikt tak nie robił, bo krewetek starczyło dla każdego. Kudłaczek powiedział im o tym i wszyscy wydawali się zdumieni, a Dziabak krzyknął:

– Teraz rozumieć? Ten Mądry od początku mieć rację – Dobra Kraina po lewej stronie słońca, gdzie dużo wszystkiego.

Duża Ona przytaknęła; już nie było potrzeby o nic się kłócić.

Zjadłszy zatkanu – Kudłaczek musiał pamiętać, by posługiwać się tylko słowami Kudłaczy, dopóki nie nauczy innych słów Dużych – mogli przygotować hatta-zosa i ho-todda. Kiedy zobaczyli, jak Kudłaczek skóruje i patroszy swoim wspaniałym nożem, poprosili, by oporządził wszystkie zwierzęta – oni mieli tylko jeden mały, kamienny nóż.

– Jeszcze nie jeść – powiedział im. – Najpierw ugotować.

Musiał im to wytłumaczyć, bo wszyscy byli przerażeni, nawet Ten Mądry. Wiedzieli o ogniu – czasem robiły go pioruny – i myśleli, że ogień jest zły. Kudłaczek przypomniał sobie, jak sam się bał, kiedy po raz pierwszy zobaczył go na ekranie Papcio Jacka. Zdecydował, że, mając tak wiele mięsa, powinni przyrządzić pieczone. Obserwowali, jak Kudłaczek kopie łopatką w ziemi, a potem pomagali mu szukać patyków do nabijania mięsa i nanieść drewna na ogień. Kiedy jednak w górę strzeliły płomienie, wszyscy odskoczyli, gotowi uciekać – tak jak Dużi, którzy przygotowywali się do zrobienia wybuchu.

Gdy jednak mięso się piekło, podchodzili bliżej, podekscytowani wspaniałymi zapachami, a gdy było gotowe i nieco ostygło, wszyscy pojękiwali z zachwytu nad jego smakiem. Kudłaczek wciąż pamiętał pierwsze gotowane mięso, które jadł.

Słońce robiło kolory na zachodzie i wszyscy radowali się, że deszcze minęły. Chcieli szukać miejsca na sen, ale Kudłaczek powiedział im, że tutaj będzie dobrze, bo już nie pada, a ogień, jeśli nie zgaśnie, odstraszy zwierzęta. Uwierzyli mu, choć sami się bali.

Kudłaczek wyciągnął fajkę, nabił ją i zapalił. Pyknął kilka razy i podał ją dalej. Niektórym się podobało, ale inni po pierwszym razie więcej nie chcieli. Ten Mądry chciał jeszcze, tak jak Ten Kulawy, Druga Ona i Nosi Lśniące Rzeczy, a Dziabak i Głazotłuk odmówili. Dorzucili do ognia i długi siedzieli w cieple, rozmawiając.

Kudłaczek potrzebował tej gromady. Z ośmiorgiem Kudłaczy, nie licząc siebie, mogliby zbudować dużą tratwę. Mając tak dużą gromadę, nigdy nie będą głodni. Musiał jednak uważać. Pamiętał, jak trudno było namówić innych, żeby szli do Wspaniałego Miejsca, kiedy wrócił, by zabrać ich ze sobą. Domyślał się, że te Kudłacze będą nalegały, by zrobić go przywódcą, ale on tego nie chciał. Kiedy ktoś nowy przychodził do gromady i próbował przewodzić, zawsze źle się to kończyło. W końcu zdecydował, co musi zrobić.

Wyciągnął z torby gwizdek i przywiązał do niego długi sznurek, taki, by móc zawiesić go na szyi, po czym sprawdził, czy się nie poluzuje. Wstał i podszedł do Tego Mądrego.

– Ty przewodzić gromadzie? – zapytał.

– Tak. Ale jeśli zabrać nas do Miejsce Dużych, ty przewodzić.

– Nie, ja nie chcę. Ty przewodzić. Ja tylko pokazać, jak iść. Inni cię znać, a mnie nie znać. – Wyciągnął do niego gwizdek – Ten Mądry nauczył się już wcześniej, jak go używać – i zawiesił mu go na szyi. – Ty przywódca. Kiedy gromada rozdzielić się, a ty chcę zawołać innych – zagwizdać. Kiedy ktoś się zgubić – zagwizdać.

Ten Mądry dmuchnął mocno, a gwizdek wydał ostry, przenikliwy dźwięk. Duży powiedziała by na taki prezent „dziękuję”, ale Kudłacze nie mówiły takich rzeczy. Wszystkie Kudłacze były dla siebie miłe.

– Wy słyszeć? – zwrócił się do pozostałych Ten Mądry. – Kiedy ja robić taki dźwięk, wszyscy przyjść. W ten sposób się nie zgubić. – Zamyślił się na chwilę. – Ja przewodzić gromadzie, ale Przyjaciel Dużych wiedzieć lepiej, niż Ten Mądry. Przyjaciel Dużych bardzo mądry Ten Mądry. Ten Mądry słuchać, gdy on coś mówić. Wszyscy słuchać, gdy Przyjaciel Dużych mówić i robić, jak on mówi. W ten sposób dotrzeć do Miejsce Dużych. Do Hoksu-Mitto.

19.

Gerd van Riebeek rzucił na ziemię niedopałek papierosa i przygniótł go obcasem. Sto jardów przed nim stał najeżony strzałami, niebiesko-biały karton po Pezeterze Trzy, z którego wysypywał się piasek. Z ziemi dookoła wystawało jednak prawie tyle samo strzał, większość dość blisko celu. Jakaś setka Kudłaczy wydawała się zachwycona tym pokazem umiejętności.

– Kiepsko – powiedział Gerd. – Połowa strzał minęła cel.

– Ale prawie trafiony! – zaprotestował jeden z Kudłaczy.

– Gdy będziesz głodny, „prawie trafionym” się nie najesz. „Prawie trafionego” nie nabijesz na patyk i nie upieczesz nad ogniem.

Kudłacze wybuchły śmiechem, rozbawione boleśnie celną ripostą. Ponad strzelnicą, mniej więcej w połowie odległości do celu, przeleciał ptak o wielkości terrańskiego gołębia. Nagle spadł, ugodzony dwoma strzałami.

– I to się nazywa mieć celną! – zawołał Gerd. – Kto strzelał?

Odezwały się dwa Kudłacze: Superego Ruth i nienazwany jeszcze Kudłacz, który trafił do Hoksu-Mitto kilka tygodni temu. Z pewnością pasowałyby mu przydomek Robin Hood. Gerd spojrział jeszcze raz. Nie, raczej Lady Marion.

Choć starał się skupić na zabawie, ciągle dręczył go niepokój o Jacka Hollowaya. Odkąd wrócił z Yellowsand, przestało mu na czymkolwiek zależeć. Gdyby tylko nie spotkało to Kudłaczka... jakiegokolwiek innego Kudłacza, nawet z jego rodziny – spisałyby go na straty i przez jakiś czas czuł się z tym źle, ale jakoś by to przeboleał. Kudłaczek był jednak wyjątkowy. Był pierwszy, a poza tym miał w sobie coś, czego nie mieli inni, jakąś wyjątkową cechę, która przywiodła go w pojedynkę do Obozu Hollowaya, żeby zaprzyjaźnić się z Dużym. Pancho, Ruth i Ernst Mallin

ciągle pracowali nad niezawodnym testem ilorazu inteligencji dla Kudłaczy, ale uważali, że w kategoriach Kudłaczy Kudłaczek był geniuszem.

I ulubieńcem Papcio Jacka.

A teraz Jack zaczął pić – i nie chodziło o parę drinków przed kolacją i jeden, dwa wieczorem. Na Boga, wlewał w siebie tyle, co Gus Brannhard – a nikt oprócz Gusa Brannharda nie mógł robić tego bezkarnie. Gerd żałował, że nie poleciał z Jackiem do Mallorysportu, ale George Lunt nie wyściubiał nosa z Hoksu-Mitto od procesu Kudłaczy, a on też miał prawo do urlopu. Ktoś musiał zostać, żeby pilnować interesu, więc został Gerd.

Do diabła, jeśli Jack potrzebował pomocy, to mógł się nim zaopiekować George.

– Papcio Gerd! – ktoś wołał. Odwróciwszy się, zobaczył Ko-Ko Jacka. – Papcio Gerd, „mówiący ekran”! Mamsia Łuf mówić, że ktoś w Dużym Domu chce robić mówienie.

– Dobrze, już idę. – Odwrócił się do żołnierza z sił ochrony, który pomagał mu prowadzić szkolenie. – Niech powyciągają strzały. A jeśli ten karton nie rozpadnie się na kawałki, niech strzelą drugą serię. – Ruszył wzniesieniem w stronę baraku laboratoryjnego.

Po drugiej stronie łącza czekał Juan Jimenez z centrum badawczego Kompanii. Gerd odetchnął z ulgą. Jack nie upił się i nie narobił kłopotów.

– Cześć, Gerd. Nic nowego na temat Kudłaczka? – zapytał Jimenez.

– Niestety. Obawiam się, że niczego więcej się nie dowiemy. Słuchaj, Jack jest w mieście, widziałeś się z nim?

– Tak, wczoraj, na wielkim otwarciu Klubu Kudłacza. Ben i Gus chcą, żeby został aż do rozpoczęcia zgromadzenia. Gerd, pytałeś mnie o ekologiczne skutki eksterminacji harpii. Chciałeś, żebym dał ci znać, jeśli wypłyną jakieś nowe informacje.

– Zgadza się. Masz coś ciekawego?

– Tak mi się wydaje. Ci od lasów i wód nie dają mi spokoju. Wiesz, jacy są ci ludzie – na początku, kiedy wychodzą drobne nieprawidłowości,

z nikim się nie konsultują, a gdy pojawia się prawdziwy problem, wymagają ode mnie cudów. Wiesz, gdzie leży Zawijas?

Gerd wiedział: po wewnętrznej stronie łańcucha górskiego w niższej części zachodniego wybrzeża. Nie były to może pustkowia, choć mogłyby za takie uchodzić. Rejon wulkaniczny, geologicznie młody. Sporo skał magmowych pokrytych płytką warstwą ziemi i setki strumyków wijących się na wszystkie strony, choć wszystkie wpadały w końcu z zachodu do Snake River. Zalany w sezonie deszczowym i prawie całkowicie suchy w lecie, nie wpływał wcale albo prawie wcale na gospodarkę wodną pastwisk. Przez ostatnie dziesięć lat – odkąd Kompania rozpoczęła proces zalesiania – sytuacja nieco się poprawiła.

– No dobrze, jeśli chodzi o te piórolistne drzewa – ciągnął Jimenez – do niedawna całkiem nieźle sobie radziły. Utrzymywały odpowiednią wilgotność, zapobiegały erozji, a zwierciadło wód podziemnych podnosiło się w zachodniej części naturalnych pastwisk. Ale potem pojawiły się te cholerne głuptaki i obgryzły połowę młodych drzew. Większość umarła.

Nic dziwnego – już dawno odstrzelili wszystkie harpie na południu kontynentu. Najpierw chcieli przegonić je z terenów wypasu bydła, żeby chronić zwierzęta, a później z lasów na wyżynach, gdzie żerowały na głuptakach. Teraz nadwyżkowe głuptaki uciekały z wyżyn w stronę Zawijas. Na północy ich populację pomagały przetrzebić Kudłacz, ale tak daleko na południu Kudłaczy nie było wcale.

Właściwie dlaczego? Przecież mogłyby być.

– Juan, wpadł mi do głowy pewien pomysł... Mamy tu zgraję Kudłaczy, które świetnie radzą sobie z łukami. Właśnie prowadziłem zajęcia z łucznictwa, kiedy do mnie zadzwoniłeś, sam musiałbyś to zobaczyć. Co powiesz, żebyśmy przetransportowali jakieś pięćdziesiąt maluchów na tereny, gdzie jest najgorzej, i zobaczyli, co z tego wyniknie?

– W takim razie wyślij je do Chesterville – tamtejszy leśnik będzie wiedział, dokąd je posłać. A co ze strzałami?

– A co ma być? Ile trzeba czasu, żeby wyprodukować, powiedzmy, parę tysięcy? Wyślę ci dokładną specyfikację, kiedy będę wiedział, gdzie z nimi lecimy. Drzewce można robić z durastopu, lotki z plastiku, a groty z lekkiej stali. Przecież nie będą tym strzelać do opancerzonych celów, tylko do głuptaków.

– Na ten temat nic nie wiem, to problem czysto produkcyjny.

– No to pogadaj z jakimś specem od produkcji. Grego jest w mieście? Odezwij się do niego, on rozwiąże wszystkie twoje problemy z produkcją.

– Gerd, wielkie dzięki, to może być idealne rozwiązanie. Przenosić Kudłacze transportem powietrznym z miejsca na miejsce i po prostu dawać im wolną rękę. Założę się, że w ciągu dnia ustrzelą pięć razy więcej głuptaków, niż ludzie upolowaliby z karabinami.

– Nie dziękuj, Kompania zrobiła dla nas wiele dobrego. Powiem krótko – hokfuzyna. Oczywiście, spodziewamy się, że na miejscu będziecie im przydzielać takie same racje...

– Jasne, na pewno. Dobra, zadzwonię do Victora. Pewnie jeszcze da ci znać, co i jak.

20.

Ten Mądry był szczęśliwy. Po raz pierwszy, odkąd umarła Sędziwa, nie musiał się cały czas zastanawiać, co powinien robić i co spotka innych, jeśli stanie mu się coś złego. Teraz to przyjaciel Dużych o wszystkim myślał, bo to on przewodził gromadzie. Oczywiście upierał się, żeby przywódcą pozostał Ten Mądry, ale Ten Mądry uważał to za głupstwo.

A może to wcale nie było głupie? Może to była mądrość tak mądra, że widział w niej głupotę, bo sam był głupi? Nigdy wcześniej podobna myśl nie przyszła mu do głowy. Może sam stawał się mądrzejszy, przebywając z Przyjacielem Dużych. Przyjaciel Dużych nie chciał kłótni w gromadzie – to dlatego uznał, że Ten Mądry będzie przewodzić i oddał mu „fisdek”, by pokazać to innym. Ten Mądry odruchowo sięgnął do szyi, sprawdzając, czy wciąż tam jest.

Umościł się wygodniej w suchej, miękkiej trawie i paprociach pod kryjówką z zarośli, którą nauczył ich robić Przyjaciel Dużych. Grzał się w blasku ognia, wsłuchany w wiatr między drzewami, szum niewielkiej płynącej wody i dźwięki jeziora z tyłu. Ogień był wspaniały, jeśli się wiedziało, jak go rozniecić i jak pilnować, by nie zrobił krzywdy. Wcześniej bał się go, tak jak wszyscy Ludzie, jak Kudłacze – koniecznie musiał zapamiętać to słowo – ale kiedy go poznał, stwierdził, że jest dobry. Odstraszał duże zwierzęta, ogrzewał, gdy było zimno i sprawiał, że mięso smakowało znacznie lepiej.

Przede wszystkim jednak dawał światło w ciemnościach. O proszę – tam była Druga Ona, Nosi Lśniące Rzeczy i Szukacz Owoców, przy ogniu, gdzie skręcali korzenie drzewa o długich liściach, żeby zrobić... linę – to było słowo Dużych. Ludzie, Kudłacze, nie mieli na to słowa, bo nigdy tego nie znali. Minęło wiele czasu od zapadnięcia zmroku. Gdyby nie

ogień, dawno by spali. Głazotłuk też pracował, robił kamienie do mocowania na patykach. Dziwne, że nikt o tym wcześniej nie pomyślał – albo o tym, żeby mocować ostro zakończone kamienie na długich kijach i dźgać w ten sposób ofiarę. Dzięki temu zabijanie hatta-zosa – głuptaków – stawało się znacznie łatwiejsze. Dziabak i Ten Kulawy upolowali dziś cztery, licząc od czasu najwyższego słońca (czyli od południa), chociaż wcześniej musieliby iść całą gromadą, żeby zabić tak wiele samymi kamieniami i kijami. Przyjaciel Dużych siedział teraz z Głazotłukiem, przymocowując jeden z tnących kamieni do patyka.

To była czwarta noc, odkąd dotarli w to miejsce. Spali przy ogniu, tam, gdzie spotkali Przyjaciela Dużych. Następnego dnia rano Przyjaciel Dużych dał im Wspaniałe Jedzenie, całe, które miał, czyli po kawałeczku dla każdego. Powiedział im, że we Wspaniałym Miejscu Duzi rozdawali je wszystkim Kudłaczom – tyle, ile każdy chciał. Po tych słowach wszyscy marzyli, żeby dostać się do Wspaniałego Miejsca i zrobić z Dużymi przyjaciół, nawet Duża Ona. Wyruszyliby od razu, lecz Przyjaciel Dużych wytłumaczył im, że muszą zbudować pływającą rzecz, tratwę, i popłynąć nią w dół rzeki na drugi brzeg. Powiedział, że w ten sposób „zwróci im się czas i wysiłek”, jaki włożą w pracę, bo musieliby iść długo-długo do miejsca, gdzie rzeka jest wystarczająco wąska, by przekroczyć ją bez tratwy.

Przyjaciel Dużych poskładał z patyków mały „pokazać jak”, żeby zobaczyli, jak będzie wyglądać to, co mieli zbudować. Wyjaśnił, że nauczył się tego od Dużych, że oni często robili najpierw coś małego, by potem zrobić taką samą rzecz dużą i przydatną. Później przyszli do tego miejsca, a on powiedział, że tu będzie dobrze, by budować tratwę. Dlatego przygotowali obóz. Przyjaciel Dużych pokazał im, jak zrobić schronienie i miejsce na ogień, po czym wykopał długą dziurę na gwila. Zabrali się za wygrzebywanie cienkich korzeni i splatanie z nich liny, a Przyjaciel Dużych rozniecał ogień przy grubych korzeniach drzew, których

potrzebował na tratwę i palił je, dopóki się nie przewróciły. Razem z Głazotłukiem odcięli gałęzie kamieniami do rąbania. Mówili na nie siekiery i zrobili je z twardych kamieni, leżących nieco dalej w górę strumienia, lecz same drzewa były zbyt wielkie, by ciąć je w taki sposób. Przyjaciel Dużych zrobił więcej ogni – zamierzał w ten sposób podzielić drzewa na kłody. To było niebezpieczne, nawet on sam się bał, bo płomienie mogły się szybko rozprzestrzenić i spalić wszystko. Właśnie dlatego Przyjaciel Dużych siedział i patrzył, kiedy inni spali. Później miał obudzić Dziabaka, Dużą Ją i Tego Kulawego, a oni po jakimś czasie mieli obudzić Szukacza Owoców, Drugą Ją i Nosi Lśniące Rzeczy. W ten sposób mogli czuwać aż do świtu.

Po jakimś czasie Szukacz Owoców, Nosi Lśniące Rzeczy i Druga Ona skończyli splatać linę. Zwinęli ją, po czym wrócili do schronienia, by się przespać. Głazotłuk pracował nad obuchem siekiery, a Przyjaciel Dużych kończył zakładać na kij ociosany kamień. Podszedł z narzędziem do stosu drewna, by je wypróbować, a Głazotłuk patrzył. Po chwili obaj się śmiali, tak było dobre. Wtedy Przyjaciel Dużych przyszedł z Głazotłukiem do schronienia.

– Pokazać lśniący kamień – poprosił Głazotłuk.

Przyjaciel Dużych wyciągnął z torby lśniący kamień i potarł go w dłoniach. Cała trójka nachyliła się, osłaniając go przed blaskiem płomieni. Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego, choć Przyjaciel Dużych twierdził, że Duzi znają takie kamienie, a Papiro Vic wydobył ich wiele z twardych skał. Przyjaciel Dużych znalazł go, rozbiwszy skałę w górze strumienia. Lśniący kamyk znajdował się w środku i miał kształt nerki zarająca. Wyglądał jak każdy inny kamień, ale potarty, nabierał innej barwy; świecił jak węgle w ognisku, mimo że nie był gorący. To była „nikt nie wiedzieć” rzecz; nawet Przyjaciel Dużych nie miał pojęcia, jak to możliwe.

– Kiedyś Papcio Jack kopać takie kamienie – wyjaśnił Przyjaciół Dużych – ale wtedy inni Duzi usłyszeć o Kudłaczach i powiedzieć: Papcio Jack nie robić nic innego, tylko uczyć i opiekować się wszystkimi Kudłaczami.

– Opowiedzieć więcej o Papcio Jacku. On być Ten Mądry dla wszystkich Dużych?

– Nie, to być Papcio Ben – odparł. – Papcio Ben być Ten Mądry w Zondzie, Pacio Vic w Komypanii. To też rzecz Dużych, tak jak Zond. Papcio Jack być Ten Mądry dla Kudłaczy. Wszyscy Duzi słuchać Papcio Jacka w sprawach Kudłaczy.

Przyjaciół Dużych długo opowiadał o Papcio Jacku, Papcio Vicu, Papcio Benie i Pacio Gerdzie, o Mamsi Łuf, Papcio George’u, Dużych w niebieskich strojach, o Wspaniałym Miejscu i o Dużym Domu. Wszystko to było cudowne, lecz trudne do zrozumienia, bo niektórych rzeczy nie dało się opisać słowami Kudłaczy. Właśnie dlatego, wytłumaczył Przyjaciół Dużych, musieli poznać jak najwięcej słów Dużych. Musieli się także nauczyć robić mówienie z tyłu gardła, by Duzi ich słyszeli. Zaczęli ćwiczyć od razu.

Po jakimś czasie zmęczony Głazotłuk położył się spać. Przyjaciół Dużych wyciągnął z torby fajkę i tytoń, żeby zapalić. Pykali z niej po kolei. Na niebie pojawiło się jedno z dwóch światła ciemnej pory – Duzi nazywali je księżycami. Mieli nazwy dla obydwóch: na ten wołali Zerksees, a na drugi, którego teraz nie było widać, Dajus. Duzi sporo o nich wiedzieli – były wielkie i znajdowały się bardzo daleko, choć latali na nie w swoich pojazdach. Przyjaciół Dużych opowiedział, że sam podróżował kiedyś na Zerkseesa, który teraz wyglądał na taki malutki. Trudno było w to uwierzyć, ale Przyjaciół Dużych zarzekał się, że to prawda.

– Naprawdę mówić jak jest? Nie robić mówienia, jak nie być?

Przyjaciół Dużych sprawiał wrażenie zaskoczonego tym pytaniem.

– Nikt nie robić mówienia tak, jak nie być – odpowiedział.

– Ja raz robić takie mówienie. – Ten Mądry ucieszył się, że wreszcie może powiedzieć coś, o czym Przyjaciel Dużych nie miał pojęcia. – Raz ostrzec innych, że widzieć hesh-nazza, piekielniaka, a wcale nie być piekielniak...

Wy tłumaczył, że chciał wtedy znaleźć Miejsce Dużych, ale inni woleli zostać.

– Więc ja powiedzieć innym, że widzieć piekielniaka, że piekielniak gonić. Wszyscy się wystraszyć. Nie być wcale piekielniak, ale inni to nie wiedzieć. Porzucić miejsce i robić szybkie bieganie na szczyt góry, żeby uciec od piekielniaka. Ale piekielniak to wcale nie być. Zejść z drugiej strony góry i już tam nigdy nie wrócić.

Przyjaciel Dużych spojrział na Tego Mądrego w zdumieniu. Pomimo całej swej wiedzy, nigdy nie przyszło mu do głowy, by zrobić coś takiego. Zaśmiał się.

– Ty naprawdę mądry – stwierdził. – Ja coś takiego nie wymyślić. Ale to prawda, że ja być na Zerkseesie. Duży zabrać mnie tam, żeby się schować, gdy inni Duży robić kłopoty.

Próbował opowiedzieć Temu Mądemu o Zerkseesie, ale nie było to łatwe, bo nie znał właściwych słów. Nieco później obaj położyli się i usnęli.

Zdawało się, że minęła tylko chwila, gdy Druga Ona zaczęła nim potrząsać, krzycząc:

– Ten Mądry, budzić się! Wszędzie ogień, wszystko palić!

Kopnąwszy Przyjaciela Dużych, który spał obok, Ten Mądry szybko usiadł. Było tak, jak mówiła Druga Ona: wszędzie ogień i blask większy nawet niż wtedy, gdy na niebie świeciły oba światła nocy. W powietrze niesły się głośne trzaski i zawodzenie płomieni, z tamtej strony, gdzie opalali drzewa, żeby podzielić je na kłody. Ogień palił wszystkie suche rzeczy na ziemi, zajmowały się nawet niewielkie krzaki. Szukacz Owoców i Nosi Lśniące Rzeczy próbowali zdusić płomienie gałęziami, ale było ich

zbyt dużo i rozprzestrzeniały się na wszystkie strony. Wtedy Ten Mądry, przypomniawszy sobie o gwizdku, dmuchnął w niego z całych sił. Przyjaciel Dużych już nie spał – kopał Dziabaka, wykrzykując śmiesznie brzmiące słowa Dużych, których Ten Mądry jeszcze nie znał. Po chwili wszyscy byli na nogach.

Dziabak chwycił włócznię i już chciał się rzucić w stronę ognia, ale Przyjaciel Dużych złapał go za rękę.

– Nie zabić ogień włócznią – rzucił. – Zabić ogień, zabierając mu suche rzeczy. Wszyscy, przestać! Nic nie robić, teraz pomyśleć, co zrobić najpierw.

Wracali Nosi Lśniące Rzeczy i Szukacz Owoców. Szukacz Owoców poklepywał Nosi Lśniące Rzeczy po plecach, bo jej sierść zajęła się ogniem.

– Ogień za wielki, już go nie zabić! – zawołała Nosi Lśniące Rzeczy.

Przyjaciel Dużych krzyczał, żeby wszyscy byli cicho. Podniósł siekiere i przeszedł się kawałek, ale szybko przybiegł do pozostałych.

– Nie zgasić, za późno – stwierdził. – Uciekać tam, gdzie ogień nie palić. Ogień zawsze iść w stronę, gdzie wieje wiatr. I nigdy nie palić wody. Iść do wody i spróbować ominąć ogień, wtedy być bezpieczni.

– Ale jeśli teraz pójść, ogień spalić dobre „miejsce do spania”. Spalić linę. Długo i ciężko pracować, żeby ją zrobić – ktoś narzekał.

– Chcieć, żeby ogień spalić też ciebie? – zapytał Ten Mądry. – Jeśli nie, nie robić teraz mówienia. Robić tylko to, co mówić Przyjaciel Dużych. – Znów dmuchnął w gwizdek i wszyscy umilkli. – Co teraz? – zwrócił się do Przyjaciela Dużych.

– Zabrać włócznię i siekiery – odparł Przyjaciel Dużych. Namacał torbę, by sprawdzić, czy są w niej wszystkie rzeczy i czy jest szczelnie zamknięta. – Iść w wodę najdalej, jak można. Tam czekać, aż ogień się spalić. Potem wyjść, gdzie ognia nie być, a wtedy bezpieczni.

Nosi Lśniące Rzeczy podniosła trzy patyki z nabojami i złapała Przyjaciela Dużych za rękę.

– Schować do torby – poprosiła. – Wtedy się nie zgubić.

Ściągnęła je z patyków, a Przyjaciel Dużych włożył do torby. Następnie podniósł długi kawałek liny i obwiązał się nim w pasie, po czym podał reszcie.

– Wszyscy, zawiązać wokół pasa – powiedział. – Iść tak do wody. Jeśli ktoś wpaść w głębokie miejsce, razem go wyciągnąć.

Nikt nie zdawał sobie sprawy, że można tak zrobić – lina służyła do łączenia kłód, nie pomyśleli, by używać jej w inny sposób. Nawet on, którego inni nazywali Tym Mądrym, nie wpadł na taki pomysł. Kiedy skończyli się wiązać, ogień był bardzo duży. Wspiął się na martwe drzewo ogryzione przez głuptaki i wkrótce wszystkie gałęzie płonęły, a od nich zajmowały się gałęzie sąsiedniego drzewa. Wszystkie suche rzeczy na ziemi wzdłuż jeziora i za nim stanęły w ogniu, nic się jednak nie paliło z kierunku, z którego wiał wiatr.

Niosąc włócznie i siekiery, weszli razem do wody, aż sięgała im niemal do szyi. Stali nieruchomo, patrząc w stronę ognia, który dotarł do ich schronienia. Paprocie i sucha trawa w „miejscu do spania” strzeliły jasnymi płomieniami, po nich krzak, a po jakimś czasie zapłonęło drzewce łączące konstrukcję i wszystko się zawaliło. Część gromady zawyła z żalu. To było takie dobre „miejscu do spania”, najlepsze jakie kiedykolwiek zrobili. Przyjaciel Dużych mówił:

– Kusz’wa nieto-szlach! Cała dobra lina, skóry głuptaków, kłody, wszystko spalić. Teraz trzeba robić wszystko od nowa.

Czekali w wodzie długi czas. Nawet tam, gdzie stali, robiło się gorąco. Musieli brać w gardło duże hausty powietrza i zanurzać się pod wodę, by wytrzymać tam najdłużej, jak tylko się dało. Powietrze było rozpalone i pełne dymu, z góry spadały kawałki rozżarzonego drewna. Teraz płonęły już całe drzewa, każde inaczej, w zależności od rodzaju. Drzewa

długolistne zajmowały się szybko, liście spalały w mgnieniu oka, po czym ogień gasł, by za chwilę znów rozbłysnąć na niektórych gałęziach. Ale niebieskie drzewa okrągłolistne z początku nie chciały palić się wcale, aż nagle, po jakimś czasie, całe buchały wysokimi płomieniami.

W końcu pożar w pobliżu wody zaczął przygasać, choć drzewa wciąż się paliły. Paliło się też daleko w kierunku, gdzie wiał wiatr. Przyjaciel Dużych przestrzegł, że ziemia będzie gorąca, więc szli brodem do miejsca, gdzie mała płynąca woda wpadała do jeziora. Ponieważ ogień nie przeniósł się na drugi brzeg, przeszli przez strumień. Przyjaciel Dużych pomógł im rozwiązać linę i zawinął ją wokół drzewca włóczni, którą nieśli Duża Ona i Ten Kulawy.

Zwierzęta były w lesie, wszystkie przestraszone od ognia. Podeszli tak blisko takku – zaranifera – że mogliby go upolować, ale co z tego? Mięso trzeba było nieść, a nikt nie wiedział, czy nie będą musieli uciekać szybko przed ogniem. Strumień zakręcał i teraz płynął z kierunku, gdzie ciągle się paliło. Co więcej, nieco dalej ogień przeniósł się na drugi brzeg i wszyscy się wystraszyli, bo Przyjaciel Dużych mówił, że tak nie będzie. Przyjaciel Dużych zrozumiał, jak do tego doszło – wiatr przeniósł płonące rzeczy na drugą stronę i powstał nowy pożar.

– Iść daleko stąd – zdecydował Przyjaciel Dużych. – Wkrótce wszędzie być ogień. Iść przez las, tak, by mieć wiatr cały czas w twarz.

Wszyscy rzucili się do biegu. Krzaki rosły gęsto. Po jakimś czasie Ten Mądry zauważył, że Ten Kulawy ucieka ze swoją włócznią i siekierą, a Duża Ona tylko z siekierą. Przyjaciel Dużych będzie zły, kiedy się dowie, że zgubili włócznię, na której zawiązał linę. Zarośla były tu jeszcze gęstsze, a na dodatek rosły między nimi długie, cienkie pnącza. Pnącza będą dobre, by związać razem kłody na tratwę, pomyślał Ten Mądry. Postara się o tym pamiętać, gdy zaczną budować nową. Chciał powiedzieć o tym Przyjacielowi Dużych, kiedy się jednak zatrzymali, Przyjaciel Dużych

mówił zabawne „nic nie znaczyć” słowa Dużych. Może się bał? To było złe miejsce, kiedy ogień płonął tak blisko.

Z początku Zerksees, który tej nocy był więcej niż w połowie pełny, znajdował się po lewej stronie, gdy biegli, i nieco nad nimi. Potem Ten Mądry zauważył, że jest na wprost, lecz tylko trochę wyżej. Powiedział o tym Przyjacielowi Dużych i Dziabakowi. Zatrzymali się, a Przyjaciel Dużych wyjął z torby „wskazywać północ” rzecz i zrobił światło swoim zapalaczem. Z jego ust wyrwało się jeszcze jedno słowo Dużych.

– Wiatr się zmienić. Może zmienić jeszcze mocniej i przynieść do nas ogień... Trzeba szybko uciekać.

Brnęli przez zarośla, między drzewami i splątanymi pnączami. Po jakimś czasie dotarli do dużej płynącej wody, nie tak wielkiej jak ta, która robiła szerokie jeziora, ale wciąż dużej. Tędy przejść nie mogli. Wybuchła sprzeczka, co dalej. Pożar rozprzestrzenił się wzdłuż rzeki, jeśli jednak pójdą w dół, dotrą do miejsca, gdzie rzeka robiła wielkie jezioro, a stamtąd trudno będzie się wydostać. Ten Mądry spojrział na nieodległy pożar i cieszył się, że nie widzi jeszcze żółtych płomieni, ale niebo z tamtej strony zrobiło się całe jasnoróżowe. Wiatr wciąż wiał w stronę ognia, więc zdecydowali się iść w dół rzeki.

Wkrótce zarośla przerzedziły się i wybiegli między wysokie drzewa o długich liściach. Wszędzie były zwierzęta – uciekały przez las, wystraszone. Zobaczyli przed sobą blask Zerkseesa na powierzchni jeziora.

– Nie iść tą drogą – rzucił ktoś, Ten Mądry albo Głazotłuk.

– Płynącej wody też nie przejść – dodała Duża Ona. – Tam zbyt głęboko.

– Zrobić tratwę – stwierdził Przyjaciel Dużych. – Małą tratwę. Wziąć duże gałęzie i związać razem. Niektórzy płynąć na tratwie, inni w wodzie. Kto mieć linę?

Nikt nie miał liny, bo Ten Kulawy i Duża Ona porzucili ją, by szybciej biec. Przyjaciel Dużych powiedział w złości jedno z „nic nie znaczących” słów Dużych i zamyślił się na chwilę.

– Pójść wzdłuż jeziora, tędy. – Wskazał na wschód, gdzie ponad horyzont wychyliła się cienka krawędź Dajusa. – Wrócić tam, gdzie zacząć się pożar. Może już wszystko martwe, może ziemia chłodna. Tam być bezpieczni.

Szukacz Owoców burknął, że jest głodny. Kiedy to powiedział, nagle inni też poczuli się głodni. Znaleźli głuptaka, który był tak przerażony, że Dziabak po prostu podszedł i zabił go włócznią. Przyjaciel Dużych wyciągnął nóż, oskórował martwe zwierzę i pociął na kawałki. Nie zrobili ognia, by go upiec. Nikt, nawet Przyjaciel Dużych, nie chciał tu robić ognia ani czekać, aż mięso będzie gotowe. Zjedli je na surowo.

Podczas posiłku Ten Mądry wyczuł dym, ale pomyślał, że to stary zapach w jego sierści. Po chwili jednak wyczuła go też Nosi Lśniące Rzeczy, a po niej Głazotłuk. Przesłali jeść, żeby się rozejrzeć. Ogień był znacznie jaśniejszy – teraz widzieli żółte płomienie na tle różowego blasku ponad drzewami.

– Jesu chryse, kusz’wa nieto-szlach! – parsknął Przyjaciel Dużych. – Wiatr znowu się zmienić. Ogień iść w naszą stronę. Wiatr wiać ze strony ognia i nieść go tutaj!

21.

Jack Holloway wiozł z Mallorysportu gigantycznego kaca, ale nawet bez niego czułby się jak zbity pies. Podróżowanie na wschód zawsze go wykańczało – trzy godziny podróży, a do tego trzygodzinna różnica stref czasowych. Trzeba było wstać przed świtem, żeby zdążyć na party. Skrzywił się na myśl o kolejnych drinkach. W tej chwili równie ochoczo wypiłby trutkę na szczury.

Odkąd Kudłaczek... No, wykrztuś to wreszcie. Odkąd Kudłaczek utonął, Jack pił zdecydowanie za dużo – i nie wynikło z tego absolutnie nic dobrego. Gdy w końcu wytrzeźwiał, poczuł się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. Niech to szlag, przecież nie pierwszy raz stracił przyjaciela; spotkało go to wcześniej na Thorze, Loki, Sheshy, Mimirze... Wszędzie oprócz Terry, bo na Terze ludzie nie ginęli – jeśli już, to padali martwi na serce na polach golfowych. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego... A niech to, Kudłaczek był dla niego najważniejszą istotą w całym wszechświecie.

W głowie czuł bolesne łupanie i chrobotanie, jakby pracował w niej stary, popsuty silnik. Za dużo drinków przed kolacją w Izbie Rządowej, a później za dużo wieczorem, z całym tym cholernym tłumem. A przyjęcie z okazji otwarcia Klubu Kudłacza? Musiał wlać w siebie naprawdę dużo alkoholu, żeby nie myśleć o tym, jak bardzo podobałoby się tam Kudłaczkowi.

Chcieli postawić specjalną tablicę pamiątkową, osiem stóp na dziesięć – złoty Kudłaczek ze srebrnym tasakiem na ciemnobrązowym tle. Jack widział szkic, całość będzie się prezentować niewiarygodnie, naprawdę wyglądała jak ten pocieszny maluch.

Kiedy w końcu stwierdził, że czas wracać do domu, Ben i Gus przekonali go, by został do bankietu dla delegatów, a on próbował zabawić towarzystwo. Boże, co to była za zbieranina! Choć wszyscy opowiadali się za zlinchowaniem Hugo Ingermanna...

Po wylocie z Mallorysportu siedzący obok George Lunt próbował zagaić rozmowę, ale szybko dał za wygraną. Holloway wolał odpocząć i kilka razy musiał usnąć w fotelu. Za każdym razem, gdy się budził, głowa bolała go jeszcze bardziej, a w ustach miał coraz gorszy posmak. Nie spał, gdy przelatywali nad Wielką Czarną Wodą. Żadnego dymu, żadnych znaków, by cokolwiek się tam jeszcze działo. Grego przeniósł wszystko do Yellowsand i ściągał ludzi z Alfya, Delty i Gammy. Opuszczając Izbę Rządową, Jack widział, jak z terminalu lotniczego w Mallorysporcie startowała „Skoczka”, jeden z ogromnych antygrawitacyjnych frachtowców Kompanii, kierujący się w stronę Yellowsand.

Nie zauważył nad Cold Creek żadnej aktywności w miejscu, gdzie zwykle organizowano kursy budowania tratw. W samym obozie też nie było zbyt wielu Kudłaczy, choć ktoś prowadził małe zajęcia z łucznictwa. Kiedy wysiadł z pojazdu, powitał go Gerd van Riebeek. Uścisnęli sobie dłonie. George przeprosił ich i ruszył do kwatery głównej ZSOA. Chciał zerknąć na swoje biurko – nie był nastawiony zbyt optymistycznie do całej sterty zaległości, jaka niewątpliwie nawarstwiła się podczas jego wyjazdu.

Gerd popełnił gafę, pytając Hollowaya o samopoczucie.

– Mam potężnego kaca i kilka mniejszych kaców, które właśnie weszły w wiek reprodukcyjny. Czy można tu gdzieś dostać gorącą kawę?

Niemądre pytanie – znajdowali się w biurze, a każde biuro funkcjonowało wyłącznie dzięki hektolitrom kawy. Gdy weszli do pokoju Hollowaya, Gerd zadzwonił po napoje. Rzecz jasna, na biurku piętrzył się stos papierów sięgający prawie do sufitu. Jack skłamałby, gdyby powiedział, że go to zaskoczyło. Odwiesił swój kapelusz, po czym obaj usiedli.

– Nie widziałem na zewnątrz wielkich tłumów – zaczął Jack.

– Ubyło nam sto pięćdziesiąt Kudłaczy – wyjaśnił Gerd. – Są w okolicach Zawijas.

– Dobry Boże! – Holloway doskonale wiedział, gdzie leży Zawijas. – Co sto pięćdziesiąt maluchów robi w tym przeklętym miejscu?

Gerd uśmiechnął się szeroko.

– Pracują dla KKZ, jak wszyscy inni. Polują z łukami i strzałami na głuptaki. Kompania ma problem z plagą głuptaków, które zjadają młode drzewa piórolistne posadzone w rejonie zlewiska. Trzy dni temu wysłałem leśnikowi z Chesterville pięćdziesiąt naszych Kudłaczy. Wczoraj rano okazało się, że ustrzeliły już ponad dwieście sztuk, więc leśnik poprosił mnie o kolejną setkę. Są z nimi kapitan Knabber i pięciu żołnierzy z sił ochrony. W drugim rzucie poleciał Pancho, żeby im się przyjrzeć. Zrzucają Kudłacze w drużynach po sześć osobników, wyposażają i transportują z miejsca na miejsce frachtolotami. Wieczorem zabierają je do obozów, które rozbili w okolicy.

– A niech mnie szlag! – Pomimo bólu głowy, który kawa dopiero zaczynała łagodzić, Jack zaśmiał się głośno. – Dam sobie rękę uciąć, że świetnie się bawią. To twój pomysł?

– Tak. Juan Jimenez powiedział mi o problemie z głuptakami. Martwiłem się, jak eksterminacja harpii wpłynie na ekosystem. Okazało się, że harpie skutecznie ograniczały liczebność głuptaków, tylko że teraz nie ma tam ani jednej sztuki. Doszedłem do wniosku, że Kudłacze poradzą sobie równie dobrze – w końcu to dość oczywiste, że człowiek ze strzelbą jest najwydajniejszym drapieżnikiem. Kudłacze z łukami i strzałami chyba wcale mu nie ustępują.

– Niedługo i dla nich będziemy mieć broń palną. Mart Burgess skończył pracę nad egzemplarzami dla Allana i Natty’ego – szkoda, że nie strzelam tak dobrze, jak Kudłacze – i już rozpoczął produkcję prototypów i modeli dla Kompanii. Chcą z tym przejść na masówkę.

– O jakiej broni rozmawiamy? Będzie bezpieczna dla Kudłaczy?

– Tak, to karabiny jednostrzałowe. Burgess skopiował mechanizm ze starej książki. To jakaś wersja karabinów remingtona, używanych dość powszechnie w pierwszym wieku Ery Przedatomowej.

– Być może znaleźliśmy odpowiedź na twoje zmartwienia, Jack – powiedział Gerd. – Zależało ci na jakimś zajęciu dla Kudłaczy, żeby nie zamieniły się w bandę obiboków. Zrobimy z nich myśliwych do zwalczania szkodników.

Sam pomysł kolonii Kudłaczy na innych kontynentach... Na Gammie żył nornik, który doprowadzał farmerów do szaleństwa, a oprócz tego sporo krewetek ziemnych rozsianych po całej planecie. Kudłacze uwielbiały polować.

Na kontynencie Delta harpie zostały całkowicie wytępione. Musiały się jednak czymś żywić – jakimś gatunkiem, który teraz szybko się mnożył i wywierał destrukcyjny wpływ na ekosystem. Przyniesiono kolejną kawę. Jack i Gerd rozmawiali o tym jeszcze przez jakiś czas. W końcu Gerd musiał wyjść, a Jack połączył się z leśnikiem w Chesterville, by zamienić kilka słów, a później z Pancho Ybarrą, którego zlokalizował w jednym z tymczasowych obozów Kudłaczy. Po zakończeniu rozmów wziął się za nagromadzoną robotę papierkową.

Ciągle pracował, kiedy odezwał się jego ekran – dzwoniła jakaś dziewczyna z centrum informacyjnego.

– Panie Holloway, właśnie odebraliśmy zgłoszenie z kanionu Yellowsand – zaczęła.

Holloway poczuł silny ucisk w piersi.

Pewnie chodziło o rutynową sprawę, choć, być może... Wymógł na sobie spokój.

– Słucham.

– Załoga „Skoczki”, frachtowca lecącego z Mallorysportu, zgłosiła rozległy pożar lasu przy rzece Lake-Chain. Przesłali nam kilka zdjęć, a pan

McGinnis, inspektor generalny Kompanii, wysłał na miejsce łódź zwiadowczą, żeby to sprawdzić. Pan McGinnis uznał jednak, że powinniśmy pana poinformować, bo teren leży w obrębie Rezerwatu Kudłaczy. W tej chwili pan McGinnis dzwoni do pana Grego po dalsze instrukcje.

– Dobrze, gdzie to się stało?

Dziewczyna podała mu koordynaty, a Holloway zapisał je i poprosił, by chwilę zaczekała. Włączył monitor, po czym wybrał na konsolcie kategorię map i odszukał najaktualniejszą, poprawioną mapę obszaru wzdłuż rzeki Lake-Chain. W końcu ześrodkował celowniki na odpowiednich koordynatach i włączył powiększenie.

Nietypowe miejsce na pożar lasu, uznał. W tamtej okolicy od dziesięciu dni nie zanotowano żadnych burz, czyli od chwili zniknięcia Kudłaczka. Oczywiście, ogień mógł się tlić przez cały ten czas, tylko że...

– Proszę pokazać zdjęcia.

– Chwileczkę.

Istniało całe mnóstwo potencjalnych przyczyn pożaru w lesie, ale wszystkie były bardzo mało prawdopodobne, jeśli nie liczyć dwóch: burzy i nieuwagi. Uuwagi człowieka – nie, poprawił się, istoty myślącej, a jedną z najczęstszych przyczyn zaprószenia ognia było palenie. Kudłaczek palił fajkę, nosił ją razem z tytoniem i zapalniczką w torbie.

W kanionie musiało być sporo drzew, wyrwanych z korzeniami podczas operacji wydobywczych. Załóżmy, że Kudłaczek złapał się czegoś i utrzymał na powierzchni rzeki. Dalej, załóżmy, że nie utonął i wydostał się na brzeg...

Holloway wyłączył powiększenie i rozciągnął obraz. Załóżmy, że woda poniosła Kudłaczka aż do ujścia rzeki Lake-Chain, na lewy brzeg. Z pewnością postanowiłby wrócić pieszo. Co pomyślałby, gdyby dotarł do miejsca, gdzie Lake-Chain łączyła się z północy z rzeką Yellowsand, która zakręcała ze wschodu?

A co pomyślałaby każda osoba, która nie znała terenu? Że Lake-Chain to Yellowsand, i kontynuowałaby marsz. Oczywiście, Kudłaczek miał kompas, ale raczej nie mógł sprawdzać jego wskazań, kiedy trzymał się pnia drzewa w rzece. Kompas pokazywał, gdzie jest północ, ale nie mógł mu powiedzieć, jaką drogę przebył, odkąd spoglądał na jego tarczę po raz ostatni.

– Mam już pierwsze zdjęcia, panie Holloway.

– Nie będą potrzebne, obejrzę je później. Teraz proszę skontaktować się z Gerdem van Riebeekiem i George'em Luntem i powiedzieć im, żeby zgłosili się do mnie w trybie pilnym. Niech George Lunt ogłosi stan wyjątkowy. A później proszę ściągnąć tu Victora Grego.

Sięgnął po fajkę i zapalniczkę, zastanawiając się, gdzie nagle zniknął jego kac.

– I jeszcze jedno – dodał. – Gdy tylko znajdzie pani chwilę, proszę zadzwonić do Sandry Glenn z Klubu Kudłacza i powiedzieć jej, żeby wstrzymała prace nad tablicą pamiątkową. Niewykluczone, że trochę się z tym pośpieszyliśmy.

22.

Kudłaczka piekły oczy. W gardle go drapało, a usta miał spierzchnięte. W wielu miejscach jego sierść była spalona, na plecach boleśnie się poparzył. Ucierpiałby jeszcze bardziej, gdyby ktoś w porę nie zdusił ognia. Był brudny, oblepiony błotem, czarny od sadzy. Wszyscy byli. Właśnie wyszli z mułu strumienia i stali na brzegu, rozglądając się.

W okolicy nie została się choćby najmniejsza kępka zieleni; otaczała ich czerń sprószona szarym popiołem i spowita siwym dymem roślin, które wciąż płonęły. Wiele drzew ciągle stało, ale wszystkie poczerniały od dymu i liżących je płomieni. Choć na niebo wyszło słońce, niewiele było widać. Od wszechobecnego dymu panował czerwony półmrok.

Stali lekko ściśnięci obok strumienia. Nikt się nie odzywał. Ten Kulawy teraz naprawdę kulał. Poparzył sobie stopy i utykał z bólu, opierając się na włóczni. Ten Mądry też ucierpiał, uderzyła go złamana gałąź drzewa, które runęło obok niego. Wraz z brudem i sadzą sierść sklejała mu jego własna krew. Inni też się poranili, biegnąc przez zarośla i poobijali, upadając, lecz na szczęście rany nie wyglądały groźnie. Stracili jednak większość swoich rzeczy.

Kudłaczek wciąż miał torbę, nóż, łopatkę i siekiere. Ten Mądry zdołał uratować siekiere i gwizdek. Duża Ona i Głazotłuk ściskali w dłoniach siekiery, a Dziabak, Ten Kulawy i Druga Ona – włócznie. Pozostałą broń zabrała woda, bo musieli płynąć przez rzekę wpadającą do jeziora, kiedy wiatr zmienił kierunek i poniósł w ich stronę ogień.

– Co teraz zrobić? – zapytał Dziabak. – Tam nie wracać, bo wciąż duży ogień. W tamtą stronę też ogień. – Wskazał w górę strumienia. – I tam też nie iść, bo ziemia gorąca, wszyscy poparzyć sobie stopy jak Ten Kulawy.

Kudłaczek zawsze zastanawiał się, dlaczego Dużi nosili na stopach te sztywne, twarde rzeczy. Teraz już wiedział – dzięki nim mogli chodzić wszędzie tam, gdzie chcieli – nawet po ziemi, która ciągle dymiła. Żałował, że nie zabrał ze sobą skór głuptaków i zarajaków. Choć i tak zgubiliby je w wodzie razem z resztą rzeczy.

– Przyjaciół Dużych wiedzieć dużo o ogniu – stwierdził Głazotłuk. – My nie wiedzieć. Przyjaciół Dużych zdecydować, co robić.

Tylko że Kudłaczek sam nie wiedział, co dalej. Musiał zrobić dużo myślenia, przypomnieć sobie wszystko, co mówili mu Papcio Jack, Papcio Gerd, Papcio George i inni; wszystko, co zobaczył i czego się nauczył, odkąd wybuchł ten pożar.

Ogień nie mógł żyć tam, gdzie nie było nic do palenia, na nagiej ziemi albo na wodzie. Nie chwycił się mokrych rzeczy, ale sprawiał, że robiły się suche, i wtedy zaczynały płonąć. To jednak nie sam ogień, lecz ciepło, które wytwarzał. Kudłaczek nie rozumiał tego, bo ciepło nie było rzeczą – było sposobem, w jaki są różne rzeczy. Papcio Jack kiedyś mu to tłumaczył. Jeszcze dobrze tego nie rozumiał, ale pamiętał, że ogień robi ciepło.

Ogień nie mógł żyć bez powietrza. Czym jest powietrze, tego też nie był pewien, ale znajdowało się wszędzie, a w ruchu zamieniało się we wiatr. Ogień zawsze płonął w tę samą stronę, co wiał wiatr – to była prawda, choć widział też ognie, małe i powolne, które płonęły pod wiatr. Większość pożaru przemieszczała się jednak z wiatrem, i to właśnie z tego powodu spotkały ich w nocy wielkie kłopoty, bo wiatr zmienił kierunek.

Ogień zawsze pisał się do góry. Widział to na własne oczy – z początku zajmowały się suche rzeczy na ziemi, ale płomienie szły w górę, na drzewa, i one też stawały w ogniu. Niektóre zresztą – te, które jeszcze stały – wciąż płonęły. W lesie mogły się zdarzyć dwa pożary i oba je już widział. Pierwszy palił się na ziemi, między krzakami, i podpalał drzewa w górze. Tak właśnie zaczął się ten pożar. Drugi rodzaj był wówczas, gdy płonęły korony drzew, a od nich zapalały się inne drzewa. Małe, płonące rzeczy

spadały na ziemię i podpalały krzaki. Ten rodzaj pożaru był zły, bo z wiatrem przenosił się tak szybko, że nikt by mu nie uciekł.

– Przyjaciół Dużych nic nie mówić – zaprotestowała Duża Ona.

– Przyjaciół Dużych robić myślenie – skarcił ją Ten Mądry. – Nie myśleć, to robić źle. Robić źle, wszyscy martwi.

Może najlepiej byłoby zostać tu cały dzień i poczekać, aż ziemia ostygnie, a rośliny się dopalą? Myślał, że miejsce, gdzie rozbili obóz i gdzie wybuchł pożar, leży na wschodzie, ale czy na pewno? Na południu znajdowało się jezioro, nie wiedział jednak, które... W tej krainie było ich zbyt wiele. I zbyt wiele ognia, kusz'wa nieto-szlach!

– Tutaj nic do jedzenia – narzekała Nosi Lśniące Rzeczy. – Dobre rzeczy spłonąć.

Gdy tylko to powiedziała, wszyscy przypomnieli sobie, jak są głodni. Co prawda zjedli głuptaka, ale to było dawno temu i nawet nie mogli go dokończyć.

– Trzeba znaleźć miejsce, gdzie ogień nie palić i poszukać rzeczy „dobre do jedzenia”. – Problem polegał na tym, że nie wiedział, gdzie są takie miejsca. Zresztą, jeśli nawet je znajdą, może podążyć za nimi ogień i znów wpadną w wielkie kłopoty. Spojrzał w górę strumienia. – Myśleć, że trzeba iść tam. Może znaleźć miejsce, gdzie ogień nie palić, a może miejsce, gdzie ogień już martwy i ziemia chłodna.

Później będą musieli wrócić do jeziora, znaleźć odpowiednie miejsce na obozowisko i ponownie rozpocząć budowę tratwy. Z żalem myślał o całej pracy, którą już wykonali, a teraz będą musieli wykonać ponownie: o linie, o narzędziach, o kłodach... Od myślenia o tym robiło mu się źle. Na dodatek czekało go wiele trudności, by razem z Tym Mądrym i Dziabakiem przekonać innych.

Ruszyli w górę strumienia, przez czarną krainę spaloną do cna, szarą od dymu, popiołów i kikutów drzew, które wciąż płonęły. Tam, gdzie woda była płytka, brodzili; tam, gdzie była głęboka, szli brzegiem, uważnie

omijając płomienie. Strumień zakręcał, teraz szli prosto w kierunku zachodnim.

Nagle doleciał do nich hałas. Zatrzymali się i nasłuchiwali. Papcio Jack zawsze powtarzał, że jeśli się zgubi, powinien zrobić ogień i dużo dymu, by ktoś mógł go zobaczyć. Roześmiał się na tę myśl, bo tym razem zrobił naprawdę wielki dym! Niektórzy Duzi, może nawet bardzo daleko, musieli to dostrzec i lecieli sprawdzić, co się stało. Po chwili poczuł jednak rozczarowanie. Znał ten dźwięk, to nie był kuter, ale wielka, latająca rzecz, statek wysoko na niebie. Przylatywał co trzy dni do Wspaniałego Miejsca, przywożąc różne rzeczy. Zawsze się cieszyli, kiedy go słyszeli – żaden Kudłacz nie zostawał w szkole, wszystkie biegły popatrzeć.

Zastanawiał się przez chwilę, co statek robi w takim miejscu, aż w końcu doszedł do wniosku, że pewnie leci do Yellowsand, by dostarczyć Papcio Vicowi więcej maszyn i przyjaciół, którzy pomagali mu kopać, a także jedzenie, ahohol do robienia „kotaj dinko” i wszystkie inne rzeczy, których potrzebowali Duzi. Duzi na statku powiedzą Papcio Vicowi o pożarze, a wtedy Papcio Vic i jego przyjaciele przylecą, by ich zabrać.

Martwiło go tylko, że pożar był zbyt wielki. Wszędzie się paliło. Na nogach trzeba by chodzić wiele dni, żeby sprawdzić cały ten teren. Skąd Duzi będą wiedzieć, gdzie szukać? Bo z powietrza ich nie wypatrzą, gdy wszystko spowijał dym. Papcio Jack radził robić dym – no to zrobił, ale za dużo. Gdyby nie strach, bardzo by się śmiał.

Nie mógł jednak pozwolić, żeby inni się tym martwili. Kiedy więc szli brodem w górę strumienia, opowiadał im o Wspaniałym Miejscu, o jedzeniu pezete’czy, o owocach i mleku, o szkole, gdzie Duzi uczyli rzeczy, o których żaden Kudłacz wcześniej nie pomyślał, o łukach i strzałach, o twardej rzeczy, którą robili ciepłą, by mogli zgniatać ją w dowolny kształt i znów robić twardą, o rysunkach oznaczających dźwięki... Gdy ktoś mówił je głośno, zamieniały się w słowa, które wcześniej robił ktoś inny. Opowiedział im, jak wiele Kudłaczy żyło

we Wspaniałym Miejscu i jak wszyscy świetnie się bawili; opowiedział, że każdy może mieć Dużego dla siebie, bo Duzi opiekowali się Kudłaczami i byli dla nich dobrzy. Samo mówienie o tych rzeczach robiło przyjemne uczucia.

Aż nagle, przez dym, ujrzali zieleni. Inni też to zobaczyli i z krzykiem pobiegli naprzód, nawet Ten Kulawy, choć wspierał się na włóczni. Ogień zatrzymał się przy strumieniu, który wpływał do tej rzeki z południa. Po drugiej stronie rosła trawa i krzaki, ale też czarne drzewa, spalone i martwe, pokryte mchem. Inni nie rozumieli.

– Dawno temu ogień wszystko spalić – wyjaśnił Ten Mądry. – Może zrobić go piorun. Spalić tu wszystko tak jak tam. – Wskazał na dymiącą krainę, z której uciekli. – Potem trawa odrosnąć, krzaki odrosnąć, ale ten ogień nie znaleźć nic do spalenia.

Przeszli przez strumień do „dawno spalonego miejsca”. Ziemia wciąż była czarna, choć poprzedni ogień musiał tu być wiele pór nowych liści temu. Kudłaczek ściał najwyższy i najprostszy z krzaków, by wybrać kij na laskę dla Tego Kulawego, dzięki czemu Nosi Lśniące Rzeczy mogła wziąć jego włócznie. Następnie zrobił maczugę dla Szukacza Owoców i wszyscy razem ruszyli polować, pierś w pierś. Niemal od razu zabili zarajaca, a po chwili głuptaka.

Łopatką wykopał rów, żeby rozpalić w nim ogień. Usiedli dookoła i patrzyli, jak nabite na patyki mięso skwierczy nad płomieniami. Duża Ona pomogła mu dopasować skórę zarajaca do poparzonej stopy Tego Kulawego, a gdy to było gotowe, przywiązali ją paskami, które wycięli ze skóry głuptaka. Ten Kulawy wstał. Utykał, ale powiedział, że już tak nie boli. Po jedzeniu Kudłaczek nabił fajkę. Ci, którzy lubili puf-pufko, podawali ją sobie nawzajem.

Bardzo dokładnie zakopał resztki żaru, nim ruszyli dalej. Wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne robić ogień, kiedy płonie wszystko dookoła.

W oddali widzieli dym, ale wiatr wiał im teraz w plecy. Wkrótce czarne kikuty drzew ustąpiły miejsca białym, martwym drzewom, które wciąż miały wszystkie gałęzie. Kudłaczek doszedł do wniosku, że te drzewa umarły, bo ich kora spłonęła u podstawy pnia, tak jak inne drzewa umierały, bo ogryzały je głuptaki. Zarośla rosły tu gęściej i w końcu dotarli do dużych drzew o okrągłych niebieskich liściach, które wcale nie były spalone. Tu ognia nie było nigdy.

Nikt nie chciał iść szybko. Między dużymi drzewami było przyjemnie – powietrze już nie śmierdziało tak bardzo dymem, chociaż wciąż go czuli, a światło słońca było przyćmione. Znaleźli strumyk, w którym płynęła czysta słodka woda, niezabrudzona popiołami. Napiwszy się, zmyli z sierści błoto i sadzę. Wszyscy poczuli się dużo lepiej.

Znów dolatywały do nich odgłosy kutrów – z daleka, ale tym razem było ich więcej. Dało się też usłyszeć hałas pracujących maszyn. Papcio Vic i jego przyjaciele musieli przylecieć, żeby uporać się z pożarem. Przypomniawszy sobie, jak Duży skopywali czubek góry w Yellowsand. Oni z łatwością ugasiliby nawet tak wielki ogień. Chciał iść w kierunku hałasów, ale zdawał sobie sprawę, że na drodze wciąż stoi ogień, który trawił las.

Teren nieco się podnosił, choć kompas nadal wskazywał południe. Wydawało mu się, że w tę stronę ziemia powinna opadać... Wspięli się na szczyt wzniesienia i gdy przeszli jeszcze kawałek, ujrzeli w dole bardzo szerokie jezioro. Stanęli na krawędzi klifu, który był wyższy od wszystkich domów we Wspaniałym Miejscu – tak wysoki jak środkowy taras u Papcio Bena w Dużym Domu. Na dole była woda; żadnych plaż, tylko woda.

– Tam nie schodzić – mruknął Ten Kulawy – choćby nawet stopa nie boleć. Za daleko. Nie ma czego trzymać, nie ma jak się wspiąć.

– Zejść do wody – zaproponował Dziabak.

– Woda głęboka. Zawsze głęboka w takich miejscach – ostrzegł Ten Mądry.

Druga Ona spojrzała z niepokojem na gęste chmury dymu wznoszące się na północy.

– A jeśli ogień przyjdzie do nas? Może to złe miejsce.

Kudłaczek sam zaczynał tak myśleć. Ogień zatrzymał się w „dawno spalonym miejscu”, ale nie wiedział, co działo się po drugiej stronie. Mimo to nie chciał opuszczać tego miejsca – było wysokie, a drzewa nie rosły gęsto. Gdyby ktoś leciał kutrem nad jeziorem, na pewno by ich wypatrzył i zabrał ze sobą. Powiedział to innym.

– Dlaczego nie iść teraz? – zapytała Druga Ona. – Nie widzieć latające rzeczy Dużych.

– Duzi nie wiedzieć, że my tutaj. Wszyscy ciężko pracować, żeby zgasić pożar. U Dużych to „zawsze tak” rzecz – kiedy las palić, brać maszyny, żeby zgasić.

Zerknął do kapciucha i sprawdził, ile zostało mu tytoniu. Starał się go nie marnować, ale minęły dwie ręce dni – dziesięć – odkąd wpadł do rzeki. Chociaż nie było go wiele, nabił i zapalił fajkę, po czym podał ją dalej. Dziabak, któremu za pierwszym razem się nie podobało, chciał ponownie spróbować. Pyknął raz i zakaszłał, ale potem się cieszył.

Kiedy w fajce został tylko popiół, Kudłaczek wytrząsnął go i spojrzał na północ. Teraz dymu było dużo więcej i znajdował się bliżej. Słyszał trzask ognia, a raz nawet wydawało mu się, że widzi płomienie ponad wierzchołkami drzew. Inni wyglądali na przerażonych.

– Gdzie iść? – prawie zawodził Szukacz Owoców. – Na dół daleko, a woda głęboka. – Wskazał na wschód. – Tam więcej ognia. Gdzie pójść, wszędzie ogień!

Kudłaczek obawiał się, że Szukacz Owoców może mieć rację, ale lepiej tego nie mówić. Wszyscy jeszcze bardziej by się bali, a wystraszone Kudłacze robiły niemądre rzeczy – tak najłatwiej było o śmierć. Spojrzał na wschód, gdzie klif kończył się cyplem, który wystawał ponad jezioro. Trudno to było powiedzieć, bo odległe rzeczy zawsze wyglądały

na mniejsze, ale wydawało mu się, że tam spadek jest niższy. W każdym razie dym buchający w stronę jeziora przelatował ponad cyplem.

– Tamtędy mniej daleko – pokazał. – Może zejść na dół do wody? Ogień nie iść w dół.

Inni nie mieli pomysłów, więc nie protestowali. Ponad drzewami na północy widać już było mnóstwo ognia. Chryse paje, pomyślał Kudłaczek, teraz jeszcze robić się pożar na czubkach drzew. Niedobrze! Gnali przed siebie w pośpiechu wzdłuż krawędzi skarpy. Dotarli do miejsca, gdzie część klifu osunęła się do wody – jak w Yellowsand, gdzie przyjaciele Papcio Vica nie znaleźli żadnych lśniących kamieni, tam gdzie zszedł na dół do głębokiego miejsca. Minęli osuwisko i biegli dalej. Ogień szybko się zbliżał – tak, to był pożar na czubkach drzew, bo na ziemię spadały płonące rzeczy i tworzyły się nowe pożary.

Może w tym miejscu Kudłaczek zrobić się martwy, pomyślał.

Nie chciał umierać. Chciał wrócić do Papcio Jacka.

Nagle zamarł, bo coś sobie uświadomił. Tak, teraz był pewien: w tym miejscu Kudłaczek, Ten Mądry, Dziabak, Ten Kulawy, Szukacz Owoców, Głazotłuk, Duża Ona, Druga Ona i Nosi Lśniące Rzeczy wszyscy zrobią się martwi.

Przed nimi ziała wielka rozpadlina sięgająca aż na dno klifu, w dole zaś płynął wartki, spieniony strumień, który wpadał do jeziora. Kudłaczek spojrział w lewo – nie widział, gdzie kończy się strumień. Za ich plecami huczał rozszalały ogień. Wydawało się, jakby robił własny wiatr – Kudłaczek dotąd nie miał pojęcia, że ogień tak potrafi, ale ten wyrzucał w powietrze wirujące kawałki drewna. Niektóre spadały w połowie drogi do miejsca, gdzie stał razem z innymi, i wszędzie wokół wybuchały nowe pożary.

23.

Gdy Jack dotarł na miejsce, dymu wcale nie było widać. Z powietrza kanion Yellowsand wyglądał na cichy i spokojny, a puste wykopaliska na porzucone przez ludzi. Wszystkie maszyny przenoszono na północ i na zachód, by walczyć z pożarem. Spostrzegł kilka osób w ogrodzonym obszarze roztrzaskiwania krzemieni, głównie umundurowanych policjantów z KKZ. „Skoczka” zniknęła – prawdopodobnie została wysłana po wsparcie. Jack posadził kuter przy baraku administracyjnym, a na spotkanie wyszedł mu komitet powitalny: Luther McGinnis, kierownik robót, Stan Farr, kierownik personalny, Jose Durrante, leśnik, i Harry Steefer. Jack wysiadł z Gerdem z pojazdu, a za nimi dwaj żołnierze ZSOA siedzący z przodu.

– Mam właśnie na linii pana Grego – powiedział McGinnis. – Jest na swoim jachcie, mniej więcej w połowie drogi z Alfą. Leci z nim doświadczony zespół strażaków. Niech pan zgadnie, co on o tym myśli...

– To samo, co ja. Rozmawiałem z nim, zgadujemy, że Kudłaczek nieostrożnie wytrząsnął popiół z fajki. Sam muszę uważać, a palę w lesie znacznie dłużej niż on.

Gerd zapytał, w którym rejonie wybuchł pożar.

– Pokażę panu – rzucił McGinnis. – Ale jeśli to naprawdę przez Kudłaczka, jak on, do diabła, dostał się tak daleko?

– Pieszko. – Jack wyłożył mu swoją teorię, kiedy szli do drzwi baru. – Pewnie myślał, że idzie wzdłuż Yellowsand, dopóki nie dotarł do jezior.

W środku zamontowano potężny, wojskowy ekran o szerokości piętnastu stóp. Widok pożaru z wysokości pięciu tysięcy stóp obracał się, kiedy maszyna z rejestratorem zataczała w powietrzu krąg. Jack widział sporo pożarów lasów i pomagał przy gaszeniu większość z nich, ale ten wyglądał

naprawdę groźnie. Gdyby nie rzeka i jeziora, skupione wokół niej niczym liście pnąca o różnych kształtach, byłoby jeszcze gorzej. Płonął cały teren na północ od systemu rzecznoego, a biorąc pod uwagę kierunek wiatru, tylko woda zatrzymywała ogień.

– Wiatr musiał się często zmieniać – zauważył.

– Owszem – odparł meteorolog z obozu. – W nocy wiało jednostajnie z południowego zachodu, pożar musiał wybuchnąć po północy. Tuż przed świtem wiatr zaczął się przesuwać w kierunku północnym, po czym zakręcił na południowy wschód, w stronę, z której przyszedł. Oczywiście mowa tylko o głównych wiatrach, bo w tak nierównym terenie zawsze mamy do czynienia z wieloma nieprzewidywalnymi wiatrami przygruntowymi. W dodatku, kiedy ogień na dobre się rozszalał, powstały prądy konwekcyjne.

– Nigdy nie można ufać wiatrowi w pożarze – westchnął Holloway.

– Hej, Jack, to ty? – zawołał jakiś głos. – Kiedy dotarłeś na miejsce?

Jack obrócił się w kierunku głośnika i zobaczył na jednym z ekranów Victora Grego w stroju terenowym, na tle, jak się wydawało, kabiny jachtu.

– Dosłownie przed momentem. Wylatuję stąd, gdy tylko się dowiem, gdzie szukać. W drodze jest parę dodatkowych pojazdów: George Lunt, chłopcy z ZSOA, a do tego trzy frachtoloty pełne żołnierzy i załóg budowlanych. Nie zabierałem ciężkiego sprzętu, tylko lekki, a przetransportowanie go tutaj na napędach antygrawitacyjnych zajmie cztery, pięć godzin.

Grego kiwnął głową.

– Sprzętu mamy mnóstwo. Będę na miejscu około czternastej trzydzieści, czyli prawdopodobnie nie zobaczymy się aż do twojego powrotu. Cholera, mam nadzieję, że to ten maluch zaproszył ogień. I że nie dał zrobić sobie krzywdy.

Jack też na to liczył. To byłby wyjątkowy pech, wydostać się z Yellowsand, by potem zginąć w takim pożarze. Nie, Kudłaczek był zbyt

sprytny, żeby dać się zaskoczyć.

Spojrzał na pozostałe ekrany, transmitujące obraz z innych pojazdów w rejonie pożaru: buldożerów, które schodziły z antygravitacji w las i z łoskotem brnęły naprzód, przewracając drzewa; manipulatorów podnoszących je, kiedy upadały i przenoszących w inne miejsca; żurawi i spychaczy, które tworzyły wały z ziemi i kamieni po nawietrznej... Ludzie musieli być niemalże bezsilni wobec pożarów w czasach, kiedy nie mogli korzystać z dobrodziejstw antygravitacji. Zabrali się za pracę w południe i przewidywał, że skończą przed zachodem słońca. Tymczasem słyszał o wielkich pożarach w przeszłości, które potrafiły płonąć przez wiele dni.

– Czy ci ludzie zostali ostrzeżeni, że w okolicy może biegać Kudłacz? – zwrócił się do McGinnisa.

– Tak, wszyscy dostali komunikat. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało i że czeka w bezpiecznym schronieniu. Będzie cholernie trudno go znaleźć, gdy już uporamy się z ogniem.

– Cholernie trudno to będzie ugasić kolejny pożar, który spowoduje. Możliwe, że rozpałił ogień, żeby dać nam sygnały dymne. – Odwrócił się do Durrante'a. – Ile pan wie o tamtejszym terenie?

– Badaliśmy go z zespołem zwiadowczym ze wszystkich stron – odparł Durrante, co oznaczało, że robili przeloty na wysokości kilku tysięcy stóp. – Wiem, czego się spodziewać.

– Rozumiem. Za chwilę lecimy tam z Gerdem, może zabierze się pan z nami? Jak pan sądzi, gdzie mogło dojść do zaprószenia ognia?

– Pokażę panu. – Durrante zaprowadził go do stołu z mapą, oznaczoną różnymi odcieniami czerwieni. – Jeśli się nie mylę, mniej więcej tu, na północnym brzegu jeziora. Z początku ogień rozprzestrzeniał się wzdłuż brzegu i w górę tego strumienia – oczywiście kiedy wiatr wiał jeszcze w kierunku północno-wschodnim. Kiedy „Skoczka” wypatrzyła pożar, ogień był tu, tu i tu. Potem jednak wiatr się zmienił. Pierwszy kuter dotarł na miejsce dopiero o godzinie dziesiątej trzydzieści – wówczas ten obszar

był już doszczętnie spalony, tliły się tylko kikuty drzew, a w tym kierunku pędził paskudny pożar koronami. Ta część spłonęła w przeszłości, pożar wybuchł prawdopodobnie po uderzeniu pioruna jakieś piętnaście lat temu. Wtedy w tej części kontynentu, na północ od Big Bendu, nie było ludzi. Ogień w ogóle się tam nie przedostał. A to wzgórze jest w całości porośnięte eukaliptusami, tam zmierza w tej chwili pożar.

– Dobrze, w takim razie ruszajmy.

Wsiedli do kutra. Gerd zajął miejsce za sterami, leśnik usiadł na fotelu obok, a Holloway z tyłu, żeby móc wyglądać przez szyby z obu stron.

– Może mi pan podać broń? – zapytał Jack. – Będzie mi potrzebna, jeśli zdecyduję się na piesze poszukiwania.

Leśnik ściągnął z uchwytych na kokpicie dwulufowy sztucer 12.7 mm.

– Dobry Boże, wozi pan ze sobą niezłą armatę – rzucił, podając broń do tyłu.

– Możliwe, że będę musiał zatrzymać sporego zwierza. Kiedy człowiek staje twarzą w twarz z piekielniakiem, nawet siedem tysięcy stopofuntów nie wydaje się szczególną przesadą.

– Oczywiście – zgodził się Durrante – chociaż ja nigdy nie używam niczego mocniejszego od mojej siódemki. – Wytłumaczył, że nie zabiera karabinu do pożaru, bo zwierzęta nie atakują, kiedy uciekają przed ogniem.

Holloway stwierdził, że właśnie tacy faceci pierwsi trafiali do nieba. Sam o piekielniakach wiedział tylko jedno: przestraszone, atakowały wszystko, co się rusza, z tej prostej przyczyny, że były... przestraszone. Niektórzy ludzie reagowali bardzo podobnie.

Minąwszy jeziora nieco ponad punktem, gdzie rzekomo wybuchł pierwszy pożar, posadzili maszynę na czarnym, spopielonym brzegu. Wciąż płonęło tu sporo pni, niektóre całkiem spore – lepiej było trzymać się od nich z daleka. Holloway zobaczył, jak jeden z nich chwieje się i przewraca, wzniecając chmurę różowych iskier, popiołu i dymu. Wysiadł z kutra, przełamał sztucer i załadował naboje o szerokości kciuka i długości

piędzi. Zatrzasnąwszy broń, sprawdził bezpiecznik. Wydawało się nieprawdopodobne, by w tej okolicy natrafił na cokolwiek żywego, lecz nie dożyłby siedemdziesiątki, gdyby był człowiekiem podejmującym zbędne ryzyko. Durrante, który wysiadł za nim, miał tylko swój pistolet. Jeśli zostanie dłużej na Becie, raczej nie zdąży się zestarzeć.

To Durrante spostrzegł mały trójkąt niewypalanej trawy między ujściem strumienia a jeziorem. Na szczycie wzniesienia leżało drzewo przepalone u podstawy, z gałęziami odrąbanymi czymś, co nie zostawiało idealnie prostych śladów – być może małą, krzemienną siekierą. Ogień zaczął się palić po obu stronach, osiem stóp od pniaka. Holloway wypuścił powietrze z płuc. Aż do tej pory tylko podejrzewał, że Kudłaczek wyszedł z rzeki cały i zdrowy, a później rozpalili ognisko. Teraz był tego pewien.

– Nie próbował robić sygnałów dymnych – stwierdził. – Budował tratwę. – Przyjrzał się kłodzie. – Tylko jak on, u licha, chciał spuścić to cholerstwo na wodę? Trzeba by chyba z pół tuzina Kudłaczy, żeby to przetoczyć.

Pod kilkoma poczerńiałymi, wciąż płonącymi kikutami drzew i krzaków znalazł to, co zostało z obozu Kudłaczka: spalone gałęzie wymieszane z drobnym, sypkim popiołem trawy i paproci i kupkę popiołu, która wyglądała na pozostałości liny skręconej z cieniutkich korzeni. Zobaczył też kości i w pierwszej chwili wystraszył się, na szczęście jednak były to kości zarajaków i głuptaków. Czyli Kudłaczek nie głodował. Durrante wygrzebał sporo krzemieni, połamanych i wyszczerbionych, groty włóczni i obuchy siekier, a pomiędzy spalonymi gałęziami wypatrzył jeszcze jedną siekierę, obwiązaną berylowo-stalowym drutem i zwęglone resztki trzonka.

– Kudłaczek tu był, to pewne. Zawsze nosi ze sobą szpulkę drutu. – Holloway zarzucił sztucer na ramię, by wyciągnąć fajkę i tytoń. Gerd podprowadził kuter do pozostałości obozowiska i wychylił się przez okno. Holloway podał mu resztki siekiery. – Co o tym sądzisz?

– Gdybyś to ty był Kudłaczem i obudził się w środku nocy, otoczony płomieniami, co byś zrobił? – zapytał Gerd.

– Kudłaczek zna podstawy termodynamiki. Wydaje mi się, że wszedłby do wody najgłębiej, jak to możliwe, i czekał tam cierpliwie, aż ogień przeniesie się dalej. Potem starałby się dostać na jego nawietrzną. Przelećmy się wzdłuż brzegu jeziora.

Gerd posadził kuter, a Jack i leśnik wsiedli do środka. Jack na razie nie zaprzętał sobie głowy rozładowywaniem sztucera. Cały teren na zachód od małego strumienia był spalony, ale ogień musiał się tam dostać po zmianie kierunku wiatru. Jezioro zwężyło się w rzekę, a rzeka wiała kawałek i przechodziła w kolejne jezioro. Na lewym brzegu szalał ogień. Dotarli do skalnego cypla, zawieszono go kilkaset stóp nad wodą. Na jego szczycie dogasał pożar koron drzew, ale ziemię wciąż pustoszyły płomienie. Minęli wąską rozpadlinę, pęknięcie w klifie, z którego wypływał spieniony strumień. Na szczycie po obu stronach płonął ogień.

Holloway wyglądał przez okno. Gdzieś z za rozpadliny doleciało zawodzenie zwierzyny w agonii, czegoś, co nie zdołało umknąć przed pożarem, ale jeszcze nie umarło. Wystawił na zewnątrz lufę sztucera.

– Sprawdźmy, skąd dochodzą te ryki. Cokolwiek to jest, nie chcemy porzucać tego w takim stanie.

– Już widzę – odparł Gerd po chwili. – Tam, gdzie obsunęła się część klifu.

Jack też go dostrzegł – potwora, piekielniaka z rogiem czołowym tak długim, że można by go przerobić na laskę i bocznymi rogami wielkości sierpów. Wcisnął się w zagłębienie, ale ogień i tak go dosięgnął. Prawdopodobnie oślepl i spadł, nabijając się na ostry fragment skały. Jack nigdy nie słyszał, by piekielniak wydawał takie dźwięki – dźwięki strasznego bólu.

Uklękawszy na podłodze kutra, wycelował w łeb bestii, tuż pod uchem, które było kawałkiem niedopieczzonego mięsa. Pociągnął za spust. Zachwiał się lekko i odrzut prawie go przewrócił, gdy jednak znów spojrzął, piekielnik się nie ruszał.

– Podleć trochę, Gerd. A teraz lekko cofnij. – Chciał mieć pewność, że bestia nie żyje, a w przypadku piekielnika gwarancję dawał tylko ponowny strzał. – Chyba jest martwy, ale...

Gdzieś w pobliżu odezwał się przenikliwy świst gwizdka.

– Co jest, do cholery... – mruknął Gerd.

– Słyszycie? To w samym sercu tego pożaru! – wykrzyknął Durrante. – Jak cokolwiek mogłoby tam przeżyć?

Holloway wycelował w głowę po raz drugi, żeby nie okazało się, że zużył nabój i obił sobie ramię na darmo. Wystrzelił z lewej lufy z kolejnym ogłuszającym hukiem. Zwierzęciem szarpnęło po uderzeniu kuli, ale poza tym już się nie ruszało.

– To w tamtej rozpadlinie. Mówiłem wam, że Kudłaczek zna podstawy termodynamiki. Zszedł poniżej szczytu, żeby przeczekać ogień. Uda ci się podprowadzić kuter?

– Dam radę – odparł Gerd. – Ale prawdopodobnie będę musiał wyciągnąć go pionowo w górę, więc lepiej wszystko pozamykajcie, zanim to zrobię.

Zbliżali się powoli do szczeliny w skale szerokiej na dwadzieścia pięć stóp. Więcej nie potrzebowali, ale niestety ściany rozpadliny nie były idealnie proste. W niektórych miejscach przeprowadzenie maszyny wydawało się niemożliwością. Gdzieś z przodu wciąż dolatywał świst gwizdka, któremu towarzyszyły krzyki: „Papcio Jacku, Papcio Jacku!”. Holloway nagle zorientował się, że głosów było więcej i że rozbrzmiewały jednocześnie z gwizdkiem. Kudłaczek znalazł sobie gromadę – to w taki sposób chciał zepchnąć kłodę do wody.

– Trzymaj się, Kudłaczku! – krzyknął. – Papcio Jack już idzie!

Na zakręcie Gerd paskudnie przeszorował kutrem o skałę, lecz zaraz potem zobaczyli... nie do wiary, było ich aż dziewięć! Kudłaczek z torbą na ramieniu i osiem innych małuchów. Jeden z nich miał zabandażowaną stopę czymś, co wyglądało na skórę zarająca. Inne trzymały włócznie

z krzemiennymi grotami i krzemienne siekiery powiązane drutem. Stały na skalnej półce, przywierając do ściany, w połowie drogi do wody.

Gerd obniżył nieco pułap, a Jack otworzył drzwi i sięgnął w stronę Kudłaczy. Chwycił tego, który był najbliżej – samicę z krzemienną siekierą. Trzymała ją z całych sił, kiedy posadził ją w pojeździe. Wziął kolejnego, samca z zabandażowaną stopą, i podał do przodu, przestrzegając Durrante'a, by uważał na ranę. Następny był Kudłaczek.

– Papcio Jacku! Przylecieć po nas! – wołał. – I ty też, Papcio Gerd!

Pokrzykiwaniem dodawał innym odwagi, aż wszyscy znaleźli się w kutrze.

– A teraz wszyscy lecieć do Wspaniałe Miejsce – rzucił Kudłaczek. – Papcio Jack dobrze się nami opiekować. On przyjaciel wszystkich Kudłaczy. Sami zobaczyć, co mówię.

Kiedy dotarli na miejsce, zobaczył kasztanowo-srebrny jacht powietrzny Grego, uziemiony przy baraku administracyjnym. Gerd, który leciał z przodu, zdążył już przekazać meldunek o uratowaniu Kudłaczka i ośmiu innych Kudłaczy. Przed barakiem czekał na nich tłum, a na czele stali Grego i Diament. Gerd posadził kuter i wypuścił Durrante'a, niosącego samca z poparzoną stopą. Następnie otworzył tylne drzwi i czekał, aż pozostali wygramolą się z pojazdu o własnych siłach. Ci, którzy umieli mówić w częstotliwości słyszalnej dla człowieka – najwyraźniej Kudłaczek uczył ich „robić mówienie jak Duzi” – pytali, czy są już w Hoksu-Mitto. Zgotowano im owację, a Diament rzucił się naprzód, gdy tylko wypatrzył swojego przyjaciela. Później całą dziewiątkę skierowano do obozowego szpitala.

Kudłaczek miał poparzone plecy i w wielu miejscach spaloną sierść. Personel zajął się nim w pierwszej kolejności, by inni zobaczyli, że nikt nie zrobi im krzywdy. Poparzona stopa wyglądała naprawdę paskudnie, szczególnie że Kudłacz długo musiał na niej chodzić. Wszyscy jednak chwalili pomysł z obwiązaniem rany skórą zarająca. Lekarz chciał położyć

większość z nich do łóżek, ale najwyraźniej nie znał temperamentu Kudłaczy, bo żadne obrażenia mniej groźne od złamanej nogi nie były w stanie zmusić ich do bezruchu. Gdy tylko wszystkich opatrzoneo, rozpoczął się bankiet z Pezeterem Trzy, po którym wszyscy chcieli palić fajkę.

Ekipy programów informacyjnych od razu rozpoczęły transmisję. Nie pytały o pożar, wszyscy skupiali się na Kudłaczku i jego nowych przyjaciółach. Było to dość uciążliwe, ale Grego nalegał, żeby pozwolić ekipom robić swoje – właśnie rozpoczynało się Zgromadzenie Konstytucyjne i nowi przyjaciele Kudłaczka potrzebowali dobrej prasy. Dopiero po kolacji, kiedy pożar został całkowicie ugaszony, mogli liczyć na odrobinę prywatności.

Kudłacze rozłożyły się na kilku materacach na podłodze, wszystkie oprócz Kudłaczka, który chciał siedzieć na kolanach Papcio Vica. Potrzebował sporo czasu, by zrelacjonować, co się działo, odkąd zszedł do kanionu. Innym musiał opowiadać tę historię już wcześniej, bo ten czy ów co chwilę przerywał mu i przypominał o jakimś fakcie. Gdy opowieść dotarła do momentu, w którym spotkał gromadę Tego Mądrego – Ten Mądry był Kudłaczem z gwizdkiem i zabandażowaną głową – nagle wszyscy próbowali mówić jednocześnie. Steefera i Durrante’a ominęły ciekawsze kawałki, bo nie znali języka Kudłaczy. Zdziwiające, jak szybko te maluchy nauczyły się modulować głosy, by były słyszalne dla ludzi.

W końcu Kudłaczek przeszedł do części, w której wszyscy uciekali przed ogniem szalejącym w koronach drzew. Wspięli się na klif, ale tam drogę odcięła im rozpadlina.

– Dotrzeć w to miejsce i nie przejść dalej. Wszyscy myśleć, że zrobić się martwi – wyjaśnił. – I wtedy przypomnieć sobie, co mówił Papcio Jack. Ogień robić ciepło, a ciepło zawsze iść do góry, nigdy w dół. Więc my zejść na dół, a wtedy przylecieć Papcio Jack.

Wszyscy domagali się pochwał, które Kudłaczek uważał za należne, ale przyjął z właściwą skromnością.

– Papcio Jack też mądry. Nie strzelić z wielkiej pistolety, my nie słyszeć i nie gwizdać.

Holloway uznał, że nie będzie wyprowadzać go z błędu. Do diabła, przecież nie mógł stamtąd odlecieć, zostawiając tego piekielnika zawodzącego z bólu. Chciał jednak wiedzieć, w jaki sposób gromada Tego Mądrego usłyszała o Dużych i oczywiście okazało się, że to na nich natknęli się z Gerdem, gdy polował na północy na harpie. Opowiedzieli mu, że wystraszyli się „zabij grzmotu”, ale później wrócili na miejsce i znaleźli puste naboje. W tym momencie jedna z samiczek o czymś sobie przypomniała.

– Przyjaciel Dużych! – zawołała. – Ciągłe mieć lśniące rzeczy? Nie zgubić?

Kudłaczek rozpiął torbę i wyciągnął ze środka trzy łuski po nabojach. Samiczka podeszła i odebrała swój skarb. Kudłaczek znalazł jednak coś jeszcze i krzyknął, podekscytowany:

– Całkiem zapomnieć! Mieć lśniący kamień, znaleźć tam, gdzie robić tratwę przy małej płynącej wodzie.

Pokazał wszystkim wspaniały kamień słoneczny – dwadzieścia, może nawet dwadzieścia pięć karatów. Pocierał go, aż zaczął świecić.

– Patrzeć, jaki ładny!

Grego postawił Diamenta na podłodze i podszedł, żeby obejrzeć kamień. Za nim przydreptał Diament. Steefer i Durrante wstali ze swoich krzeseł.

– Gdzie go znaleźć, Kudłaczku? – zapytał Grego.

Steefer i Durrante zaklęli głośno. Ludzie musieli bardziej uważać przy Kudłaczach na słowa, bo Kudłaczek już zaczynał wymyślać jak stary szewc.

– W górze małej płynącej wody, co wchodzić do jeziora – tam, gdzie rozbić obóz, żeby zbudować tratwę.

– Kudłaczek pewien, że nie tutaj, w kanionie Yellowsand?

– Już powiedzcie, gdzie znaleźć lśniący kamień. Nie mówić rzeczy, jak nie być.

W to akurat mogli uwierzyć, Kudłacze nigdy nie mówiły, „jak nie być”. Niech to szlag!

– Dobry Boże! Wiesz, co się będzie działo, jeśli to wyjdzie na jaw? – zapytał Grego. – Każdy cholerny syn khoogry, którego stać na zdezelowany pojazd powietrzny, rzuci wszystko, żeby tam polecieć. Zlecą się jak muchy do miodu! Do Yellowsand się nie dostaną, ale potrzebowalibyśmy całej armii, żeby przypilnować tak rozległego terenu.

– A czemu sami nie zaczniecie wydobywania?

Wybuch śmiechu Grego był równie gwałtowny, co niedawny pożar lasu.

– Potrzebne nam te kamienie jak łysemu grzebień! Słuchaj, jeśli umowa dzierżawy zostanie podtrzymana w obecnym kształcie, zwolnimy z wydobywaniem do około dwudziestu procent obecnego poziomu. Chcesz zalać kamieniami rynek? Trafi ich tam zbyt wiele i za chwilę nie będą warte nawet tyle, co honorarium wypłacane Kudłaczom.

Słusznie. Na Terze, jeszcze w Erze Przedatomowej, to samo stało się z diamentami.

– Kudłaczku – zaczął Holloway – ty znaleźć piękny, lśniący kamyk dokładnie tak, jak opowiadać. On teraz być twój.

– Rany, Jack! – prawie parsknął Steefer. – Ta błyskotka jest warta ze dwadzieścia pięć kawałków!

– To bez znaczenia, Kudłaczek ją znalazł i teraz należy do niego. Ale dobrze słuchać, Kudłaczku. Pilnować tego kamienia, nie zgubić go i nikomu nie dawać, rozumiesz?

– No pewnie. Kamyczek piękny, zawsze taki chcieć.

– Nigdy nie pokazywać ludziom, których Kudłaczek nie znać. Jeśli zobaczy go jakiś zły Duży, może chcieć zabrać. A jeśli ktoś pytać, skąd

Kudłaczek go mieć, powiedzieć, że dał Papcio Vic, bo znaleźć go tutaj, w Yellowsand.

– Ale ja nie znaleźć tutaj. Znaleźć w twardym kamieniu, w małej płynącej wodzie...

– Wiem, wiem! – Z tym samym problemem stykali się za każdym razem Ernst Mallin i Leslie Coombes. – To „nigdy tak” rzecz, ale możesz tak mówić.

Kudłaczek wyglądał na zdezorientowanego, aż nagle się roześmiał.

– Pewnie, Kudłaczek mówić „nigdy tak” rzeczy! Ten Mądry też powiedzieć, że być piekielniak. Wcale nie być, ale powiedzieć innym i oni myśleć, że być.

– Słucham? – Victor Grego spojrział na Kudłaczka, a potem na Kudłacza z gwizdkiem zawieszonym na szyki i turbanem z bandaża na głowie. – Może Ten Mądry sam opowie?

Ten Mądry wzruszył ramionami; nie zrobiłby tego lepiej nonszalancki Francuz z Terry.

– Inni chcieć zostać w jedno miejsce, ale ja chcieć szukać miejsce Dużych, robić przyjaciół z Dużymi. Oni mówić nie. Bać się, bo lepiej zostać tam, gdzie być. Więc im powiedzieć, że gonić mnie piekielniak, gonić Dziabaka, zjeść wszystkich. Wszyscy przestraszeni, zerwać się i biec w górę, a później zejść z drugiej strony. Zapomnieć o miejscu, gdzie wcześniej chcieć zostać i iść dalej, w stronę lewej ręki słońca – na południe, tak jak ja chcieć.

Jedna z samiczek zawyła jak miniaturowa syrena policyjna – choć właściwie wcale nie taka miniaturowa. Wspomagając się ultradźwiękami, prawie pozbawiła Victora słuchu.

– Robić mówienie, że widzieć hesh-nazza?! Że hesh-nazza przyjść i nas zjeść, a wcale nie być hesh-nazza?! – krzyczała, półprzytomna z oburzenia. – A wszyscy uciekać z miejsce, gdzie dużo rzeczy „dobrych do jedzenia”?

– Kusz’wa nieto-szlach! – wypalił Ten Mądry. Spędził w towarzystwie Kudłaczka zaledwie tydzień, a już zdążył podchwycić najsoczystsze słówka. – Ty uważać, że to miejsce nie być dobre? Zostać tam, gdzie ty chcieć i nigdy nie znaleźć to miejsce! Tyle mówić o rzeczach „dobrych do jedzenia”. Myśleć, że znaleźć pezete’czy tam, gdzie ty zostać? Że palić puf-pufko? Myśleć, że znaleźć Dużych i robić z nimi przyjaciół? Ty robić tylko głupie gadanie!

– Zaraz, zaraz... Ten Mądry wmówić innym Kudłaczom, że widzieć piekielniaka, choć wcale go tam nie być? – upewniał się Grego. – Alleluja, chwalmy świętego Belzebuba! Jack, ty pogadaj z maluchami, a ja już dzwonię do Lesliego Coombesa.

24.

Hugo Ingermann spojrział na wielki ekran ponad pustą ławą, na którym, niczym w lustrze, wyświetlała się sala sądowa upakowana niemal do ostatniego miejsca. Nawet na balkonie panował tłok. No cóż, przynajmniej wystąpi przed liczną publicznością.

Nie ma się czym przejmować, powtarzał uparcie w myślach. Bez względu na rezultat, będzie bezpieczny. Jeśli dopuści, by jego klienci zostali skazani za zmuszanie do niewolniczej pracy i nakłanianie nieletnich do przestępstwa – na zarzuty o włamanie i kradzież nie poradziłby nic nawet zespół złożony z Blackstone’a, Daniela Webstera i Clarence’a Darrowa – cóż, to na tym koniec. Rzecz jasna, przykleją mu łątkę najwstrętniejszego człowieka na Zaratustrze, szczególnie po tym, jak rozgłos zyskała sprawa Kudłaczka, pożaru lasu i heroicznej akcji ratunkowej, ale ludzie w końcu zapomną – szczególnie jeśli popiszze się mistrzostwem sztuki prawniczej na tej sali. Ba, wtedy nie będzie mógł się opędzić od klientów! Może i był parszywym synem khoogry, ale też cwany prawnikiem, tego nikt nie mógł mu odmówić. A ludzie mają bardzo krótką pamięć, sam znał ich najlepiej. Już widział, jak wracają do niego starzy współpracownicy z Partii Planetarnej Pomyślności, którzy obrócili się do niego plecami, kiedy obsmarowano go w związku z napadem na skarbiec. Za kilka miesięcy na planecie zjawią się tabuny imigrantów, wolnych strzelców liczących, że wzbogacą się na tym, co straciła Koncesjonowana Kompania Zaratustra. Srodze się zawiodą, niczego nie znajdując, a gdy usłyszą, że to on jest człowiekiem, który wziął się za bary z Rainsfordem i Grego, od razu przejdą na jego stronę. Rok – po takim czasie zyskają na Zaratustrze prawo głosu.

Zresztą, nawet jeśli wszystko się posypie, miał jeszcze jedną furtkę. Pogratulował sobie punktualności, z jaką załatwił tę sprawę. Było to rozwiązanie ostateczne i nie chciał z niego korzystać, wolał wygrać w sądzie, gdyby jednak coś się popsuło...

Mimo to czuł się spięty i zestresowany. Czy powinien wziąć kolejną tabletkę na uspokojenie? Lepiej nie, faszerował się nimi jak miętówkami. Poprawił papiery leżące na stole, po czym zmusił ręce do bezruchu. Ludzie nie mogą zobaczyć, że się denerwuje.

Po lewej stronie ławki zawrzało; otworzyły się drzwi i weszli przysięgli, by zająć swoje miejsca. Co za banda kretynów, w sumie ich iloraz inteligencji wynosił jakieś 250. Walczył do upadłego, żeby wykluczyć z ławy każdą osobę, która potrafiła zawiązać buty bez instrukcji obsługi. Zerknął w stronę stołu, gdzie Gus Brannhard stroszył wąsy i z uśmiechem wpatrywał się w sufit. Ciekawe, czy wiedział, dlaczego wybór ławy przysięgłych ciągnął się cztery dni...

Otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie. Na salę wszedł brzuch szeryfa Fane'a, a za nim jego właściciel. Dalej szli Leo Thaxter, Conrad i Rose Evinsowie oraz Phil Novaes, z tyłu zaś dwaj umundurowani funkcjonariusze. Jeden z nich z wyraźną nadzieją w oczach trzymał dłoń na kolbie pistoletu. Oskarżeni byli ubrani w stroje, które sam wybierał: Thaxter w jasnoszary – jeśli tylko będzie trzymać gębę na kłódkę, wszyscy gotowi uznać go za filar społeczności; Conrad Evins w czarny garnitur z granatowym krawatem; Rose Evins w kostium, także czarny, ale z drobnymi bladoniebieskimi dodatkami; Phil Novaes w ciemnoszary garnitur, elegancki, lecz ultrakonserwatywny. Jaki człowiek o zdrowych zmysłach uznałby tę czwórkę szanowanych obywateli za przestępców, którzy zmuszają dzieci do niewolniczej pracy? Usadził ich obok siebie przy stole. Thaxter spojrział wilkiem na ławę przysięgłych.

– Uśmiechnij się, kretynie! – syknął Ingermann. – Ci ludzie celują ci w łeb z pistoletu kaliber dziesięć milimetrów. Nie zachęcaj ich

do pociągnięcia za cyngiel.

Rozpromienił się do klienta ckliwie. Thaxter jeszcze bardziej się nachmurzył, po czym spróbował odwzajemnić uśmiech, ale ten zupełnie nie pasował do jego twarzy.

– Pamiętaj, że twoja sytuacja też nie jest zbyt różowa – szepnął.

Ingermann wiedział i żałował, że znalazł się w tak niekorzystnym położeniu. Powinien był od razu odmówić jakiegokolwiek udziału w tej sprawie, tylko że, mój Boże...

– Kiedy się zacznie? – zapytała Rose Evins.

– Za chwilę. Zostaniecie wezwani, żeby wysłuchać oskarżenia. Będziecie podłączeni do prawdometru. A teraz dobrze mnie posłuchajcie – macie podać wyłącznie nazwisko, adres zamieszkania, rasę i status prawny – ludzie z Terry, obywatele Federacji. Jeśli z jakiegoś powodu będą chcieli drażnić inne tematy, skorzystajcie z prawa do odmowy zeznań, a gdy zapytają, czy przyznajecie się do winy, odpowiedzcie krótko: „nie”. Pamiętajcie, oni nie będą was pytać, czy zrobiliście to, o co jesteście oskarżeni, tylko czy przyznajecie się do winy. Mówiąc „nie”, wypowiedacie zdanie prawdziwe, rozumiecie?

Powtórzył wszystko od początku, bo wiedział, że musi im to wbić do głów. Kiedy po raz drugi przestrzegał ich przed popełnieniem błędu, ożywił się tłum za jego plecami. Spojrzał na ekran i zobaczył procesję drepczącą przejściem między ławkami. Z przodu szli Leslie Coombes i Victor Grego – dobry Boże, niech tylko spróbuje zeznawać, to weźmie go w krzyżowy ogień pytań – a za nimi Holloway, Gerd i Ruth van Riebeekowie, George Lunt w mundurze, Pancho Ybarra w stroju cywilnym, Ahmed Khadra, Sandra Glenn – nie, poprawił się, teraz już Ahmed i Sandra Khadra – Fitz Morlake, Ernst Mallin... cała parszywa szajka. Gdyby tylko miał przy sobie granat... Taka okazja mogła się nie powtórzyć. W końcu na salę rozpraw weszło sześć Kudłaczy. Jeden niósł na ramieniu jasnożółtą torbę, pasującą kolorem do jego sierści, a pozostałe niebieskie, płócienne,

z logiem policji KKZ i małutkimi policyjnymi tarczami na ramiączkach. W chwili, gdy zajmowały miejsca, odezwał się woźny sądowy:

– Wszyscy wstać, idzie wysoki sąd!

W wejściu pojawił się Yves Janiver – mężczyzna o siwych włosach i smolistej brodzie. Musiał ją farbować chyba ze trzy razy dziennie, stwierdził Ingermann. Wyglądał przez nią jak najprawdziwszy czarny charakter.

Janiver skłonił się w stronę ekranu do wszystkich widzów na planecie, którzy nie mogli obserwować procesu z ław sali sądowej, po czym usiadł. Wstępne formalności załatwiono w wyraźnym pośpiechu. Janiver stuknął młotkiem sędziowskim.

– Ława przysięgłych została wybrana we wzajemnym porozumieniu obrony i oskarżenia. Zgadza się, panowie? Nie macie żadnych obiekcji? W takim razie zaczniemy od odczytania aktu oskarżenia. A ponieważ rozprawa toczy się w Sądzie Autochtonów, kurtuazja wymaga, by pierwszeństwo przyznać drużynie przyjezdnej.

Protokolant wstał i wywołał Leo Thaxtera. Thaxter usiadł na krześle dla świadków, po czym na głowę założono mu hełm prawdometru.

Kula świeciła ciemnoniebieskim blaskiem, a jej kolor nie zmienił się nawet na chwilę, gdy Thaxter powiedział, że nie przyznaje się do winy. Ten człowiek był starym wygą – prawdopodobnie po raz pierwszy wysłuchiwał oskarżenia w sądzie dla nieletnich, mając dziesięć lat. W kuli Rose Evins zakotłowało się nieco, a kula jej męża rozbłysła parę razy czerwienią, kiedy próbował tłumić jakąś prawdę, o którą nikt go nie pytał. Wszystkie Kudłacze siedziały na skraju stołu po drugiej stronie sali, paląc cygara o rozmiarze papierosów i ultradźwiękowym popiskiwaniem komentując rozwój wypadków. Kudłaczom pozwolono palić w sądzie – był to stary zwyczaj, liczący sobie całe cztery miesiące. Do stanowiska podszedł Phil Novaes. Jego kula miała barwę brudnego fioletu. Kiedy go zapytano, czy

przyznaje się do winy, rozbłysła krwistym czerwonym blaskiem jak alarm pożarowy.

– Nie – odpowiedział.

– Do diabła, po cholere to zrobiłeś? – syknął Ingermann, gdy Novaes wrócił do stolika.

Cała sala parsknęła głośnym śmiechem.

– Teraz Diament, autochton, zarejestrowany pod numerem dwadzieścia.

Grupka Kudłaczy przez chwilę o coś się spierała. W końcu na podłogę zeskoczył ten z plastikową torbą na ramieniu, podbiegł do krzesła dla świadków i wgramolił się na siedzisko. Przeznaczony dla ludzi hełm odłożono na bok, a maluchowi założono specjalną, miniaturową wersję. Gdy tylko dotknęła jego głowy, Ingermann poderwał się na nogi.

– Wysoki sędzie, zgłaszam sprzeciw!

– A co jest jego przedmiotem, panie Ingermann? – dociekał Janiver.

– Wysoki sędzie, ten Kudłacz został podłączony do prawdometru. Jest ogólnie akceptowanym faktem naukowym, że w przypadku przedstawicieli tej rasy prawdometr poliencefalograficzny nie wykrywa różnic między sądami prawdziwymi a fałszywymi. – Ława przysięgłych nie miał bladego pojęcia, o co chodzi obrońcy. – Rzecz w tym, że prawdometr nie działa na Kudłaczach – dodał Ingermann na jej użytek.

– Musi pan wybaczyć mi tę bezdenną ignorancję, panie Ingermann, ale sądowi nie jest znany ów ogólnie akceptowany fakt naukowy – rzucił Janiver.

– Wszystkim innym jest – Ingermann nawet nie próbował powstrzymać się przed złośliwością. W innych okolicznościach bardziej by uważał, żeby nie zrazić do siebie sądu, lecz ten sąd już był zrażony. Może kilka takich kuksańców sprowokuje Janivera do jakiegoś naganego komentarza? – Myślę, że na ten temat mógłby nam coś powiedzieć czołowy specjalista w dziedzinie psychologii Kudłaczy, doktor Ernst Mallin.

– Wydaje mi się, że doktor Mallin jest obecny na tej sali – stwierdził Janiver. – Panie doktorze, czy zgadza się pan z panem Ingermannem?

– Wysoki sędzię, wnoszę sprzeciw – wtrącił się Ingermann. – Chyba że doktor Mallin odpowie na to pytanie pod prawdometrem...

Mallin skrzywił się. Nie lubił być poddawany badaniu w sądzie. Nic dziwnego zresztą, zważywszy na jego doświadczenia w procesie Ludzie kontra Kellog i Holloway.

– Kusz'wa nieto-szlach, co wy chceć, żeby tu robić? – zirytował się Kudłacz na miejscu dla świadka, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie widzę żadnego powodu, by poddawać doktora Mallina badaniu w przypadku tak prostego i jednoznacznego pytania. Nikt nie wymaga od niego, by składał zeznania.

– Wysoki sędzię, w chwili obecnej nikt nie może zeznawać – odezwał się Coombes. – Nie wszyscy z oskarżonych wysłuchali aktu oskarżenia.

– Panie Ingermann, do czego pan dąży? Unieważnienia procesu? – zapytał Brannhard.

– Skądże! – zaprotestował ze szczerym oburzeniem Ingermann. Aż do tej pory nie brał pod uwagę takiej możliwości, a powinien był. Cóż, teraz już za późno. – Jeżeli oświecony sąd, z powodu, jak sam to określił, bezdennej ignorancji, chciałby poszerzyć swoją wiedzę...

– Doktorze Mallin, czy to w istocie fakt ogólnie akceptowany, jak utrzymuje oświecony przedstawiciel obrony, że Kudłacze nie mogą być weryfikowane za pomocą prawdometru?

– Wręcz przeciwnie. – Na twarzy Mallina zadrżał uśmiezek wyższości. – Pan Ingermann musiał się wsłuchiwać w głos laików. Jako istoty myślące, Kudłacze mają taki sam system mózgowo-nerwowy, jak ludzie z Terry. Gdy próbują zagłuszyć sąd prawdziwy i zastąpić go fałszywym, procesowi temu towarzyszą wykrywalne zjawiska elektromagnetyczne.

Cokolwiek to znaczyło dla dwunastu idiotów bez świadectw ukończenia szkoły podstawowej.

– Doktor Mallin wygłasza ekspertyzę naukową. Powinien zostać do tego upoważniony, zgodnie z obowiązującymi procedurami.

– W tym sądzie, panie Ingermann, doktor Mallin został upoważniony dawno temu.

– Wysoki sądzie, możliwe, że pan Ingermann świetnie się bawi, ale ja raczej nie mogę powiedzieć tego o sobie – westchnął Coombes. – Sądzę, że powinniśmy dokończyć odczytywanie aktu oskarżenia i przejść do kolejnej części procesu.

– Przesłuchiwanie świadków za pomocą prawdometru jest nielegalne, jeśli urządzenie nie zostało odpowiednio przetestowane.

– To urządzenie zostało odpowiednio przetestowane dosłownie przed chwilą – stwierdził Brannhard. – Rozbłysło czerwonym światłem, gdy pański klient, Phil Novaes, wypowiedział fałszywe twierdzenie w sprawie swojej niewinności.

Ten komentarz wywołał lawinę śmiechu, która wymagała interwencji sędziego. Nawet część ławników zrozumiała dowcip. Kiedy sala ucichła, Janiver zastukał młotkiem.

– Panowie, przypomina mi się tu pewne prawo wprowadzone przez jakiś organ jurysdykcji na Starej Terze w pierwszym wieku Ery Przedatomowej. Otóż wedle tego prawa, kiedy dwa samobieżne pojazdy naziemne wjechały na to samo skrzyżowanie, oba musiały się zatrzymać i poczekać, aż przejedzie ten drugi. Myślę, że właśnie do takiej sytuacji próbuje doprowadzić pan Ingermann. Upiera się, że oskarżeni nie będą mogli wysłuchać aktu oskarżenia, jeśli doktor Mallin nie zezna, że podlegają działaniu prawdometru, ale doktor Mallin nie będzie mógł tego zeznać, dopóki oskarżeni nie wysłuchają aktu oskarżenia. Oczywiście, zanim do tego dojdzie, klienci pana Ingermanna zdążą umrzeć ze starości. Cóż, niniejszym zarządzam, że oskarżony występujący tu w charakterze świadka, jak również inne oskarżone Kudłacze, mogą wysłuchać aktu

oskarżenia zgodnie z przyjętym założeniem, że prawdometr, który działa na ludziach, zadziała także na Kudłaczach.

– Sprzeciw!

– Sprzeciw odnotowany. Proszę kontynuować odczytywanie aktu oskarżenia.

– Ostrzegam wysoki sąd, że nie uznaję tego precedensu za wystarczającą podstawę, by zezwolić Kudłaczom na zeznawanie przeciwko moim klientom.

– To także zostało odnotowane. A teraz wróćmy do aktu oskarżenia.

– Jak masz na imię? – zwrócił się protokolant do Kudłacza. – Jak nazywają cię Duży?

– Diament.

Niebieska kula na głowie malucha zmieniła barwę na krwistoczerwony. Dobry Boże, tylko nie to, pomyślał Ingermann.

– Mówiłeś, że prawdometr nie działa na Kudłacza! Że żaden Kudłacz nigdy nie zapalił czerwonego światła! – trąknął Evins.

– Ty parszywy zdrajco – warknął Thaxter.

– Do diabła, zamknijcie się! Obaj!

– Dobrze tak, Papcio Lezli? – pytał Kudłacz, który nie miał na imię Diament. – Robić, jak Papcio mi mówić?

– Kto jest twoim Papciem? – zadał kolejne pytanie protokolant.

Kudłacz zastanawiał się przez chwilę.

– Papcio Jack – rzucił i zapalił czerwone światełko, a po chwili znów, kiedy chciał się poprawić: – Nie, Papcio Vic.

– Robisz bardzo dobrze, jesteś mądrym Kudłaczem – pochwalił go Leslie Coombes. – A teraz powiedz swoje „tak być” imię.

– Toshi-Sosso. W język Dużych oznaczać: Ten Mądry.

To te przeklęte Kudłacze, które ocalały z pożaru, zorientował się Ingermann. Tak, to był jeden z nich. Kula prawdometru roztaczała teraz niebieski blask.

– Wygląda na to, że coś panu nie wyszło, panie Ingermann – rzuciła Rose Evins.

Kolejny Kudłacz, wezwany na stanowisko świadka jako Allan Pinkerton, zafundował widowni równie spektakularny pokaz czerwonych świateł, po czym przyznał, że w rzeczywistości nazywa się Dziabak. Cudownie, pomyślał Ingermann – któż inny mógł mu wbić nóż w plecy, jeśli nie Kudłacz o imieniu Dziabak?

– No dobrze, panie Ingermann, czy wciąż ma pan obiekcje co do działania prawdometru na Kudłaczach, czy przekonała pana ta demonstracja? – zapytał Janiver. – Jeśli przekonała, chciałbym się zająć prawdziwymi oskarżonymi.

– Ależ naturalnie, wysoki sędzie. – Do cholery, cóż innego mógł w tej sytuacji powiedzieć? – Muszę przyznać, że zostałem zwiedziony. Proszę wezwać prawdziwych oskarżonych, później prosiłbym jednak o odroczenie rozprawy do godziny dziewiątej w poniedziałek. – To by mu dało dwa dni, sobotę i niedzielę. – Chciałbym porozumieć się z moimi klientami i zaplanować nową linię obrony.

– Pan Ingermann próbuje przez to powiedzieć – wtrącił Brannhard – że nie bardzo wie, co począć z faktem, iż Kudłaczom pozwoli się mówić całą prawdę.

– Niech cię szlag, co ty znów planujesz? – domagał się odpowiedzi Thaxter. – Chcesz nas puścić w trąbę? Lepiej, żeby tak nie było, człowieku, bo inaczej...

– Nie, nie! Bez obaw, Leo, cały ten pokaz został ukartowany. Nie wiem, jak to zrobili, ale sprawa śmierdzi na kilometr, a ja w poniedziałek dowiodę, że mam rację. Musicie tylko cierpliwie czekać. Jeśli będziecie trzymać gęby na kłódki, damy sobie radę.

Spojrzał na zegarek. Nie powinien był tego robić – nie może w żaden sposób pokazać, jak kluczowe znaczenie odgrywał w tej chwili czas.

– Teraz mamy piętnastą – oznajmił Janiver – a jutro jest sobota, więc i tak nie wznowilibyśmy rozprawy. Nie widzę powodów, by odrzucić pańską prośbę, panie Ingermann.

25.

Sędzia Yves Janiver patrzył, jak zapełniają się sądowe ławki. Ciekawe, ilu z nich już wie? Prasie nie przekazano żadnych informacji, ale plotka miała tysiąc źródeł i prawdopodobnie powtarzano ją w każdym kącie sali. Z pewnością wiedzieli wszyscy za balustradą, nie licząc być może szóstki Kudłaczy, a także połowa ludzi zgromadzonych na widowni. Po prawej stronie Victor Grego, Leslie Coombes, Jack Holloway i reszta uciszali Kudłacze. Czyli oni też już usłyszeli. Tak jak Gus Brannhard wraz ze swoim asystentem przy stole oskarżyciela – prawie było słychać jego zadowolone pomrukiwanie. Przy stole po lewej Thaxter, Novaes i Evinsowie szeptali do siebie gorączkowo. Co kilka sekund któreś z nich zerkało na tyły sali. Niemożliwe, żeby się nie domyślali. Plotki krążyły nawet w więzieniu, więc bardzo możliwe, że wiedzieli więcej niż inni – może nawet jedna czwarta ich podejrzeń znajdzie potwierdzenie.

Woźny wykrzyczał tytuł sprawy, po czym kolejno wymienił imiona i nazwiska ludzi i innych istot rozumnych, przeciwko którym występowała Kolonia Zaratustra. Odliczywszy do dziesięciu, Janiver zastukał młotkiem sędziowskim.

– Możemy zaczynać? – zapytał.

Gus Brannhard wstał.

– Wysoki sędzie, oskarżyciel jest gotów.

Gdy tylko usiadł, podniósł się Leslie Coombes.

– Obrona Diamenta, Allana Pinkertona, Arsene’a Lupina, Sherlocka Holmesa, Ireny Adler i Maty Hari także jest gotowa do rozpoczęcia posiedzenia.

Cóż za nazwiska padały przed tym sądem! Janiver był niemal pewny, że któregoś dnia przyjdzie mu sądzić za morderstwo Mahatmę Gandhiego

i Alberta Schweitzera.

Po lewej, wśród czwórki oskarżonych, wybuchła krótka sprzeczka. W końcu z krzesła wstał Conrad Evins, zmobilizowany przez swoją żonę.

– Wysoki sędzie, nasz obrońca musiał zostać zatrzymany. Jeśli wysoki sąd nie ma nic przeciwko, prosilibyśmy o chwilę cierpliwości. Pan Ingermann na pewno zaraz się zjawi.

Wielkie nieba, czyli jednak nic nie wiedzieli! Co takiego działo się z więzienną pocztą pantoflową?

Gus Brannhard wstał po raz drugi.

– Wysoki sędzie, obawiam się, że będziemy musieli poczekać nieco dłużej. Wczoraj wieczorem dotarły do mnie informacje z liniowca „Konkrook” relacji Terra-Baldur-Marduk, który wystartował z Dariusa o czternastej trzydzieści, że pan Hugo Ingermann wsiadł na pokład z biletem do portu kosmicznego w Kapsztadzie na Terze. Najbliższy port pośredni to New Birmingham na Volundzie, co oznacza, że statek znajduje się obecnie w hiperprzestrzeni. Czyli, w odniesieniu do naszego kontinuum czasoprzestrzennego, obrońcy oskarżonych nie ma w tej chwili... nigdzie.

Powstało zamieszanie – dziwny, choć znajomy szum, który zawsze towarzyszy zaskoczeniu na sali sądowej, jak gdyby ktoś zdekompresował służbę powietrzną. Najwyraźniej więcej osób, niż Janiver z początku sądził, nie miało pojęcia o ucieczce Ingermanna. Kilka osób zaśmiało się cicho, i to nie tylko te przy stanowisku obrony Kudłaczy.

Tymczasem przy stole Evinsów i pozostałych oskarżonych panowała cisza, aż raptem Conrad Evins poderwał się z miejsca. Janiver widział kiedyś mężczyznę zastrzelonego w pojedynku na Isztarze – wyglądało to właśnie w taki sposób, jakby szarpnęło całym jego ciałem. Rose Evins tylko zamknęła oczy i zapadła się w sobie, biernie kładąc dłonie na blacie.

– Nie wierzę – bełkotał Phil Novaes. – Kłamiecie! Ingermann nigdy by tego nie zrobił!

Leo Thaxter podskoczył i zaczął wykrzykiwać wulgaryzmy.

– Chce pan przez to powiedzieć, że nie mamy obrońcy? – upewnił się Evins.

– Czy jest pan pewien tych informacji, panie Brannhard? – zapytał Janiver na potrzeby protokołu.

Brannhard spuścił solennie głowę, jakby dała mu się we znaki grawitacja.

– Całkowicie, wysoki sędzie. Przekazał mi je pan Victor Grego, obecny na sali, który uzyskał je bezpośrednio z pokładu liniowca relacji Terra-Baldur-Marduk na Dariusie. Na własne oczy widziałem wydruk listy pasażerów i widniało tam nazwisko pana Hugo Ingermanna, w klasie luksusowej z dodatkowymi wygodami.

– Dlaczego nie jestem zdziwiony, że ten skurczysyn podróżuje jak śmierdzący król?! – wrzasnął Thaxter. – I to za nasze pieniądze! Wiecie, co ze sobą zabrał? Dwieście pięćdziesiąt tysięcy soli w kamieniach słonecznych!

Od strony widowni znów doleciał szmer zaskoczenia, który tym razem objął także stół obrony Kudłaczy. Grego pstryknął palcami.

– Na Boga, wszystko jasne! Już wiadomo, gdzie są kamienie! – rzucił na głos.

Janiver zastukał młotkiem, by przywołać salę do porządku. Woźny wykrzyczał prośbę o ciszę i poruszenie na chwilę zamarło.

– Panie Thaxter, będzie pan musiał powtórzyć to pod prawdometrem.

– Bez obaw, zrobię to z ochotą – odparł Thaxter. – Dowiedziecie się o tym oszuście takich rzeczy...

– Teraz chcielibyśmy wiedzieć – wszedł mu w słowo Evins – co będzie z nami. Mamy prawo do adwokata.

– I dostaliście go – trzeba było znaleźć sobie lepszego. Proszę usiąść i zachować ciszę, sąd doskonale zdaje sobie sprawę z waszych przywilejów. Dostaniecie obrońcę z urzędu.

Tylko kto to, u diabła, będzie? Ta szajka nie miała pieniędzy, by kogokolwiek zatrudnić. Koszty pokryje kolonia... To musiał być ktoś dobry, adwokat z nieposzlakowaną reputacją. On sam święcie wierzył w winę oskarżonych, a to oznaczało, że musi zrobić wszystko, co w jego mocy, by zapewnić im uczciwy proces, zanim skaze ich na śmierć przez rozstrzelanie.

– Wysoki sędzie. – Leslie Coombes wstał. – Wnoszę o oddalenie zarzutów w stosunku do moich klientów. – Wymienił po kolei imiona Kudłaczy. – Zostali oni oskarżeni na podstawie zarzutów sformułowanym przez Hugo Ingermanna tylko po to, by zdyskredytować oskarżenia wymierzone przeciwko jego własnym klientom. A ponieważ pan Ingermann zbiegł...

– Przychyliam się do wniosku. Te Kudłacze w ogóle nie powinny były usłyszeć zarzutów. – Janiver powtórzył swoją decyzję w stosownej frazeologii i zwolnił szóstkę Kudłaczy z aresztu. – Ponieważ pozostali oskarżeni mają prawo do pomocy prawnej, której odmówił im poprzedni adwokat, wznowimy rozprawę w przyszły poniedziałek. Do tego czasu sąd wyznaczy nowego obrońcę i da mu czas na zaznajomienie się ze sprawą oraz konsultację z klientami. Szeryfie Fane, czy byłby pan łaskaw odprowadzić oskarżonych do aresztu? A teraz przejdźmy do kolejnej sprawy na wokandzie.

Rząd Zaratustry przybrał formę pośredniej demokracji powszechnej – wymagała tego Konstytucja Federalna – podczas gdy Kontrkoncesjonowana Kompania Zaratustra była dyktaturą. Różnica polegała na tym, że dyktator miał spokój, gdy go potrzebował – choć więc powinni jeść kolację w Izbie Rządowej, udali się do biura Grego na drinka. Wszystkie Kudłacze były w Klubie Kudłacza, gdzie zapewniały rozrywkę Temu Mądrymu i jego gromadzie, wciąż osłupiałej ze zdumienia, ale szalenie szczęśliwej.

Grego i Coombes pili koktajle, a Gus jak zwykle przyssał się do szklanki czystej whisky, choć pod ręką trzymał pełną butelkę, by uzupełniać straty powstałe wskutek procesu parowania. Ben Rainsford zrobił sobie drinka, wyjątkowo słabego. Jack też, ale już nie tak słabego. Odstawił go na bok, żeby zapalić fajkę, i już go nie podniósł. Tym razem miał zamiar wytrwać jak najdłużej.

– To chyba najwyższa kwota za wywóz odpadków w historii – zażartował Coombes. – Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, żeby pozbyć się Ingermanna? Trochę wygórowana cena.

– Zwróci się – zapewnił go Grego. – Gdyby został na Zaratustrze, kosztowałyby to nas parę milionów. Zresztą, dam sobie głowę uciąć, że jakoś zminimalizujesz koszty.

– Mógłbym zarekwirować wszystko, co po sobie zostawił, chociaż nie będzie tego dużo. Najważniejsze jednak, że odzyskaliśmy nieruchomości w północnej części Mallorysportu. Teraz nie musimy się martwić, że Pan-Federacja, Terra-Odyn czy ktoś w tym rodzaju wejdzie w posiadanie tych terenów i wybuduje port kosmiczny, który stanie się konkurencją dla portu Terra-Baldur-Marduk na Dariusie.

– Ja chciałbym się tylko dowiedzieć – odezwał się Ben Rainsford – w jaki sposób kamienie trafiły w łapska Ingermanna. Jeśli mam być szczery, nawet nie rozumiem, jak to możliwe, że zniknęły z siedziby Kompanii.

– Och, to akurat dość proste – odparł Gus Brannhard. – Dzisiaj popołudniu wyciągnęliśmy zeznania z Thaxtera i Evinsa. Kudłacze wcale nie wyniosły kamieni ze skarbca – zrobił to kilka dni wcześniej Evins, we własnych kieszeniach. Schował je do schowka w terminalu kosmicznym Mallorysport-Darius i przesłał klucz do skrytki poste restante. Zapamiętał numer, a kiedy został aresztowany, przekazał go Ingermannowi. Ingermann wyciągnął kamienie, które miały być wynagrodzeniem za jego pracę. W ten sposób jednak dopuścił się przestępstwa – mógł zostać oskarżony

o paserstwo. Evins, jego żona i Thaxter sądzili, że dzięki temu mogą kontrolować Ingermanna. Cóż, sam widziałeś, jak na tym wyszli.

– No dobrze, ale prędzej czy później Ingermann wpadnie.

– Nie liczyłbym na to. Wyślemy za nim list gończy, ale wiesz, jak działa komunikacja międzygwiazdna. Po dotarciu na Terrę Ingermann natychmiast przesiądzie się na statek lecący w jakieś inne miejsce. Z Terry każdego dnia wylatuje ze dwadzieścia statków kosmicznych, zmierzających w najróżniejsze zakątki galaktyki. Ingermann ucieknie na Xipototec, Fenris, Ithavoll albo Lugaluru, zaszyje się tam i nikt go nigdy nie znajdzie. Zresztą, kto chciałby szukać? Na pewno nie ja.

– A co z Thaxterem, Evinsami i Novaesem? To mnie najbardziej interesuje – stwierdził Rainsford. – Chyba nie ujdzie im to płazem?

– Skądże – uspokoił go Brannhard. – Janiver wyznaczył im na obrońcę Douglasa Toyoshi. Spotkaliśmy się z Dougiem i Janiverem w biurze sędziego i zawarliśmy układ. Oskarżeni przyznają się do winy w sprawie zarzutów o kradzież kamieni i natychmiast zostaną skazani – dostaną po dziesięć, dwadzieścia lat. Następnie rozpoczniemy nowy proces o zmuszanie do niewolniczej pracy i nakłanianie nieletnich do przestępstwa. Nie ma żadnych wątpliwości, że za to też zostaną skazani.

– Nawet za nakłanianie nieletnich?

– Tak. Toyoshi nie będzie kwestionować orzeczenia Pendarvisa o przyznanie Kudłaczom statusu nieletnich. Zresztą, to bez większego znaczenia – cała treść Decyzji Pendarvisa, o statusie nieletnich i tak dalej, wszystko to trafi do Konstytucji Kolonialnej. Thaxter i reszta za pozostałe dwa zarzuty dostaną karę śmierci przez rozstrzelanie – właściwie to za każdy z osobna. Sąd odroczy jednak egzekucję do chwili, gdy odsiedzą cały wyrok więzienia, a kara śmierci będzie podlegać ponownemu rozpatrzeniu.

Coombes zaśmiał się.

– Mam dziwne wrażenie, że nie będą się ubiegać o przedterminowe zwolnienie.

– Na pewno nie. Choć wątpię, czy po tych dwudziestu latach jakkolwiek sąd każe ich rozstrzelać. W gruncie rzeczy dostaną właśnie to, co obiecał im Ingermann.

Istniała jednak spora różnica – przestępcy zostaną osądzeni i skazani, a właśnie na tym zależało Jackowi: na jednoznacznym ustanowieniu, że prawo w takim samym stopniu chroni Kudłacze, co i ludzi. Wziął łyk whiskey, zastanawiając się, czy nie nalać sobie znowu. Grego powiedział coś o Ingermannie, a Rainsford parsknął śmiechem.

– Ten Mądry i jego szajka znowu są bohaterami, bo wypędzili Ingermanna z planety – opowiadał. – Posłany do stu diabłów przez bandę Kudłaczy!

– Co się teraz z nimi stanie? Nie mogą zgrywać bohaterów do końca życia.

– Spokojnie, nie będą musiały – odparł Coombes. – Zaadoptowałem całą ósemkę.

– Co?!

Coombes pokiwał głową.

– Dobrze słyszeliście. Załatwiłem wszystkie formalności w sobotę – teraz jestem Papcio Lezli i mam na to papiery! – Dokończył swój koktajl. – Aż do zeszłego poniedziałku, kiedy przyprowadziłem tę bandę, nawet nie wiedziałem, co tracę. – Rozejrzał się, spoglądając na Papcio Vica, Papcio Jacka i Papcio Gusa. – Sami rozumiecie najlepiej.

– Przecież po wyborach lecisiz na Terrę, nie będzie cię kilka lat. Kto się nimi zajmie?

– Ja. Zabieram rodzinę ze sobą – stwierdził Coombes.

Pomysł wywiezienia Kudłaczy z Zaratustry nigdy wcześniej nie przyszedł Jackowi do głowy i w pierwszej chwili obudził w nim instynktowny sprzeciw.

– Spokojnie, Jack. Ludzie Juana Jimeneza twierdzą, że Kudłacze z łatwością zaadaptują się do terrańskich warunków. Właściwie wcale nie

będą musiały się adaptować – będą tam równie zdrowe, co tutaj.

To akurat nie ulegało wątpliwości, na Terze panowały niemal identyczne warunki.

– Będą tam szczęśliwe, Jack – ciągnął Coombes. – Teraz chcą być tylko z Papcio Lezlim. Nikt mnie nigdy nie kochał w taki sposób, jak Kudłacze, a na Terze ludzie po prostu dostaną fioła na ich punkcie.

Tak, Coombes miał rację. Właśnie tego najbardziej chciały Kudłacze – wcale nie tasaków ani toreb naramiennych, karabinów ani zabawek, nauki o Dużych ani „mówić znaków”, ba, nawet nie Pezetera Trzy – najbardziej na świecie pragnęły... uczucia. To właśnie ta potrzeba sprawiła, że Kudłaczek odważył się wyjść z lasu, po nim zaś następni. Bardziej niż cokolwiek, co sam mógł im dać, to obietnica Kudłaczka, że każdy Kudłacz będzie mieć swojego Dużego, który o nich zadba i który będzie ich kochać, przemawiała do maluchów z Hoksu-Mitto.

Potrzebowały uczucia jak powietrza czy wody, tak jak każde inne dziecko.

Bo właśnie tym były, wiecznymi dziećmi. Gdzieś w odległej przyszłości rasa dojrzeje, lecz do tej pory te pocieszne, radosne, kochane małe futrzaki nie miały co liczyć, że nagle staną się kimś innym, kimś doroślejszym. Holloway podniósł swoją szklanę i dopił whiskey. Wpatrując się w kostki lodu, nagle poczuł, jak ogarnia go cudowne rozluźnienie. Już o nic nie musiał się martwić, nikt nie zmieni Kudłaczy; będą tym, czym są: aktywnymi, inteligentnymi dziećmi, które trzeba kochać i otaczać opieką. Podświadomie zdawał sobie z tego sprawę od samego początku, kiedy Kudłaczek zaczął go nazywać Papcio Jackiem.

Rany! Osiem Kudłaczy leciało w daleką podróż z Papcio Lezlim! Tyle nowych rzeczy do zobaczenia... Leslie na pewno będzie chciał wszystko im pokazać i wyjaśnić. A za kilka lat wróca, żeby opowiadać innym maluchom niesamowite historie.

Podał Grego swoją szklankę, żeby zrobił mu kolejnego drinka, a gdy go dostał, zapalił fajkę, która zdążyła zgasnąć.

Niech go szlag, jeśli sam nie pragnął czasem na chwilę stać się Kudłaczem.